Mordercza prekampania • Lewica: Razem czy osobno • Największa mafia świata
Wojna w Eurowizji • NFZ dla zwierząt? • Polak w rosyjskiej niewoli • Konflikt w Konfie

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

Exit US?

Trump rozkłada parasol nad Ziobrą, zwija nad Polską

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

TYGODNIK, nr 21 (3565), 20.05–26.05.2026

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 26.05.2026

prasa.pl/4c91f9e87

ZAMACH STANU CZY SANACJA?

W sprzedaży

Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 4c91f9e87c

POLITYKA

w numerze 21 20.05–26.05.2026

12
Zwierzęta powinny mieć ubezpieczenie?

Tematy tygodnia

12 Agnieszka Sowa
Nasze drogie zwierzęta: skąd te ceny, co z tym zrobić
16 Michał Danielewski
Miękiszon sam w Nowym Jorku

Polityka

19 Mariusz Janicki **KO–PiS: kampania przedterminowa**
22 Rafał Kalukin **Dwie lewice**
25 Michał Piedziuk, Wojciech Szacki **Czy konfederaci się podzielą**

Społeczeństwo

28 Rozmowa z **Aleksandrą Gałką-Reczko** o tym, jak człowiek staje się dłużnikiem, i dlaczego to takie łatwe
31 Paweł Reszka, Evgenia Tamarchenko **Polak w rosyjskiej niewoli**
34 Jędrzej Winiecki **Rezerwaty pączkują – tylko co z tego wynika?**
37 Prof. **Krystyna Skarżyńska** o tym, dlaczego młodych dopadają stres, depresja i stany lękowe
40 Malwina Dziedzic, Anna Jochim-Labuda ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Siódemka dla seniora: wskazujemy i apelujemy**

Rynek

42 Adam Grzeszak **Czary-mary Morawieckiego**
45 Cezary Kowanda **System kaucyjny: prawdziwy test dopiero przed nami**

Świat

54 Mariusz Zawadzki USA **Niezatapialny Trump**
57 Artur Domosławski BRAZYLIA **Największy na świecie koncern przestępczy**
60 Kinga Strzelecka-Pilch FRANCJA **Spór o koguta**
62 Filip Gańczak NIEMCY **Kto tęskni za Schröderem**

Nauka/projektpulsar.pl

64 Tomasz Targański **Jak upadały imperia**
67 Andrzej Hołdys **Czy Wenecję da się uratować?**
70 Paulina Mozolewska **Szczepienia przeciwko HPV: chronią i dzielą**

Historia

72 Rozmowa z dr hab. **Aleksandrą Klęczar** o kobietach w greckiej mitologii
75 **Marian Turski oczami Marka Zająca** – fragment najnowszej książki „Nieobojętny"

Kultura

82 Aneta Kyzioł **Od Kozy rapera do Białaszka reżysera**
86 **Maciej Płaza** o swojej nowej powieści, uwikłaniu w historię i o tym, co wyróżnia Poznań
90 Janusz Wróblewski **Cannes i „Ojczyzna" Pawlikowskiego**
92 Bartek Chaciński **Bangaranga, czyli Eurowizja w kryzysie**
94 Rozmowa z reż. **Carlą Simón** o „Romerii" i rodzinnych rekonstrukcjach
96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Podglądanie ptaków**
• **Milenialsi kontra zetki**
• **Larperzy znad Wisły**
• **Nostalgia sprzedaje**
• **Igła do wina**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **78** Afisz • **97** Witkowski • **98** Lis
• **99** Koziołek • **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **100** Mizerski • **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

©SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4c91f9e87c

Brygada (i) kryzys

Jerzy Baczyński

To, że po upadku Viktora Orbána azylant Zbigniew Ziobro spróbuje uciec z Węgier do USA, było spodziewane i raczej pewne. To, że mu się udało, też niespecjalnie zaskakuje. Mówi się, że znajomi Adama Bielana z MAGA mieli mu załatwić w Białym Domu wizę wjazdową. Nietrudno się domyślić, jakie tam padły argumenty; znając Donalda Trumpa, musiały być proste: że pan Ziobro to przyjaciel Karola Nawrockiego, a chcą mu zrobić krzywdę źli ludzie od Tuska, kolegi Macrona i Merza.

Ale triumfalne przekazy z PiS i Pałacu Prezydenckiego („Tusk znowu ośmieszony") szybko zamarły, bo nagle gruchnęła wiadomość, że Waszyngton wstrzymuje rotację brygady, czyli transfer do baz w Polsce 4 tys. żołnierzy, w miejsce tych, którzy już kończą misję. Strona polska, w tym prezydent – „przyjaciel Donalda Trumpa" i zwierzchnik sił zbrojnych – nie została nawet uprzedzona. Zapanował kompletny chaos informacyjny i interpretacyjny, każdy amerykański ośrodek władzy mówił co innego; najbardziej uspokajająca wersja była taka, że może chodzić o relokację do Polski brygady z Niemiec. Może?

Brygadowy kryzys ujawnił, gdzie w swojej geopolityce Trump ma Polskę. Aż słychać było milczenie Karola Nawrockiego, któremu Trump osobiście i publicznie obiecał, że żołnierzy z Polski nie wycofa, a teraz ewidentnie nie odbierał telefonów. Nawet jeśli po zapowiedzianych gorączkowych konsultacjach, interwencjach, prośbach i apelach (więcej s. 6) „zawieszenie rotacji" zostanie częściowo czy czasowo odwieszone, dostaliśmy jasny sygnał – Amerykanie z Europy się wycofują i nie zamierzają żadnego sojusznika pytać o zdanie. Nazywam to „operacją exitUS" – bo to łacińskie słowo oznacza i wyjście, i bardziej złowróżbnie: „zejście, zgon" (jest też nazwą znanego zakładu pogrzebowego).

Szokująca decyzja prezydenta USA (premier Tusk mówił, że od przyjaciół oczekujemy wzajemnego szacunku), to na pewno jeszcze nie koniec NATO i amerykańskiej obecności wojskowej w Europie, ale dzwony żałobne już biją. Brak europejskiego wsparcia dla kosztownej amerykańskiej wojny w Iranie zapewne dodatkowo zmotywował Biały Dom i Pentagon do „ukarania złych sojuszników". Wydaje się, że Polska oberwała rykoszetem jako pierwsza w rotacyjnym kalendarzu. Ale trzeba rozwiać iluzje: ani polski rząd, ani łasząca się do Trumpa opozycja nie mają dziś wpływu na strategiczne decyzje USA. Co najwyżej Bielan może załatwić wizę dla Ziobry.

Tym bardziej trudno mieć pretensje do ministra Waldemara Żurka (a podobno grozi mu nawet dymisja), że „Ziobro uciekł". Co miał zrobić polski minister sprawiedliwości czy służby specjalne? Porwać Ziobrę z Budapesztu, jak podpowiadali radykałowie, i w bagażniku zawieźć do aresztu? Przecież na Ziobrę (tekst na s. 16) nie nałożono dotąd nawet nakazu aresztowania ani krajowego, ani europejskiego. Dlatego też nie ma żadnych szans na jego ekstradycję z USA. Sprawa utknęła w polskich sądach, a sędzia Joanna Grabowska (skądinąd akcjonariuszka TV Republika, gdzie Ziobro prowokacyjnie objął posadę „korespondenta z USA") wyznaczyła termin rozprawy aresztowej na wrzesień. Prokuratura prosiła o przyspieszenie, ale dostała odmowę. Co miałby zrobić Żurek? Zaatakować sędzię – on, który w obronie niezawisłości sędziowskiej przeciepiał ohydne kampanie pomówień i poniżania w „aferze hejterskiej"? A co robić z prokuratorami, którzy stosują obstrukcję? Obliczono, że w sprawie Ziobry prokuratorzy zgromadzili już 6 tys. tomów akt (dobrze ponad milion stron) i pracują nadal, żeby zbadać „każdy aspekt", zanim sprawa trafi do sądu (albo zmieni się władza). Karać, szykanować, czyli robić dokładnie to co Ziobro?

Demokratyczna władza jest więźniem własnej aksjologii: niezależności wymiaru sprawiedliwości, nieograniczonego prawa do obrony, przestrzegania procedur. To często, zwłaszcza w sprawach cuchnących politycznie czy dużych aferach gospodarczych, czyni aparat państwa bezradnym, nawet śmiesznym. Adwokaci, jeśli klienta na to stać, mogą, wykorzystując niezliczone triki (odwołania, zażalenia, skargi, wnioski), przeciągać sprawy w nieskończoność. Opisywaliśmy niedawno historię piramidy finansowej WGI: po 20 latach dochodzeń i procesów sprawcy wciąż cieszą się wolnością i pieniędzmi. Tu też czas już kończyć z iluzjami i obietnicami, że jakiekolwiek sprawy rozliczeniowe czy grube afery (jak Zondacrypto) znajdą swój finał w prawomocnych wyrokach. Była jakaś szansa odbudowy i usprawnienia wymiaru sprawiedliwości po ziobrowych ekscesach, ale wybór Karola Nawrockiego ją przekreślił. Pozostały półśrodki, szarpanina, jak z powołaniem nowej KRS czy nowych sędziów TK, których wyboru druga strona i prezydent nie uznają. Państwo zostało rozerwane na pół.

Jest taka modna teraz „teoria dwóch płuc" służąca maskowaniu ostrych podziałów. Wiemy, że PiS Kaczyńskiego ma teraz dwa płuca: Morawieckiego oraz Czarnka. Ale dwa płuca – Mentzena i Bosaka – ma też Konfederacja; lewica zaś oddycha Czarzastym i Zandbergiem (opisujemy to na s. 25 i 22). I w każdym z tych organizmów jedno płuco chętnie udusiłoby drugie.

Co gorsza, podobnie oddycha/dusi się państwo polskie z podzieloną władzą wykonawczą. Jedyne, gdzie ta dwudyszność wydawała się mieć jakiś sens, to kwestie bezpieczeństwa, z naturalnym podziałem na strefę amerykańską i europejską. Donald Trump właśnie ośmieszył tę wizję: zwija wojskowy parasol nad Europą i Polską, ale polskim przyjaciołom (tym od prawego płuca) dał parasolkę nad Ziobrą. Z całą jaskrawością widać, że dziś – wobec rosnącego zagrożenia ze strony Rosji i postępującego kryzysu Sojuszu Północnoatlantyckiego – jest nam bezwzględnie potrzebne i „europejskie NATO", i Sojusz Wewnątrzpolski w sprawach bezpieczeństwa. Czekając na to, co ostatecznie będzie z rotacją brygady, warto przypomnieć sobie legendarną piosenkę Tomka Lipińskiego „Centrala" – nomen omen – graną przez Brygadę Kryzys. „Czekamy, czekamy/ na sygnał z Centrali/ Centrala nas ocali/ Czekamy, ufamy". Nie bardzo jest na co czekać, jeśli chcemy zdążyć przed exitUSem.

eprasa.pl 4c91f9e87c

Albatros travel

Albatros 40 lat

USA
wschodnie wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęga natury.

Podczas wycieczki zobaczymy najważniejsze miejsca związane z historią USA m.in.: Mauzoleum Abrahama Lincolna, Kapitol i Air & Space Museum w Waszyngtonie, pole bitwy w Gettysburgu, Dzwon Wolności w Filadelfii, Manhattan w Nowym Yorku, uniwersytety MIT i Yale czy historyczne dzielnice Bostonu.

11 dni
Wylot z Warszawy
04/09 2026

od **14.498,-**

2 posiłki dziennie

Armenia i Gruzja perły Kaukazu

Chrześcijańskie klasztory, wspaniałe krajobrazy, znakomite lokalne potrawy, wyborne wino oraz urzekające miasta Erywań i Tbilisi.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Armenii. Erywań. Zwiedzanie miasta, m.in. Plac Republiki, Opera, Kaskady i Pomnik Ofiar Ludobójstwa Ormian. **Dz. 3** Erywań. Czas wolny lub opcjonalna wycieczka do wpisanego na listę UNESCO Klasztoru Geghard, świątyni w Garni oraz do destylarni brandy. **Dz. 4** Wagharszapat, klasztor Chor Wirap wizyta u lokalnych artystów oraz czas wolny w Erywaniu. **Dz. 5** Erywań – Sewan – Dilidżan. Noratus – jezioro Sewan i górskie miasto Dilidżan. **Dz. 6** Dilidżan – Tbilisi. Wpisany na listę UNESCO klasztor Hachpat oraz przyjazd do Gruzji. **Dz. 7** Tbilisi. Zwiedzanie miasta m.in. świątyni Metechi, łaźni i twierdzy Narikala. **Dz. 8** Tbilisi – Gori – Uplisciche – Gudauri. Muzeum Stalina w Gori, starożytne miasto Uplisciche i góry Kaukazu. **Dz. 9** Gudauri – Kazbeki – Mccheta – Tbilisi. Imponujące krajobrazy, kościół Trójcy Świętej i katedra Sweti Cchoweli. **Dz. 10** Tbilisi – Signagi – Tbilisi. Górskie miasteczko Signagi i tradycyjna produkcja wina. **Dz. 11** Dzień do własnej dyspozycji w Tbilisi. **Dz. 12** Tbilisi – Warszawa.

12 dni | Wylot z Warszawy 04/09 2026 | od 8.998,-

2 posiłki dziennie

Boże Narodzenie w Południowej Afryce

Mieszkając w Zebra Nature Reserve, należącym do Albatros Travel udamy się na safari z Wielką Piątką Afryki oraz wycieczkę do Pretorii i Soweto.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Johannesburg, zwiedzanie Pretorii, przyjazd do Zebra Nature Reserve i powitalna kolacja. **Dz. 3** Rano spacer w okolicy Zebra Nature Reserve, po południu wizyta w centrum gadów. **Dz. 4** Safari w Rezerwacie Dinokeng i Wielka Piątka Afryki. **Dz. 5** Dni wolne na relaks lub możliwość skorzystania z szerokiej oferty wycieczek fakultatywnych m.in. safari, spacer w buszu czy wycieczka do kopalni diamentów. **Dz. 6** Wizyta w wiosce Ndebele. **Dz. 7** Kurs gotowania tradycyjnych dań kuchni południowoafrykańskiej. **Dz. 8** Afrykańskie rytmy podczas warsztatów gry na bębnach. **Dz. 9** Wizyta w Soweto, rodzinnym mieście Mandeli, i powrót do domu. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 21/12 2026 | od 9.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL18**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 4c91f9e87c

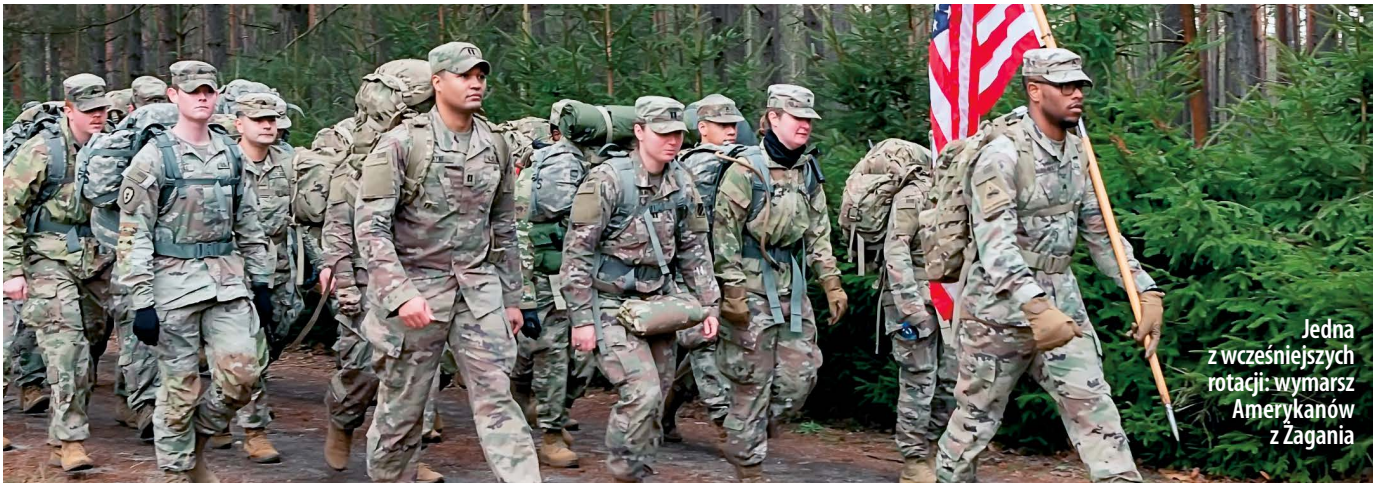

Jedna z wcześniejszych rotacji: wymarsz Amerykanów z Żagania

Kamasze odmaszerowały

Amerykańskich „butów na ziemi", jak zwie się czasem żołnierzy rozmieszczonych na świecie, będzie w Polsce mniej, tymczasowo lub na trwałe. To wynik niespodziewanej dla Warszawy decyzji Pentagonu o wstrzymaniu rotacji amerykańskiej brygady pancernej, jednej z dwóch zmieniających się co jakiś czas na polskiej ziemi. Polskiego rządu nikt o tym nie uprzedził – politycy dowiedzieli się o fakcie z prasy, i to amerykańskiej, równo tydzień temu. Nowa brygada miała przyjechać do Żagania w miejsce tej, która skończyła dyżur. W kwietniu, bez zakłóceń, inna została rozmieszczona w Drawsku Pomorskim.

Rotacyjny model obecności wojskowej USA w Polsce przyjęto w reakcji na kolejne rosyjskie ataki na Ukrainę. Amerykanie zdecydowali, że wobec zwiększonego ryzyka konfliktu, by uspokoić sojuszników ze wschodniej flanki NATO i w razie czego wesprzeć ich w obronie, będą wysyłać do Polski komponent wojsk lądowych wielkości brygady, czyli 3,5–4 tys. żołnierzy ze sprzętem. Pierwsza taka brygada pojawiła się w zachodniej Polsce w 2017 r., krótko po tym, gdy w okolicy przesmyku suwalskiego pod flagą NATO rozgościł się mniejszy kontyngent wielkości batalionu. Wybuch pełnoskalowej wojny zwiększył obawy i przekonanie, że to amerykańskie „buty" i flaga USA mają wobec Rosji największą siłę odstraszania. Administracja Joe Bidena dodała więc drugą brygadę, wysłaną do Drawska.

Rotacje trwały po dziewięć miesięcy, jak na misjach w Afganistanie i Iraku. Z czasem stały się taką normą w polsko-amerykańskiej współpracy wojskowej, że mało kto odnotowywał kolejne zmiany dyżurów jednostek pancernych i zmechanizowanych. Kontyngent amerykański urósł do 10 tys. żołnierzy, na mapie pojawiły się nowe miejsca (Redzikowo, Powidz, Poznań), a Polska zobowiązała się do budowy zaplecza poligonowego i pobytowego, by Amerykanom było wygodniej przy jak najmniejszych kosztach.

Takie rotacje są droższe od stałych baz. Brygada zabiera z USA cały sprzęt: ładuje czołgi na platformy kolejowe, potem na statki ro-ro, a za Atlantykiem wyładowuje się w polskich lub zachodnioeuropejskich portach. Takiego zadania logistycznego nie trenowano od zimnej wojny, ale po latach przerzut stał się rutyną. Mimo braku stałej bazy rotacje dawały więc Polsce polityczny i wojskowy komfort – wszystko zaplanowano tak, by nigdy nie powstała luka w obecności. Dlatego gdy żołnierze z Teksasu, którzy na początku maja uroczyście spakowali sztandar, by kilka tygodni później rozwinąć go w Polsce, otrzymali nagły sygnał „stop", wieść o tym rozeszła się bardzo szybko, choć bez oficjalnego potwierdzenia.

Pierwsze doniesienia były skąpe i opierały się na spekulacjach co do powodów wstrzymania rotacji. Być może to spowodowało, że polskie władze włączyły tryb zaprzeczania – przedstawiciele MON i dowódcy wojskowi twierdzili, że „sprawa nie dotyczy Polski", i przypominali, że Donald Trump, owszem, zapowiedział redukcję wojsk USA w Europie, ale w Niemczech. Mało tego, rząd przyznał, że stara się o ich relokację i chętnie ugości więcej Amerykanów. Te wyjaśnienia przegrały w konfrontacji z faktami – w wojsku wiedziano, że zatrzymani w trakcie przerzutu Amerykanie trafić mieli do Żagania, a pierwsi zdołali już tam dotrzeć razem ze sprzętem. Gdy Pentagon odmawiał oficjalnego komentarza polskim mediom, mnożyły się nieoficjalne potwierdzenia, że chodzi o Polskę.

Na Kapitolu w piątek 15 maja zebrała się komisja sił zbrojnych, by „przesłuchać" zwierzchników wojsk lądowych – sekretarza i szefa sztabu armii USA. Choć tematem sesji nie był kryzys na kierunku polskim, to pytań o traktowanie „modelowego sojusznika" było wiele i nie były przyjemne dla Departamentu Wojny. W toku przesłuchania okazało się, że decyzję o wstrzymaniu rotacji w Polsce podjęto niedawno na podstawie prezydenckiej dyrektywy o zmniejszeniu sił w Europie i że ostateczny głos mieli w tej sprawie sekretarz wojny Pete Hegseth i dowódca sił USA w Europie gen. Alexus Grynkewich. Wyszło też na jaw, że nikt nie poinformował o tym polskich władz.

W Warszawie zaczęło się polityczne przerzucanie winy i wycofywanie wcześniejszych zaprzeczeń z nadzieją, że uda się zmienić fatalny dla rządu i prezydenta bieg zdarzeń. Oba obozy władzy zapewniały przecież o specjalnym statusie Polski w relacjach z USA dzięki wydatkom obronnym, zakupom sprzętu i ogólnej postawie „prymusa", a prezydent Karol Nawrocki – o świetnym osobistym kontakcie z Trumpem. Nikt jednak nie był w stanie wydusić z Waszyngtonu wyjaśnienia ani odpowiedzi co dalej. Coraz wyraźniej widać było, że status modelowego sojusznika niewiele znaczy, a telefonu do Trumpa czy Hegsetha nie ma żaden polski polityk.

Na razie Warszawa zdołała wyprosić jedynie wizytę – w środę 20 maja po brukselskiej naradzie szefów obrony NATO ma przyjechać szef kolegium połączonych sztabów gen. Dan Caine. Ten „pierwszy żołnierz Ameryki" ma niełatwą rolę godzenia żądań prezydenta z interesami i możliwościami wojskowymi USA. Jest szansa, że nie przybywa z pustymi rękami, a może przywiezie jakieś buty.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Lepiej późno niż później

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

W ubiegłym tygodniu w Urzędzie Stanu Cywilnego w Warszawie zrealizowano pierwszą w Polsce transkrypcję małżeństwa osób tej samej płci, tym samym wykonując wyrok TSUE z 25 listopada 2025 r., stwierdzający, że odmowa uznania takiego związku, legalnie zawartego przez obywateli UE, stanowi naruszenie unijnego prawa. Radość środowisk LGBT+ jest jednak zmącona goryczą, ponieważ rząd koalicji 15 października, wybrany głosami także tej grupy wyborców, zwlekał z samodzielną decyzją ponad dwa lata. Trzeba było dopiero wyroku TSUE i Naczelnego Sądu Administracyjnego, który w marcu br. nakazał USC dokonanie wpisu aktu małżeństwa dwóch Polaków zawartego w 2018 r. w Berlinie. Pełna realizacja procedury transkrypcji wymaga zmian legislacyjnych, ale rząd już zapowiedział przyspieszenie prac nad odpowiednim rozporządzeniem. Przy tej okazji premier Tusk wykonał symboliczny gest, u polityków widywany niezwykle rzadko: przeprosił społeczność LGBT+. „Państwo tu przez wiele lat nie zdawało egzaminu" – oznajmił, żeby w kolejnym zdaniu dodać, że decyzja ta nie otwiera możliwości adopcji dzieci przez pary jednopłciowe.

Część liberalnych polityków i komentatorów obawia się, że transkrypcja aktów małżeńskich par jednopłciowych będzie politycznym paliwem dla PiS i zaostrzy konflikt światopoglądowy, choć obiektywne dane wcale na to nie wskazują. Przeciwnie, badania sondażowe – przeprowadzone w 2023 r. i powtórzone przez SW Research na zlecenie DGP zaraz po ogłoszeniu decyzji TSUE – wskazują, że poglądy Polaków w tej sprawie są stabilne, ze wskazaniem na liberalizację (62 proc.): korzystny dla par jednopłciowych wyrok TSUE poparło 24,2 proc. ankietowanych, tyle samo pytanych pozytywnie wypowiedziało się na temat umożliwienia w Polsce zawierania małżeństw jednopłciowych, a kolejnych 13,6 proc. zgadza się, by Polska umożliwiła parom jednopłciowym zawieranie związków partnerskich. Tylko ok. 26 proc. ankietowanych popiera całkowity zakaz legalizacji związków jednopłciowych, a 11,6 proc. ankietowanych nie ma w tej sprawie zdania.

Oczywiście prawica próbuje wykorzystać stopniową i, niestety bardzo powolną, normalizację sytuacji par jednopłciowych w Polsce do atakowania rządu, nie powinno to jednak przysłaniać Donaldowi Tuskowi faktu, że poważniejszym ryzykiem dla KO jest demobilizacja własnego elektoratu, a nie radykalizacja wyborców PiS i Konfederacji. Analiza Kolektywu Analitycznego Res Futura z marca tego roku wskazuje, że wśród niezadowolonych wyborców progresywnych przeważa poczucie rezygnacji i bezsilności. Przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi to bardzo wyraźny sygnał ostrzegawczy, zwłaszcza że różnice między partiami progresywnymi a konserwatywnymi mogą być w 2027 r. minimalne.

Dobrze się stało – tak zwyczajnie, po ludzku – że setkom par jednopłciowych w naszym kraju umożliwiono realizację jednego z najważniejszych praw człowieka. Prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego oraz zakazu dyskryminacji. Jeśli jednak ten argument nie przemawia do niektórych polityków rządzącej opcji, niech przemówi wizja wewnątrzkoalicyjnego sporu, który może się okazać poważniejszym zagrożeniem niż zewnętrzna krytyka ze strony opozycji czy środowisk konserwatywnych.

Egzamin z niespodzianką

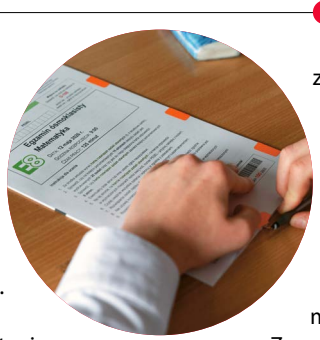

Duże zaskoczenie zdających i ich rodziców wywołała forma tegorocznego egzaminu ósmoklasisty z języka polskiego. Wbrew zwyczajom głównym tekstem literackim, do którego odnosiły się pytania, nie był fragment lektury obowiązkowej. Ósmoklasiści pracowali na dwóch materiałach spoza kanonu: na fragmencie „Bajek robotów" Stanisława Lema oraz na eseju Stephena Hawkinga w tłumaczeniu Marka Krośniaka „Czy możemy kształtować naszą przyszłość?". Wykazać się znajomością treści z listy obowiązkowej też trzeba było, ale w sposób mniej konwencjonalny. Pojawiło się np. polecenie, aby spośród sześciu zdjęć wybrać dwa związane z wątkiem przyjaźni w „Małym Księciu" i uzasadnić swoją decyzję.

Zadanie analizy materiałów, których zdający mogli nie znać, komentatorzy uznali za dobry ruch, ponieważ pozwala ono sprawdzić, na ile uczniowie opanowali umiejętność czytania ze zrozumieniem. Sami uczniowie byli jednak mniej entuzjastyczni. Zwracali uwagę, że na jedno z pytań z gramatyki trudno było udzielić odpowiedzi, która byłaby językowo poprawna i jednocześnie logiczna. Stąd, inaczej niż zazwyczaj, w przeważającej opinii to egzamin z matematyki był tym razem oceniany jako prostszy od polskiego (język obcy w tej konkurencji nie startuje, bo wybierany przez większość angielski jest łatwy zawsze).

Egzamin zdawało 393 tys. uczniów. Zdadzą wszyscy, bo oblać go nie można. Ale to nie znaczy, że młodzi mogą już odetchnąć z ulgą. Niepewność będzie trwać tygodniami. Dopiero 3 lipca będą znane wyniki, a to one w dużej mierze zdecydują o tym, do których szkół ponadpodstawowych nastolatkowie się dostaną. Przy czym ważne będą też oceny na świadectwach ukończenia podstawówki – chodzi np. o przedmioty premiowane przez poszczególne licea. Także pasek na świadectwie, a raczej jego brak, kosztuje rekrutacyjny majątek: siedem punktów na 200 możliwych. W wielu przypadkach walka o te osiągi będzie się toczyć właśnie teraz, a skończy się w połowie czerwca.

To, w której szkole ósmoklasiści ostatecznie wylądują, okaże się w drugiej połowie lipca, bo dopiero wtedy pojawiają się listy przyjętych. Chyba że ktoś odnajdzie błędy popełnione przez egzaminatora przy ocenie jego pracy, wtedy ruszy kołowrót odwołań, ponownego sprawdzania i nakładającego się na to stresu. Choć co roku cała Polska powtarza, że taki system jest wobec dzieci po prostu nieludzki, trzyma się on świetnie, bo podobno inny jest niewykonalny. (J.CIEŚL.)

© DEFENCE24, WOJCIECH MATUSIK/POLSKAPRESS

eprasa.pl 4c91f9e87c

Kac w Wilanowie

Co do zasady to był błąd – mówi o pozwoleniu na imprezę techno na dziedzińcu **Pałacu Króla Jana III** w Wilanowie osoba z grona kierowników państwowych instytucji kultury. Chodzi o Circoloco – wydarzenie zorganizowane 9 maja przez agencję Awake Events, po którym w sieci wybuchło oburzenie, a dyrektor pałacu Paweł Jaskanis został odwołany. Trwająca do 4 rano impreza zakłóciła sen mieszkańców Wilanowa, a także ekosystem sąsiadującego z terenem pałacu rezerwatu przyrody Morysin – z jego bobrami, borsukami, wydrami i wieloma gatunkami ptaków, obecnie w okresie lęgowym.

Oświadczenia dyrekcji pałacu i zarządu Awake Events pokazują, że organizatorzy nie doszacowali emocji, jakie wywołało Circoloco – ani czci, jaką wielu Polaków otacza Wilanów, ani rosnącej wrażliwości na hałas i przyrodę. Wilanowskie muzeum spodziewało się kontrowersji – przygotowało linię obrony, uważało, że działa zgodnie z prawem i standardami. Ale komunikacyjnie popełniono błąd, odpowiadając na emocjonalny skandal językiem tabeli akustycznej i w tonie wyższościowym. Najbardziej toksyczny okazał się jednak nie sam koncert, lecz kontekst społeczny i towarzyski. W tle szybko pojawiły się nazwiska Omeny Mensah i Rafała Brzoski, których fundacje współpracują z pałacem. W internecie utrwaliło się wrażenie, że narodową rezydencję królewską zawłaszczyli celebryci i wielki biznes.

Tymczasem każdy w Warszawie słyszał o wiecznym niedofinansowaniu pałacu. Nic dziwnego, że dyrektor Paweł Jaskanis szukał na to sposobów. Prosimy o komentarz osoby z doświadczeniem dyrektorskim w narodowych instytucjach kultury. Odpowiadają anonimowo: – *To był bardzo dobry dyrektor, człowiek o dużym formacie intelektualnym. Ale szukając pieniędzy, nie po raz pierwszy przeciągał strunę*. Albo: – *To nie problem, że Wilanów otwiera się na niestandardowe działania. Nie powinno się kamienować dyrektora, który tyle zdziałał.*

Ministra kultury Marta Cienkowska zdymisjonowała Jaskanisa, by wygasić kryzys, a oficjalny powód dymisji był celowo ogólny; nie mówiła o potrzebie audytu czy wypracowania regulaminów imprez w tego typu muzeach. Sprawa dała za to wiatr w żagle ruchom miejskim. Petycję o bezpłatne udostępnienie przypałacowego parku podpisało do niedzieli 1,2 tys. osób (tymczasem muzeum ogłosiło, że od 23 maja bezpłatny będzie wstęp na dziedziniec). A zaorany po Circoloco trawnik na pałacowym dziedzińcu stał się atrakcją ubiegłotygodniowej Nocy Muzeów. Internet znów miał się czym pożywić. (JHP)

To nie jest biografia Igi Świątek

Po co autorzy, jeśli jest sztuczna inteligencja? Takim sprytem wykazują się najwyraźniej twórcy cyfrowego **wydawnictwa Bare & Bloom**. Nie ma na to twardych dowodów, ale są poszlaki. „Biografie bez cenzury. Romanse bez wstydu. Kryminały bez lukru" B&B produkuje w hurtowych ilościach, chwaląc się, że ma już tysiące czytelników. Dobrze by było, gdyby więcej się ich nie zebrało i po prostu nie dało oszukać.

Łatwo połknąć haczyk. Wydawnictwo kusi tym, co rzeczywiście „żre" – biografie, romanse i kryminały czytają się w Polsce najlepiej. A jeśli są tą biografie żywych legend, jak Iga Świątek, Robert Lewandowski, Taylor Swift czy – w swojej kategorii wagowej – Doda, to sukces murowany.

Sprawdźmy nieautoryzowaną biografię Świątek „Cena zwycięstwa" autorstwa niejakiego Piotra Nowakowskiego (39 zł w promocji). „Myslatas, ze wiesz co ja kosztowalo. Nie wiesz nic" – nęci wydawca, co skądinąd dowodzi, że AI nie we wszystkim go wyręczyła. Pomógł też być może wirtualny tłumacz. W samej książce niezręczności językowych jest mnóstwo. Przykład? „Raszyn lat dzieciństwa Igi to też – i o tym warto pamiętać" – tu zdanie się urywa, już się nie dowiemy, o czym warto pamiętać. Inne fragmenty też lepiej zresztą zapomnieć, bo ich związek z faktami jest luźny albo żaden. „Autor" zmyśla jak AI i dużo psychologizuje. Czytamy m.in., że Iga „od lat nie może wyjść sama na spacer", towarzyszy jej eskorta ochroniarzy, a każdy turniej poprzedza „rekognoskacja" (polszczyzna nie zna takiego słowa, chodzi pewnie o „rozpoznanie"). Poza tym współpracuje z nią rzekomo szwajcarski psycholog Piotr Candidio (niespodzianka: postać fikcyjna). Dowiadujemy się też, że jesienią 2024 r. w organizmie Igi wykryto trofedrynę (znów: substancja niewystępująca w przyrodzie), choć to była trimetazydyna. Przykłady można mnożyć.

Ciekawostka: wydawca do biografii Igi dołączył gratis książkę „Zaginiona w Tatrach" Mai Stern. „Już w negocjacjach z Netflixem w sprawie ekranizacji. Nominowana do dwóch prestiżowych nagród literackich" – nic o tym nie wiadomo.

Książki B&B ukazują się wyłącznie w wersji cyfrowej, ich autorów trudno namierzyć, wydawcę zresztą też. Adres mailowy jest fikcyjny, telefon nie odpowiada. Wiadomo, że płatności płyną do Krakowa i mamy do czynienia z recydywistami – poprzednim wcieleniem Bare & Bloom było równie oszukańcze wydawnictwo Lilihip. Ale problem z generowaniem szybkich, kłamliwych treści dla zysku będzie tylko narastał. Z mariażu AI i ludzkiego cwaniactwa rodzą się same zgniłe owoce. Nie warto się po nie schylać. (AŻ)

© AGENCJA WYBORCZA.PL, PAP/LECH MUSZYŃSKI, PIOTR CHARA, BARE&BLOOM

eprasa.pl 4c91f9e87c

EUROPEJSKIE
TARGI NAUKI

NAUKA ŁĄCZY
POMYSŁY ROZWIJAJĄ

26-29 maja 2026, Poznań

Międzynarodowe Targi Poznańskie, pawilon nr 5

Keynote speaker II Europejskich Targów Nauki,
prof. dr hab. Dariusz Jemielniak
Dlaczego kłamstwa wygrywają z faktami?
Arkana dezinformacji internetowej

Ekspert zarządzania strategicznego i HR w spółkach technologicznych, wykładowca w Akademii Leona Koźmińskiego i Harvard University.

26 maja 2026, godz. 11:00

Międzynarodowe Targi Poznańskie, pawilon nr 5

WIĘCEJ INFORMACJI:

Konferencje, panele eksperckie, prezentacje projektów wdrożeniowych. Miejsce spotkań uczelni, instytutów i biznesu. Realna współpraca nauki z gospodarką.

PARTNER MERYTORYCZNY:

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

ORGANIZATORZY:

mtp GRUPA

UAM Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Zadanie jest finansowane w ramach dotacji celowej Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego

eprasa.pl 4c91f9e87c

Globalny rozejm przedłużony

Podczas swojej pierwszej kampanii prezydenckiej **Donald Trump** przekonywał: „Nie możemy pozwolić, żeby Chiny nadal gwałciły nasz kraj". Słowa te padły w kontekście chińskiej nadwyżki handlowej w wymianie ze Stanami Zjednoczonymi i szerzej – niesprawiedliwości w dwustronnych relacjach. Zakończenie tego stanu rzeczy było wówczas kluczową obietnicą przyszłego prezydenta USA.

W dniach 13–15 maja Trump gościł w Pekinie u głównego „gwałciciela", czyli przewodniczącego **Xi Jinpinga** – miał być wcześniej, ale wojna z Iranem skłoniła go do przełożenia wizyty. Gospodarz nie miał mu tego za złe i przyjął go z pełną pompą. Były dzieci wiwatujące na cześć Amerykanina, wizyty w miejscach, dokąd inni oficjalni goście nie docierają, np. w Świątyni Nieba, wielki bankiet i róże. Podziwiając je w pałacowym ogrodzie, Trump powiedział, że nigdy nie widział piękniejszych, na co Xi obiecał, że przyśle mu kilka krzewów.

Sielanka była jednak pozorna. Generalnie Amerykanin komplementował swojego gospodarza („Jesteś wielkim przywódcą, każdemu to mówię"), a Xi ostrzegał – przede wszystkim w sprawie Tajwanu. Ta – zdaniem Pekinu – „zbuntowana wyspa", a w praktyce niezależne państwo, choć uznawane tylko przez kilka rządów na świecie, „coraz bardziej zbliża się do kontynentu w wyniku amerykańskiego samookaleczenia międzynarodowego", jak napisał znany brytyjski historyk Niall Ferguson.

Jego zdaniem Chiny nadal nie wykluczają siłowego zajęcia wyspy, która przez dekady była ostoją amerykańskich wpływów w regionie, a dziś jest największym producentem zaawansowanych półprzewodników. Jednak wobec osłabienia globalnej pozycji USA (rozbicie zachodnich sojuszy) i ich zaangażowania w konflikty z wyboru, jak ten z Iranem, Pekin liczy, że Tajwan podda się bez walki, jeśli straci wiarę w amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa.

Xi chciał w Pekinie skłonić Trumpa do deklaracji, że jest „przeciwny" niepodległości Tajwanu, a nie jak dotychczas – że jej „nie wspiera". Różnica niewielka, ale z punktu widzenia Chińczyka w dobrą stronę. Trump nie zająknął się jednak o Tajwanie, choć rozważa ponoć wstrzymanie sprzedaży na wyspę broni o łącznej wartości 14 mld dol., do czego namawiał go Xi. Przyszły los tej umowy zbrojeniowej wiele powie o realnych skutkach amerykańsko-chińskiego szczytu.

W Pekinie oficjalnie nie padło słowo „taryfy", choć niewątpliwie były tematem rozmów. W 2025 r., po tzw. Dniu Wyzwolenia, gdy Trump ogłosił nową tabelę ceł, te dotyczące Chin sięgnęły w pewnym momencie 145 proc., by wymusić na Pekinie – w myśl niezgody na „chiński gwałt" – zrównoważenie relacji handlowych poprzez ograniczenie produkcji na eksport. Na to jednak Chiny – wobec słabnącego wzrostu gospodarczego – nie mogły sobie pozwolić i odpowiedziały groźbą zablokowania eksportu metali ziem rzadkich, niezbędnych dla zaawansowanego przemysłu w USA. Amerykanie więc odpuścili i jesienią Trump ogłosił celne „zawieszenie broni" z Chinami – do października 2026 r.

Wznowienie wojny celnej nie jest jednak na rękę ani Trumpowi, ani Xi. Ten pierwszy ma na jesieni tzw. wybory połówkowe do Kongresu – kryzys ekonomiczny wywołany przywróceniem ceł zmniejszyłby i tak już małe szanse na dobry rezultat przy urnach. Chiny z kolei wchodzą w newralgiczny czas przed przyszłorocznym zjazdem partii, na którym prawdopodobnie Xi zostanie zmuszony do wskazania swojego następcy. Chiński przewodniczący też potrzebuje spokoju. Można się więc spodziewać, że w najbliższych tygodniach pekiński szczyt Trump–Xi zaowocuje przedłużeniem celnego rozejmu.

Trump przed wizytą w Pekinie liczył na pomoc Chin w sprawie Iranu, ale chyba się przeliczył. Wojna na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza blokada cieśniny Ormuz, nie jest wygodną okolicznością dla Pekinu, który przez ostatnie lata kupował podlegającą sankcjom irańską ropę naftową po dyskontowych cenach. Ma jednak spore jej zapasy (według niektórych źródeł nawet na dwa lata), więc brak dostaw Chińczyków mniej zaboli, niż ucieszą koszty, jakie w związku z tą wojną ponoszą Amerykanie – wyczerpanie zasobów zbrojeniowych i międzynarodowego prestiżu. „W przypadku amerykańskiego ataku na Iran Chińczycy postępują zgodnie z zasadą: jeśli twój wróg popełnia samobójcze błędy, to mu nie przeszkadzaj" – napisał amerykański politolog Steven A. Cook.

Prezydent USA nie wyjechał z Pekinu z pustymi rękami. Zadbali o to sami Chińczycy, którzy doceniają zachowanie twarzy w stosunkach międzynarodowych. Zadeklarowali więc, jak twierdzi Trump, że kupią od Amerykanów 200 pasażerskich Boeingów i dużo żywności, w tym soję za 10 mld dol. Poczynili też liczne obietnice wobec biznesmenów towarzyszących gościowi, m.in. Elona Muska, Tima Cooka (Apple) i Jen-Hsuna Huanga (Nvidia, procesory graficzne).

Na koniec jednak Xi wymierzył Amerykanom kuksańca. Publicznie oświadczył, że Chiny i USA wcale nie muszą wpaść w tzw. pułapkę Tukidydesa. Chodzi tu o koncepcję geopolityczną, zgodnie z którą słabnące mocarstwo (USA) jest skazane na konflikt – i ostateczną przegraną – z mocarstwem wschodzącym (Chiny). Xi zasugerował więc łaskawie, że ta wymiana na szczycie jest przesądzona, ale że można ją załatwić polubownie. Trump z kolei, podsumowując szczyt już na pokładzie Air Force One, napisał, że bardzo zazdrości Chińczykom pięknej sali balowej.

ŁUKASZ WÓJCIK

© KYODO NEWS VIA GETTY IMAGES, DANYLO ANTONIUK/ANADOLU/GETTY IMAGES, BENJAMIN CREMEL – WPA POOL/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4c91f9e87c

Podejrzany wice-Zełenski

Andrij Jermak, były szef Biura Prezydenta Ukrainy, uważany do niedawna za drugą osobę w państwie, trafił na krótko za kraty, podejrzany o korupcję i pranie brudnych pieniędzy. Uchodził za polityka wszechmocnego. Decydował o sprawach kadrowych, przepływach finansowych, odpowiadał też za relacje z najważniejszymi partnerami zagranicznymi. Teraz musiał pojawić się na ławie oskarżonych przed Najwyższym Sądem Antykorupcyjnym, a ten orzekł areszt na dwa miesiące. Po weekendzie polityk wyszedł na wolność dzięki temu, że jego znajomym udało się zebrać gigantyczną kaucję (140 mln hrywien, czyli ok. 2,7 mln euro).

Wysocy rangą urzędnicy z Jermakiem na czele mieli inwestować pieniądze z łapówek w budowę luksusowego willowego osiedla Dynastia pod Kijowem. W sumie to blisko 9 mln euro – na tyle udało się zebrać dowody, ale uszczerbki dla budżetu wskutek korupcji władzy mogą sięgać setek milionów. Operacja Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU) i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP) trwała wiele miesięcy i nosiła kryptonim „Midas". Pierwsze zatrzymania i przeszukania w domach urzędników odbyły się jeszcze w listopadzie 2025 r. NABU ujawniło wówczas, że ma nagrania tysięcy godzin połączeń między dygnitarzami z otoczenia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, omawiającymi przestępcze działania. Grupa działała m.in. przy państwowym gigancie energetycznym Energoatom. Kto chciał współpracować z Energoatomem, dawał łapówkę w wysokości 10–15 proc. wartości kontraktu. Szacowano, że skorumpowani urzędnicy mogli zarobić na tym ok. 100 mln euro.

W gangu byli zaufani Zełenskiego, m.in. jego przyjaciel biznesmen Timur Mindycz, minister sprawiedliwości Herman Hałuszczenko, a także były wicepremier Ołeksij Czernyszow. Niektórzy zostali zatrzymani, niektórzy – ostrzeżeni – uciekli za granicę. Listopadowe areszty były tylko przygrywką. Mówiono, że w nagraniach przewija się Jermak, a być może i sam prezydent. Ten ostatni jeszcze latem próbował ukrócić śledztwo poprzez podporządkowanie sobie służb antykorupcyjnch (zapobiegły temu masowe protesty i reakcja sojuszników). Potem długo bagatelizował sprawę. Gdy jednak prokuratura przeprowadziła rewizję w domu Jermaka, musiał zwolnić swojego zausznika.

Czy na Jermaku sprawa się kończy? Szef NABU mówi, że na obecnym etapie prezydent Zełenski nie jest przedmiotem dochodzenia. Ale czy nie będzie na etapach kolejnych, gdy odejdzie z urzędu, nie wiadomo. Gigantyczna afera korupcyjna, która wybuchła w czasie krwawej rosyjskiej inwazji, obniża i tak topniejące zaufanie do władzy. Obciąża też wizerunek prezydenta, zmniejszając jego szanse na pozostanie w polityce po wojnie. PR

Premier na ostatnich nogach

Kierujący rządem Wielkiej Brytanii od lipca 2024 r. **Keir Starmer** gra o przetrwanie, ale frakcja nawołująca do jego dymisji jest coraz liczniejsza. Po katastrofalnych dla Partii Pracy wynikach wyborów samorządowych z początku maja Starmer przekonywał, że zmiana na stanowisku premiera pogrążyłaby jego ugrupowanie w chaosie. Podobnie było z Partią Konserwatywną, która miała pięciu premierów w czasie 14 lat rządów, a zakończyła ten okres wyborczym upokorzeniem w 2024 r., wewnętrznym kryzysem i utratą olbrzymiej części elektoratu na rzecz Reform UK, skrajnie prawicowej formacji Nigela Farage'a. Starmer zamieścił też komentarz w dzienniku „The Guardian", zapowiadając „wzięcie odpowiedzialności" za spadek poparcia dla laburzystów i odejście od „czerwonych linii" w kwestii ponownego zbliżenia Wielkiej Brytanii z kontynentalną Europą.

Jego krytycy wskazują jednak, że wciąż utrzymuje nijaki styl przywództwa, nie proponując żadnych konkretów ani radykalnych zmian w polityce państwowej. Nie wiadomo na przykład, na czym dokładnie miałby polegać reset stosunków z Brukselą i w których obszarach – poza wspólnym rynkiem – Starmer chciałby współpracować bliżej z Komisją Europejską.

Te słabości próbują wykorzystać jego potencjalni następcy. Prym wiedzie minister zdrowia, dotychczasowy bardzo bliski sojusznik premiera Wes Streeting. W ubiegły czwartek opublikował głośną odezwę do członków Partii Pracy, diagnozując, że formacja boryka się z gigantycznym kryzysem przywództwa. Stwierdził nawet, że na szczycie partii jest „próżnia". Znacznie odważniej od Starmera opowiada też o kwestiach europejskich. Dla Streetinga brexit był „katastrofalną pomyłką", którą trzeba odwrócić. Tym samym stał się pierwszym członkiem brytyjskiego rządu, który jednoznacznie mówi o możliwości powrotu Londynu do Unii Europejskiej na pełnych prawach członkowskich.

Wśród innych kandydatów na miejsce Starmera wymienia się byłą wicepremier Angelę Rayner, socjalistkę z laburzystowskiej frakcji tzw. miękkiej lewicy. Głównym faworytem w tej chwili byłby jednak Andy Burnham, burmistrz aglomeracji Manchesteru, który jednak nie może jeszcze rzucić Starmerowi wyzwania, bo nie jest członkiem parlamentu. Możliwe, że to niebawem się zmieni, bo Josh Simons, poseł z okręgu Makerfield, chce zrezygnować, żeby umożliwić mu zdobycie mandatu. Starmer oficjalnie ma już tego ruchu nie blokować, ale Burnhamowi nie będzie łatwo – w okręgu, z którego miałby startować, poparcie dla Reform UK oscyluje w tej chwili w okolicach 70 proc. MM

eprasa.pl 4c91f9e87c

Ile kosztują pupile?

Sejm właśnie uchwalił ustawę o obowiązkowym czipowaniu psów i kotów i ich rejestrowaniu. Teraz decyzja należy do prezydenta. A może czas pomyśleć o NFZ dla zwierząt?

eprasa.pl 4c91f9e87c

AGNIESZKA SOWA

Za miłość do zwierząt trzeba płacić nie tylko słono, czasem nawet podwójnie. Rezonans magnetyczny głowy pieska ważącego 15 kg – koszt 1,5–2 tys. zł. Człowiekowi to badanie zrobią już za 500–900 zł. Cena weterynaryjna zwala z nóg, bo siłą rzeczy składa się także ze znieczulenia ogólnego (trzeba doliczyć anestezjologa i leki). Trudno oczekiwać, że zwierzę będzie spokojnie leżeć. Aparat dla ludzi i dla zwierząt kosztuje tyle samo. Ten ludzki pracuje intensywniej, szybciej się amortyzuje, więc dzięki temu badanie może być tańsze.

Zawrotne pieniądze płacimy nie tylko za wysokospecjalistyczne zabiegi, o czym przekonała się lekarka weterynarii z Pomorza, lecząc własnemu psu obity, zagrożony martwicą ogon. – *Nie liczyłam za usługę, za moją pracę, znieczulenie, pobranie materiału, usg.* – wylicza. – *W ciągu miesiąca wydałam 1,8 tys. zł tylko na leki, opatrunki i badania laboratoryjne. Mój klient zapłaciłby jak nic 3 tys. zł.*

O tym, że leczenie zwierząt domowych jest coraz droższe, wiedzą wszyscy opiekunowie, a w Polsce to już blisko dwie trzecie społeczeństwa, jak wynika z tegorocznego badania Centrum Badawczo-Rozwojowego Biostat.

Ale dlaczego ceny usług weterynaryjnych tak rosną? Prezes Krajowej Rady Lekarsko-Weterynaryjnej Marek Mastalerek wskazuje kilka powodów: wzrost kosztów pracy, sprzętu i cen leków oraz presja sieciowych klinik. I prognozuje: ten wzrost się nie zatrzyma.

Weterynaryjna rewolucja

Kiedyś wizyta u lekarza weterynarii oznaczała badanie fizykalne i najczęściej leczenie objawowe. W zależności od lekarza leczyło się na oko, na wyczucie, na doświadczenie. Diagnostyka była w powijakach. Kiedy w klinikach zaczęły się pojawiać pierwsze rentgeny, wydawało się, że to rewolucja. Potem analizatory do szybkiego zbadania morfologii i podstawowej biochemii. Dziś konsultacja rzadko ogranicza się do badania zwierzęcia (sprawdzenie temperatury, stanu śluzówek, węzłów chłonnych, zajrzenie do gardła, palpacyjne sprawdzenie jamy brzusznej, osłuchanie za pomocą stetoskopu) i wywiadu z opiekunem. Najczęściej lekarz chce zrobić badania krwi i przyłożyć głowicę usg. w miejsce, w którym podejrzewa istnienie problemu. To tzw. FAST, nie pełne badanie, ale bardziej wstępne rozpoznanie. Zlecenie zdjęcia rentgenowskiego nikogo nie dziwi. Konsultacja z psim kardiologiem? – oczywiście, dlaczego nie.

Dzisiejsze przychodnie weterynaryjne coraz częściej to już nie lecznice, ale kliniki przypominające ludzkie szpitale, z zapleczem diagnostycznym, własnym laboratorium, sprzętem do badań obrazowych, cyfrowym rtg., aparatem usg. Nierzadko także tomografem, salą operacyjną, sprzętem anestezjologicznym, oddziałem intensywnej terapii. To wszystko kosztuje.

Jeszcze 15–20 lat temu można było usłyszeć, że w Polsce nikt nie otwiera klatki piersiowej psa i na operację trzeba jechać z pupilem do Niemiec czy Włoch. Niewydolność nerek to był wyrok. Dziś można zwierzę nawet dializować. Oczywiście jeżeli opiekuna stać na wydatek kilku–kilkunastu tysięcy złotych (zależnie od wagi). Onkologia weterynaryjna nie tak wcale dawno temu brzmiała jak wstęp do powieści futurystycznej. A neurochirurgia weterynaryjna zaledwie raczkowała. Dziś usuwa się zwierzętom guzy mózgu, operuje kręgosłupy, wstawia endoprotezy bioder, wszczepia zastawki przy wodogłowiu, a psy i koty zmagające się z nowotworami leczy wlewami chemioterapeutyków (po 2 tys. zł za jeden). Można także radioterapią. Koszt radioterapii leczniczej w RTWet w Miedniewicach, które tylko tym się zajmuje – 20 naświetlań przez cztery tygodnie – to ok. 30 tys. zł. Barierą jest nie tylko cena, także to, że do każdego naświetlania zwierzę musi być w znieczuleniu ogólnym. Nasi pupile mogą też skorzystać z immunoterapii, choć niektórzy weterynarze zastrzegają, że to jeszcze leczenie eksperymentalne.

Niewiele już jest procedur medycyny ludzkiej, których nie wykonuje się u zwierząt. Nie ma np. transplantacji. Ale to dlatego, że nie ma dawców. – *Nie leczy się wad płodów wewnątrzmacicznie, choć w diagnostyce ultrasonograficznej rozpoznajemy wodogłowia czy wady serca* – mówi Anna Jaśkiewicz, specjalizująca się w położnictwie lekarka weterynarii z kliniki Auxilium w Milanówku. – *Nie ma zapotrzebowania ze względu na ryzyko i koszty.*

Specjalizacje, szkolenia i sprzęt

Konsekwencją tego oszałamiającego postępu w medycynie weterynaryjnej jest specjalizacja lekarzy weterynarii. Zresztą wyprzedzająca oficjalne realia. Poza specjalizacjami w leczeniu poszczególnych gatunków zwierząt, np. choroby psów i kotów, trzody chlewnej, drobiu itd., specjalizacje dotyczące domowych czworonogów oficjalnie są tylko cztery: chirurgia, radiologia, rozród i diagnostyka laboratoryjna. Inne dziedziny, np. dermatologia, okulistyka, neurologia, nefrologia, ortopedia, onkologia, anestezjologia, są tylko nieformalne. Ale funkcjonują. I żeby się wyszkolić, trzeba zapłacić za warsztaty i szkolenia.

Najdroższe są z ortopedii: dwa dni na jedną tylko technikę operacyjną kosztują 5–8 tys. zł. I z radiologii, i usg. (dla tych, których nie stać na zrobienie specjalizacji) – dwa dni za 6,5 tys. zł. Tańsze są webinary np. z dermatologii czy alergologii. Lekarzom zatrudnionym w lecznicach niektóre szkolenia opłaca pracodawca. Czyli płacą klienci, bo wszystko to ma wpływ na cenę usług. Rynek jest już tak duży, a stawki tak wysokie, że goły tytuł lekarza weterynarii to już za mało. W efekcie są już tacy uznani specjaliści, którzy zarabiają głównie na prowadzeniu szkoleń, praktykę kliniczną ograniczając do niezbędnego minimum. Postęp w weterynarii nie byłby możliwy, gdyby lecznice weterynaryjne nie dysponowały nowoczesnym sprzętem. Najczęściej co prawda biorą go w leasing, bo np. analizator do badania krwi kosztuje od 10 tys. do nawet 200 tys. zł. Ceny aparatów rentgenowskich, usg., tomografów czy urządzeń do rezonansu magnetycznego idą w setki tysięcy. Lecznice specjalizujące się w okulistyce mają m.in.: oftalmoskop, lampę szczelinową, tonometr weterynaryjny, funduskamerę, wiertarkę okulistyczną czy urządzenie do wymrażania rzęs dodatkowych. I wykonują wszystkie zabiegi okulistyczne, jakie robi się u ludzi. Przy czym ludzie na większość z tych zabiegów muszą czekać miesiącami, jeśli chcą skorzystać z oferty publicznej. W weterynarii państwa nie ma, nie ma również kolejek. Oczywiście dla tych, których na to wszystko stać. ▶

© KARIN MURIK/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ A koszty ciągle rosną. I to po obu stronach. Do wysokospecjalistycznych operacji chirurgicznych niezbędne są specjalne narzędzia, często opracowane tylko pod wykonanie tej konkretnej procedury, a ich ceny też idą w tysiące złotych. Ten drogi sprzęt trzeba serwisować, płacić czynsz, media, płace dla pracowników. Prezes Krajowej Rady Lekarsko-Weterynaryjnej Marek Mastalerek podaje, że średni koszt jednej godziny pracy gabinetu wynosi obecnie ok. 220 zł. W 2014 r. było to 159 zł. – *Podmioty gospodarcze, którymi są lecznice weterynaryjne, mają wyższe ceny prądu, gazu, podatku gruntowego* – mówi właścicielka podwarszawskiej całodobowej lecznicy. – *Ale to jest nic w porównaniu z pensjami dla pracowników. Żądają już naprawdę dużych pieniędzy i nie mówimy tu o średniej krajowej, bo za takie pieniądze nikt w weterynarii nie pracuje.*

Brak cennika

Rosną również ceny leków dla zwierząt. – *Co faktura, cena w górę* – mówi lekarka z niewielkiej lecznicy na Pomorzu. Jej klienci są na ogół niezamożni, ci bogaci jeżdżą do drogich klinik trójmiejskich. Do tego ciągle jakichś leków brakuje. Więc nie tylko producenci podnoszą cenę, także hurtownie, które akurat deficytowy towar mają. – *Kiedy nie było antybiotyku, który najczęściej stosujemy, zaczęliśmy ściągać go z Holandii, i oczywiście cena była wyższa* – opowiada lek. wet. Paulina Roczniak, pracująca w przychodni weterynaryjnej Jacka Banego w Legionowie. Ale holenderska hurtownia realizowała zamówienie na 24 lub 48 butelek, więc robili jedno zamówienie na kilka lecznic. W tym czasie w Polsce oferowano pojedyncze butelki za cenę ponaddwukrotnie wyższą.

Ale nawet gdy lek był oficjalnie niedostępny, lekarzom weterynarii nie wolno było wypisać recepty na ten sam antybiotyk stosowany u ludzi, czyli Augmentin. Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady Europy ogranicza stosowanie leków dla ludzi u zwierząt, wprowadzając zasadę tzw. kaskady, która zezwala na użycie leku ludzkiego tylko wtedy, gdy nie istnieje odpowiedni weterynaryjny produkt np. dla innego gatunku zwierząt. Unijna regulacja weszła w życie cztery lata temu i spowodowała, że leki weterynaryjne stały się bezkonkurencyjne. Producenci mogą dyktować ceny, nie przejmując się, że ludzkie odpowiedniki są znacznie tańsze. I łatwiej dostępne. – *Moczopędny Furosemid kosztuje w hurtowni 11 zł, a jego weterynaryjny odpowiednik jest osiem razy droższy* – mówi lek. wet. Agnieszka Buczkowska. Antybiotyki dla zwierząt także są dwa–trzy razy droższe od tych samych leków sprzedawanych w aptece na receptę.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że leki weterynaryjne zawsze miały wyższą cenę, bo ich rynek jest znacznie mniejszy niż rynek preparatów leczniczych dla ludzi. A proces rejestracyjny, opłaty i badania – takie same. Więc koszty rejestracji rozkładają się na znacznie mniejszą liczbę pacjentów. W dodatku rejestruje się jeden preparat osobno dla każdego gatunku – stąd do leczenia zwierząt domowych często używa się leków dla bydła i trzody chlewnej. Ale unijna regulacja podbiła ich cenę pod sufit.

Weterynaryjne leki na niewydolność tarczycy, które podaje się do końca życia zwierzęcia, bo jest to po prostu hormon, którego chora tarczyca nie produkuje, są na polskim rynku dwa. Jeden tańszy, drugi droższy. Oba są znacznie droższe niż apteczny Euthyrox, którego jednak lekarzowi weterynarii przepisać nie wolno. Niektóre lecznice nie chcą zamawiać tańszego preparatu weterynaryjnego. Prawdopodobnie wynegocjowali z dystrybutorem czy przedstawicielem producenta lepszą cenę, zobowiązując się do niekupowania tańszego leku od konkurencji. Podobnie bywa z preparatami zabezpieczającymi przeciwko kleszczom. Są lecznice, które są wierne jednemu producentowi. Ze szkodą finansową dla swoich klientów. Dobrze wiedzą, że na dzieciach i pupilach się nie oszczędza.

Czy takie praktyki powinny być dozwolone? W Polsce brak jawnego cennika usług weterynaryjnych na stronie internetowej czy w recepcji lecznicy to norma. Na stronie WWW można co najwyżej znaleźć informację: „cena wizyty zależy od rodzaju świadczonej usługi". Jedni tłumaczą to tym, że cena zabiegu, znieczulenia czy doby pobytu w szpitalu zależy od wagi zwierzęcia. A pies może ważyć i 1,5 kg, i 100 kg.

Inni twierdzą, że Izba Lekarsko-Weterynaryjna i ustawa o zakładach leczniczych zabraniają upubliczniania cen, by nie stanowiły elementu reklamy. – *Podanie ceny wizyty, badania krwi, zdjęcia rentgenowskiego to nie jest reklama za pomocą cen, konkurowanie o to, kto tańszy, tylko informacja* – mówi weterynarz Kuba Letek. – *Jej brak jest niekomfortowy dla opiekuna zwierzęcia. I niszczy zaufanie. Cena znana przed jest elementem wyboru. Po fakcie jest niemiłym zaskoczeniem i skłania do komentarzy, że ceny są z kosmosu, a weterynarze to zdziercy.*

Drożej w sieci

Lecznice i gabinety należące zazwyczaj do weterynarzy od kilku lat zmieniają właścicieli. Odkąd weterynaria generuje milionowe zyski, coraz chętniej gabinety wykupują fundusze inwestycyjne czy duże korporacje, które mają całe sieci lecznic. Podobny proces miał miejsce na rynku lecznic medycznych i stomatologicznych. Jedna z sieci placówek leczniczych dla ludzi i dla zwierząt ma zresztą wspólnego właściciela: jest Luxmed i Luxwet. – *Korporatyzacja przyspieszyła rozwój medycyny weterynaryjnej, bo sieci dysponują dużym kapitałem, mogą inwestować w drogi sprzęt diagnostyczny, otwierać całodobowe kliniki* – mówi Kuba Letek, który w Norwegii kieruje oddziałem ortopedii w takiej dużej sieciowej klinice, a wcześniej przez kilka lat pracował w małym rodzinnym gabinecie. Są też w stanie negocjować z hurtownią czy producentem ceny leków. Nie oznacza to jednak tańszego leczenia. Ceny w sieciówkach są wyższe niż w tradycyjnych gabinetach weterynaryjnych.

Lekarka z Pomorza miała pacjenta, który potrzebował transfuzji. Chciała go odesłać do jednej z trójmiejskich sieciowych klinik. Okazało się, że będzie musiał zapłacić za wizytę, badania, próbę krzyżową i oczywiście za krew i transfuzję. Razem 2,5–3 tys. zł. – *Klient pojechał, kupił w innej lecznicy krew za 1 tys. zł, a ja zrobiłam próbę krzyżową i podałam za 150 zł* – mówi. – *Półtora tysiąca zostało mu w kieszeni. Przyda się, bo to jeszcze nie koniec leczenia.*

Opiekunowie narzekają nie tylko na ceny w weterynaryjnych korpo. Także na to, że lecznica przypomina taśmową produkcję, a ich pupil stał się anonimowym pacjentem. Jednego dnia przyjmuje go doktor X, następnego na kontynuację leczenia doktor Y. – *Niektórzy lekarze też się obawiają, że korporacyjna weterynaria będzie funkcjonować w logice czysto biznesowej* – przyznaje Kuba Letek.

Decyzje dotyczące konkretnej kliniki czy przychodni często zapadają poza placówką, na poziomie menedżerów regionu czy całej sieci. – *Leczenie w sieciówkach jest totalnie anonimowe* – mówi

eprasa.pl 4c91f9e87c

© TYLER OLSON/SHUTTERSTOCK

lekarka weterynarii, która w jednej z nich pracowała i przeszła do średniej wielkości kliniki, której właściciele sprzedać się nie zgodzili. – *Łatwiej takim anonimowym ludziom wmówić ceny z kosmosu.*

Lecznica, w której pracuje teraz, działa od 20 lat. Klienci przychodzą do nich już z kolejnymi zwierzakami. Znają się. Niedawno zatrudnili menedżerkę, która pracowała w sieciówce. Chciała podnieść cenę szczepienia na wściekliznę prawie dwukrotnie. – *Spotkała się ze stanowczym sprzeciwem wszystkich lekarzy, chociaż to jest nasz zarobek, i odpuściła* – opowiada lekarka.

A może ubezpieczenie?

I tak już wielu opiekunów nie stać na leczenie. Najtrudniej mają seniorzy. Emerytowana samotna nauczycielka (3,4 tys. zł emerytury) swojemu ukochanemu psiakowi znalazła nową rodzinę. Bała się, że nie da rady zapewnić mu opieki w starości i chorobie. Jednocześnie właśnie seniorzy są najszybciej rosnącą grupą opiekunów zwierząt domowych. Stanowią już jedną piątą zwierzolubów, wynika z badania Mars „Feeding Diary". Ale jak z emerytury opłacić rachunek w lecznicy na 3–5 tys. zł?

Tymczasem opiekowanie się zwierzęciem ma pozytywny wpływ na zdrowie psychiczne i fizyczne seniorów, co potwierdza mnóstwo badań. Zwierzęta towarzyszące są coraz częściej włączane w programy ich aktywizacji i rehabilitacji. – *Możliwość opieki nad zwierzęciem towarzyszącym jest ważną potrzebą społeczną, od której spełnienia zależy dobrostan osób starszych, a zatem państwo powinno im w tym pomóc, czy to bezpośrednio, czy przez regulacje usług weterynaryjnych, na które znaczną część seniorów po prostu nie stać* – uważa prof. Andrzej Elżanowski, zoolog i bioetyk związany z Wydziałem Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Etycznego.

W Norwegii – jak opowiada Kuba Letek – państwo zapewnia tzw. fundusz ratunkowy, wsparcie, które pozwala opłacić np. leczenie przeciwbólowe i podtrzymujące życie przez krótki czas, dając opiekunowi szanse na zgromadzenie funduszy lub w razie potrzeby przeprowadzić humanitarną eutanazję.

– *Bardzo bym chciał, żeby były rozwiązania systemowe, które tym starszym samotnym ludziom pozwalają mieć zwierzęta* – mówi Letek. – *Ale dopóki ich nie ma, jako lekarz weterynarii muszę bronić zwierząt, które walczyć o siebie nie mogą. Mamy w Polsce ogromną liczbę zwierząt bezdomnych, a także tych właścicielskich, ale zaniedbanych i fizycznie cierpiących. Nie dlatego, że rosną koszty opieki weterynaryjnej, tylko dlatego, że ktoś, kogo na to nie stać, przygarnął czy kupił zwierzę. Nie ma rozwiązań systemowych czy jakiejś formy pomocy państwa i cała wina przerzucana dzisiaj jest na lekarzy weterynarii.*

Rozwiązaniem mogłyby być ubezpieczenia, ale rynek ubezpieczeń w Polsce dopiero raczkuje. Firmy boją się wchodzić do kraju, w którym zwierzęta nie są oznakowane i brak jakiejkolwiek standaryzacji usług weterynaryjnych. Te, które się odważyły, oferują bardzo wysokie składki i długą listę wykluczeń. Może rozwiązaniem mogłoby być obowiązkowe ubezpieczenie, o niskiej składce, rodzaj samochodowego NW, które pozwoliłoby opiekunowi pokryć minimum opieki weterynaryjnej w nagłych wypadkach? Taki Fundusz Zdrowia Zwierząt prowadzony przez państwo np. razem z bazą KROPiK.

Sejm właśnie uchwalił ustawę, która wprowadza obowiązek czipowania psów i kotów. Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi, które przygotowało nowe przepisy, szacuje, że rejestr docelowo obejmie ok. 8 mln psów i 6 mln kotów. Elektroniczne transpondery zostaną wszczepione zarówno zwierzętom, które mają swoich właścicieli, jak i tym, które przebywają w domach tymczasowych lub w schroniskach. Jednak koty wolno żyjące mogą być zaczipowane, ale nie ma takiego obowiązku – decyzję będą podejmować gminy. Natomiast bezpańskie koty farmerskie, czyli wolno żyjące w gospodarstwach rolnych, mają być z czipowania wyłączone.

Maksymalny koszt wszczepienia czipa ma wynosić 0,56 proc. przeciętnego wynagrodzenia ogłaszanego przez GUS (obecnie to ok. 50 zł). Tyle samo będzie kosztować rejestracja w bazie, czyli łącznie opiekunów niezaczipowanych zwierząt czeka jednorazowy wydatek 100 zł. Zwierzęta już zaczipowane będzie można przez trzy lata od wejścia nowych przepisów rejestrować w bazie za darmo. Rząd szacuje, że stworzenie i utrzymanie systemu przez 10 lat będzie kosztować ponad 130 mln zł, z czego sam system informatyczny ma pochłonąć 38,5 mln zł. System rejestracji, prowadzony przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR), ma zostać zintegrowany z bazą PESEL i aplikacją mObywatel, co ma uprościć aktualizację danych właścicieli i przypominać m.in. o obowiązkowych szczepieniach przeciwko wściekliźnie.

Ustawa trafia teraz na biurko prezydenta. Co zrobi Karol Nawrocki, tego nie wie nikt, prezydent lubi wetować, a PiS wstrzymał się w głosowaniach nad technicznymi poprawkami Senatu do ustawy. Z drugiej strony ustawa zwalnia z obowiązku czipowania tzw. koty farmerskie, na czym zależało zarówno prezydentowi, jak i PSL ze względu na rolników.

Kilka dni temu „Dzień dobry TVN" zamieściło na Facebooku pytanie: „Ile wydałeś na leczenie swojego zwierzaka?". Niemal wszystkie (na razie ponad 1,5 tys.) odpowiedzi w tym samym tonie: tyle, ile było trzeba, kto by to liczył, zapłaciłbym i więcej, byleby tylko był zdrowy. Aż się wierzyć nie chce, że tak odpowiadają ludzie żyjący w kraju, w którym ciągle psy trzyma się na łańcuchach. Ale mimo wszystko jest to pocieszające.

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 4c91f9e87c

Jako polityk Zbigniew Ziobro jest raczej skończony, ale wciąż jest źródłem kłopotów. Swoją partię osnuwa aurą tchórzostwa, dla rządu zaś jest wyrzutem sumienia i dowodem, że rozliczenia PiS to w sumie klęska.

Zbieg Zbig

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

MICHAŁ DANIELEWSKI

Trzeba to Zbigniewowi Ziobrze przyznać: gdy w niedzielę 10 maja objawił się na żywo w Telewizji Republika, ogłaszając z nieskrywaną satysfakcją, że został komentatorem stacji ze Stanów Zjednoczonych, zaskoczenie było niemal pełne. Niemal, bo już wcześniej media obiegło zdjęcie zbiega na bliżej niesprecyzowanym lotnisku. Wszelkie wątpliwości się rozpłynęły, gdy były szef resortu sprawiedliwości, na którym ciąży 26 zarzutów prokuratorskich oraz nieprawomocne orzeczenie o zgodzie na areszt tymczasowy, wyraził nadzieję na antenie kanału Tomasza Sakiewicza, że „spojrzenie z perspektywy amerykańskiej będzie miało swoją wartość dla stacji". A wielu widzom z wrażenia opadły szczęki.

Szczególnie zdumieni i poirytowani na widok tego obrazka musieli byli ci, którym Ziobro najbardziej chciał zagrać na nosie i nerwach: Donald Tusk, Waldemar Żurek i Radosław Sikorski. Bo po wyborczej klęsce Viktora Orbána na Węgrzech pętla wokół Ziobry zdawała się zaciskać. Również flanka amerykańska miała być względnie zabezpieczona: ani ambasador USA w Polsce Tom Rose, ani szef amerykańskiej dyplomacji Marco Rubio nie byli zwolennikami udzielenia politykowi PiS schronienia w USA. Mimo to Ziobro, prawdopodobnie tuż przed sobotnim zaprzysiężeniem nowego premiera Węgier Pétera Magyara, wsiadł do samolotu i kilkanaście godzin później zameldował się na lotnisku Newark w New Jersey. A wszystko to z unieważnionymi polskimi paszportami – klasycznym i dyplomatycznym – co teoretycznie ograniczało jego pole manewru tylko do europejskiej

strefy Schengen. Jak więc znalazł się za oceanem? Tego wciąż dokładnie nie wiadomo. A znakiem bezradności obozu władzy stały się słowa rzecznika MSZ Macieja Wewióra, który przekazał mediom, że rząd dopiero oficjalnie zapyta stronę amerykańską, jakie dokumenty umożliwiły Ziobrze przekroczenie granicy.

Najbardziej prawdopodobna teoria wskazuje na przyznawany uchodźcom tzw. paszport genewski, który polityk PiS otrzymał wraz z azylem od rządu Orbána. W ten sposób opuścił Węgry, a na teren Stanów Zjednoczonych dostał się zapewne dzięki wizie dziennikarskiej, załatwionej na polecenie z Waszyngtonu w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie. Ten ostatni punkt to z kolei niemal na pewno zasługa polityka Prawa i Sprawiedliwości Adama Bielana, który ma bardzo dobre kontakty w administracji Donalda Trumpa. Potwierdził to nie wprost Radosław Sikorski, który w serwisie X ironicznie pogratulował Bielanowi: „Gratuluję, Adam Bielan. Nie zapomnij o Mejzie, Samerze, Kuczmierowskim i całej reszcie pisowskich aferzystów. Oni też potrzebują się zamelinować" – napisał minister. Ten złośliwy ton to jednak również przyznanie się do porażki: najwyraźniej wpływy w Białym Domu europosła PiS okazały się większe niż szefa polskiej dyplomacji.

Ziobro to obciążenie dla PiS

Sukces Ziobry jest więc spektakularny, z tym że jest to zwycięstwo chwilowe i w gruncie rzeczy pyrrusowe. Bo jako poważny polityk nasz uciekinier wydaje się nieodwołalnie skończony. Pobyt w gościnnych progach potężnego i demonicznego Orbána, rzucającego cień polityczny, ideowy oraz finansowy na polskie życie publiczne, dodawał jeszcze byłemu ministrowi sprawiedliwości odrobinę złowrogiej aury mściciela, który czeka na swój czas. Cokolwiek by mówić, dla autorytarnej władzy na Węgrzech był Ziobro postacią ważną: hołubiono go, chroniono, robiono sobie z nim zdjęcia, zapraszano na oficjalne konferencje i wykłady. Czym innym jednak jest nowa pokątna ucieczka i paradowanie po amerykańskiej ziemi w roli – zależnie od aktualnej wersji – a to zagranicznego korespondenta, a to specjalisty od kontaktów z tamtejszą Polonią. To już pachnie groteską.

W obu wypadkach Ziobro stanowi wizerunkowe obciążenie dla PiS, który ze śmiertelnej powagi oraz wielkich słów i gestów uczynił przecież swój znak rozpoznawczy. Partia Kaczyńskiego od dawna przedstawia sama siebie jako nowych „żołnierzy niezłomnych", formację ludzi z twardym kręgosłupem, zasadami, którzy dla Polski gotowi są zrobić wszystko i ponieść każdą, najokrutniejszą nawet ofiarę. Taka opowieść w sposób uwierająco wyraźny kłóci się z sytuacją, gdy jedna z emblematycznych postaci tego środowiska politycznego rzuca się do panicznej, transoceanicznej ucieczki przed Donaldem Tuskiem. To również woda na młyn dla Konfederacji, która konsekwentnie stara się przedstawiać Prawo i Sprawiedliwość jako hipokrytów, którzy co innego mówią, a co innego robią.

Stąd nie dziwi, że poza starymi druhami z Suwerennej Polski nie ma w PiS wielkiej ochoty, żeby Ziobry bronić. Ba, osiągnięciem byłego ministra sprawiedliwości jest fakt, że do pewnego stopnia połączył walczące ze sobą w partii frakcje. Wyraźnie poirytowany Przemysław Czarnek klarował dziennikarzom, że sprawa Ziobry jest „trzeciorzędna", a poza tym polityk wcale nie uciekł, tylko zwyczajnie „pojechał legalnie do Stanów Zjednoczonych". Mateusz Morawiecki mówił w podobnym tonie, że „sprawa jest dla nas bardzo szkodliwa", ponieważ „jest tematem zastępczym, który pomaga obecnemu premierowi". Natomiast przedstawicielem dominujących partyjnych nastrojów stał się poseł Grzegorz Lorek, który stwierdził: „Jakbym był na jego miejscu, wolałbym pójść do więzienia". Do akcji musiał więc wkroczyć sam Jarosław Kaczyński, który miał zrugać Lorka na posiedzeniu klubu parlamentarnego i odgórnie zaordynować narrację, że ciężko chory Ziobro nie miał szans na uczciwy proces w Polsce władanej przez reżim Tuska. Ale sam fakt, że taką narrację prezes musi narzucać, pokazuje skalę problemu. Widać, że Ziobro jest już dziś przedmiotem, a nie podmiotem polskiej polityki. I nawet jeśli populistyczna prawica w jakiejś konfiguracji wróci do władzy, on sam pozostanie na jej marginesie, chyba że ujawni się jakaś przekora Kaczyńskiego, który poza wszystkim lubi upokarzać swoich wrogów personalnymi nominacjami (np. Krystyna Pawłowicz w TK czy teraz Łukasz Piebiak w KRS).

Nieco komediowym paradoksem obecnej sytuacji (choć zdecydowanie to komedia czarna) jest fakt, że zarówno PiS, jak i koalicji 15 października na równi zależy na tym, żeby Zbigniew Ziobro w Stanach Zjednoczonych zwiedzał, podróżował, cieszył się wolnością, ale broń Boże nikomu w Polsce nie pokazywał się na oczy i ogólnie dał o sobie zapomnieć.

Motywacje PiS są oczywiste, a skąd tożsame pragnienie rządzących? Powód jest banalnie prosty: szanse na ściągnięcie Ziobry do Polski w przewidywalnej przyszłości są czysto iluzoryczne.

Szybkiej ekstradycji nie będzie

Zaraz po ujawnieniu ucieczki Ziobry do Stanów Zjednoczonych minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapowiedział, że natychmiast złoży wniosek o ekstradycję polityka PiS. Szybko się jednak okazało, że zarówno umowa o ekstradycji, zawarta z USA w 2006 r. (pod którą, o ironio, widnieje zamaszysty podpis... Zbigniewa Ziobry), jak i praktyka sądowa wymagają prawomocnego orzeczenia o tymczasowym aresztowaniu, co stanowi pewien kłopot, ponieważ termin rozpatrzenia zażalenia obrońców Ziobry jest zaplanowany na 8 września. Żurek tłumaczył, że wszystko to było celowe: „Chciałem pokazać sądowi: mamy gotowy wniosek ekstradycyjny, czekamy na was. Nieście na sobie ten ciężar odpowiedzialności w tak ważnej sprawie dla wszystkich, dla całego społeczeństwa".

Sąd najwyraźniej ocenił, że ów ciężar go zbytnio nie przytłacza, bo w czwartek 14 maja odrzucił wniosek prokuratury o przyspieszenie rozpatrywania zażalenia na decyzję o areszcie (zresztą coraz częściej słychać opinie, że wymiar sprawiedliwości obawia się powrotu PiS do władzy i zemsty ziobrystów). To zaś oznacza, że procedura ekstradycyjna może się rozpocząć najszybciej jesienią. I tylko wtedy, jeśli amerykański Departament Sprawiedliwości uzna, że wniosek spełnia wszelkie wymogi formalnoprawne. Zakładając, że to nastąpi, sprawa trafi do sądu federalnego, gdzie może toczyć się długie miesiące, a pełnomocnicy Ziobry będą zapewne dowodzić, że żądanie strony polskiej ma motywację polityczną, co według umowy z USA wyklucza możliwość wydania podejrzanego. A jeśli nawet sąd przychyli się do wniosku o wydanie Ziobry, ostateczną decyzję i tak podejmuje Departament Stanu, co z powrotem kieruje nas w stronę walki o skuteczny, polityczny wpływ na amerykańską administrację, którą PiS w sprawie Ziobry już raz wygrał.

Mówiąc najprościej, oczekiwanie powrotu Zbigniewa Ziobry do kraju przed ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ upływem kadencji Donalda Trumpa w styczniu 2029 r. jest grubą naiwnością. Można oczywiście fantazjować, że znany z transakcyjnego podejścia do rzeczywistości prezydent USA łatwo mógłby przehandlować deportację anonimowego dla niego Ziobry w zamian za jakąś szczodrą ofertę polskiego rządu, ale trudno sobie wyobrazić, na czym miałaby ona polegać. Także ostra batalia dyplomatyczna o Zbigniewa Ziobrę to mało prawdopodobny rozwój wypadków. Udzielenie schronienia ściganemu w Polsce byłemu ministrowi sprawiedliwości to w sposób oczywisty nieprzyjazny akt wobec rządu Donalda Tuska, ale dalsze pogarszanie stosunków polsko-amerykańskich byłoby wysoce nieroztropne i niekoniecznie dobrze przyjęte przez większość opinii publicznej. Tę gorzką pigułkę rząd po prostu musi przełknąć, zwłaszcza że PiS niecierpliwie czeka na takie nieprzyjazne gesty wobec USA. Najbardziej optymistyczny scenariusz dla obozu władzy jest więc taki, że we wrześniu sąd w Polsce odrzuci zażalenie na areszt dla Ziobry, a Departament Sprawiedliwości w USA przekaże wniosek o ekstradycję do rozpatrzenia przez sąd amerykański. To będzie można od biedy sprzedać jako mały polityczny sukces i znak, że sprawy mimo wszystko posuwają się do przodu.

Rozliczenia nie wypaliły

Jednak kwestia rozliczeń wygasa już jako paliwo polityczne i zbyt wiele koalicja rządowa na tym terenie nie ugra. Według badania CBOS w czerwcu 2025 r. kwestia rozliczenia rządów PiS była częstym tematem rozmów 42 proc. Polek i Polaków, w marcu 2026 r. ten odsetek spadł do zaledwie 28 proc., stanowi więc przedmiot zainteresowania głównie twardego elektoratu Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy. Dla obozu władzy ten spadek zainteresowania to wbrew pozorom dobra wiadomość, bo ucieczka Ziobry do USA jest symbolem klęski efektownych rozliczeń, zwłaszcza w zderzeniu z kampanijnymi zapowiedziami Donalda Tuska, który obiecywał, że po wygranej tego i owego gościa bez ceregieli i żadnej specjalnej ustawy wyprowadzi się z gabinetu, bo rozliczenia będą twarde i szybkie.

To zresztą od początku była opowieść zbyt prosta i zbyt wysoko windująca oczekiwania wyborców. Nawet w świecie idealnym, z wyczyszczoną po czasach Ziobry prokuraturą i uzdrowionym wymiarem sprawiedliwości, większość śledztw i późniejszych procesów w sprawach afer PiS musiałaby potrwać, bo to sprawy skomplikowane, niezależnie od tego, czy mówimy o defraudacji środków z Funduszu Sprawiedliwości, o aferze RARS czy o nieprawidłowościach w sprawie fuzji Orlenu z Lotosem. Sama sprawa aresztowa Ziobry to według rzeczniczki warszawskiego sądu okręgowego 6 tys. tomów akt, po 400 stron każdy.

Do tego trudności się mnożą, bo świat idealny jednak nie jest i na szczycie prokuratury wciąż roi się od ludzi z zaciągu Ziobry, ponieważ PiS przed oddaniem władzy wprowadził przepisy betonujące stary układ: odwołanie zastępców prokuratora generalnego wymaga zgody prezydenta. Ale nawet śledczy oraz sędziowie niezwiązani ideowo czy towarzysko z ziobrystami wolą w sprawach kojarzonych jako polityczne ostrożnie oglądać paragrafy z każdej możliwej strony. Taka już natura tych instytucji.

Dlatego jako największe osiągnięcie na drodze do rozliczeń należy ocenić skuteczne, kreatywne ominięcie obstrukcji prezydenta i odwołanie w 2024 r. Dariusza Barskiego z funkcji prokuratora krajowego. Bez tej operacji śledztwa w sprawach polityków PiS ślimaczyłyby się jeszcze bardziej. To był sukces Adama Bodnara, któremu przez najbardziej radykalnych, kojarzonych z Romanem Giertychem, zwolenników koalicji 15 października została dorobiona gęba jajogłowego intelektualisty, który ma za dużo skrupułów, a za mało determinacji. Bodnar działał efektywnie, ale nie efektownie, dlatego musiał odejść.

Czarne chmury nad Żurkiem

Na stanowisko ministra sprawiedliwości w lipcu 2025 r. został powołany Waldemar Żurek, co wywołało duży entuzjazm i przekonanie, że teraz rozliczenia ruszą z kopyta. Któż w końcu lepiej nadaje się do przyspieszenia działania machiny sprawiedliwości niż niezłomny, twardy sędzia, represjonowany za rządów PiS. Żurek zrobił doskonałe pierwsze wrażenie, z opinią publiczną komunikował się jasno, konkretnie i zdecydowanie. Nie tylko na konferencjach prasowych czy w telewizji, ale również w mediach społecznościowych. A to nagrał filmik z siekierą pod pretekstem obchodów Światowego Dnia Drwala, bo – jak mówił – „gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą". A to wrzucił do sieci nagranie z konsumpcji żurku pod hasłem „immunitet odebrano, żurek podano". Zwłaszcza to drugie wideo, przygotowane z okazji odebrania immunitetu Zbigniewowi Ziobrze, wyjątkowo źle się zestarzało, a buńczuczne słowa Żurka skierowane do Ziobry, że pożywną zupę podaje się w Polsce również w aresztach śledczych, szczególnie nie wytrzymały próby czasu.

Po ucieczce Ziobry do USA obserwujemy teraz znany i ograny rytuał: do mediów idą kolejni politycy koalicji, by anonimowo opowiadać dziennikarzom, jak to premier Tusk jest na Żurka wściekły, jak wielkim Żurek jest rozczarowaniem i jak bardzo nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań. Ot, typowe przygotowanie artyleryjskie przed ewentualną dymisją. Ale odwołanie Żurka nie miałoby większego sensu, stanowiłoby doskonały przykład przelewania z pustego w próżne: najpierw przed ministrem stawia się nierealne oczekiwania, a kiedy ich nie spełnia, powołuje się następnego, sytuacja się powtarza, więc znowu następuje zmiana i tak dalej. Zwłaszcza że nie bardzo wiadomo, kto miałby Żurka zastąpić, na ławce rezerwowych zostali już chyba tylko prokurator Ewa Wrzosek i poseł Roman Giertych. To zaś kandydatury, które na pewno zaspokoiłyby oczekiwania najzagorzalszych zwolenników rozliczeń, ale wizerunkowo miałyby potencjał efektownej i szybkiej katastrofy.

Sensowniejszą strategią polityczną jest wzięcie głębszego oddechu. Ucieczka Ziobry jest skandalem, który rodzi zrozumiałe poczucie niesprawiedliwości, ale jeśli głębiej się nad tym zastanowić, nie jest niczym bardzo szczególnym. Ustosunkowany, majętny przedstawiciel elit politycznych, z dojściem do szefów rządów i uczestników poufnych narad w Gabinecie Owalnym Białego Domu, ma możliwości, by przynajmniej przez jakiś czas unikać odpowiedzialności. Nie jest pierwszy, nie jest ostatni. Jednak sam fakt, że Ziobro musi w panice uciekać przed polskimi śledczymi, to znak, że proces rozliczeń jednak trwa, śledztwa się kończą, akta trafiają do sądu. A dla byłego nieustraszonego szeryfa i tak największą karą jest fakt, że jego kariera publiczna w Polsce wydaje się definitywnie skończona, bo przekroczył granicę śmieszności. To bywa w polityce bardziej dyskwalifikujące niż łamanie prawa.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

KO–PiS: zacięta prekampania

MARIUSZ JANICKI

Chociaż rząd Donalda Tuska formalnie ma przed sobą jeszcze kilkanaście miesięcy, wydaje się, jakby był już finisz. Wszyscy od dawna szykują się do wyborów. To chyba najszybciej zaczęta kampania od dekad.

Wydarzenia przyspieszają, trwa walka na wrzutki i przykrywki. Problemy ochrony zdrowia czy aferę senatora Tomasza Lenza miało załagodzić podpisanie SAFE, ale triumfalna ucieczka Ziobry spowodowała, że Lenza trzeba było z partii jednak wyrzucić, a dodatkową przykrywką, także imprezy techno w Wilanowie, było pryncypialne poparcie premiera dla transkrypcji małżeństw jednopłciowych, choć w niejasnej formule. PiS natomiast, wystraszony rozrastającą się aferą Zondacrypto, zalicytował całkowity zakaz kryptoaktywów, czym przysporzył sobie nowych problemów i teraz będzie musiał czymś przykryć przykrywkę. A dla tuszowania sporów wewnętrznych prezes Kaczyński wyrzucił posła Łukasza Mejzę, choć wcześniej go bronił. Wszystkie te ruchy, najczęściej grubo spóźnione, wynikają z niepewności, co dzisiaj ludzi oburza, a co da się przeczekać i przemilczeć. Dominuje taktyka „aby nie popsuć”. ▶

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI/REPORTER/SP

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶Jest tak także dlatego, że w polskiej polityce od wielu miesięcy trwa sondażowy remis, w zasadzie fałszywy, ponieważ wszystkie trzy aktywa prawicy są nad progiem wyborczym, a dwa z czterech ugrupowań koalicji rządzącej – pod nim, więc w przeliczeniu na mandaty przewagę zazwyczaj ma prawica. Jednak ten psychologiczny remis skłania ku opinii, że trzeba go dowieźć do okolic wyborów i zadać decydujące ciosy w samej kampanii. Powoduje to, że Koalicja Obywatelska, główna siła władzy, nie chce proponować większych zmian ekonomicznych i społecznych, aby nikogo nie zirytować i tego „remisu" nie stracić. Dotyczy to także PiS – nie tak już pewnego sukcesu w 2027 r. jak tuż po zwycięstwie Karola Nawrockiego – który szuka klucza do powiększenia elektoratu, a nie czuje już tak dobrze wyborców, jak jeszcze dekadę temu, daleko mu też do ułożenia się z ewentualnymi koalicjantami. Po obu stronach widać więc brak klarownej perspektywy. Na co więc liczy ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego, jakie są rachuby partii Tuska? Z wypowiedzi polityków obu formacji, także tych nieoficjalnych, wyłaniają się sposoby, strategie i nadzieje.

Na co stawia Kaczyński?

Czarnek, Morawiecki, Bogucki albo ktoś inny. Jarosław Kaczyński jak zwykle chce mieć otwarte wszystkie opcje, choć ta wielość wariantów nie musi oznaczać siły, wręcz przeciwnie. Pozornie uległ Mateuszowi Morawieckiemu w kwestii jego stowarzyszenia, nie chciał go wyrzucać, bo może okazać się potrzebny. Prezes PiS wyraźnie jeszcze nie zdecydował, który klawisz ostatecznie nacisnąć. Jeżeli nie wyjdzie z przaśnym, ludowo-religijnym nacjonalizmem, który ma lansować Przemysław Czarnek, zapewne powróci do „aspiracyjno-rozwojowego" Morawieckiego, na końcu może się pojawić Zbigniew Bogucki jako człowiek prezydenta – patrona całej prawicy. Może się też pojawić ktoś z drugiego szeregu, jak swego czasu Nawrocki. Jeżeli Morawiecki nie zostanie pisowskim kandydatem na premiera, Kaczyński zapewne przejmie część jego ludzi albo ich wytnie z list wyborczych w przekonaniu, że po wejściu do Sejmu sfrustrowani i tak opuściliby PiS.

W PiS pocieszają się, że mają kilku kandydatów na premiera, a druga strona jest skazana na jednego Tuska. Przyjmują jednak, choć z niskim prawdopodobieństwem, że Tusk może wystawić kogoś innego na premiera i nie musi być to Sikorski, wtedy będą musieli „opracować" nowego kandydata. Poza tym Nowogrodzka liczy na swoje legendarne umiejętności kampanijne, w kampanii parlamentarnej ma pomagać Paweł Szefernaker i jego ludzie.

Braun pod próg. PiS ma nadzieję, że do jesieni 2027 r. uda się zepchnąć Koronę Polską Grzegorza Brauna pod 5-procentowy próg i podzielić sejmowymi fotelami po niej głównie z KO, ale lepsze byłoby to niż konieczność oddania Braunowi ważnych urzędów. To pierwsza wersja, bo według drugiej głosy na Brauna nie mogą się zmarnować. W tym wariancie trzeba go odspawać od Korony gdzieś w okolicach wyborów, aby podciągnął kampanię, ale już sam na tym nie skorzystał. Najnowszy cel pisowców to już nie 40 proc., bo podobno to już wyperswadowano Kaczyńskiemu, ale 35 proc., bo PiS stawia na odłożony efekt trudności rządu, braki w budżecie i rozczarowanie wyborców koalicji 15 października. Prawica liczy też na mniejszą frekwencję w 2027 r., w granicach 65 proc. („Jagodno już nie pójdzie"), co ma jej dać pewną wygraną.

Gnicie rządu Tuska i ustrojowy klincz. Wetowanie ustaw przez prezydenta oraz stały opór ludzi z kręgu PiS poumieszczanych w Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym, KRRiT i innych instytucjach mają sprawić, że rząd Tuska wyda się bezradny i nieskuteczny. PiS ma nadzieję, że ta wzajemna w sumie blokada (projekty Nawrockiego też nie są procedowane) będzie sprzyjać opozycji, a wyborcy skłonią się ku opinii, że władze państwa nie mogą być aż tak antagonistyczne. Skoro więc przez najbliższe lata nie da się wymienić Nawrockiego, trzeba wymienić rząd, aby jakiekolwiek istotne zmiany w państwie stały się możliwe. W tej grze prawica musi uważać, aby nie przesadzić, żeby ta strategia nie stała się zbyt oczywista, a przykład takiego przegięcia sztab Nawrockiego dał ze sławetnym, grubo ciosanym pytaniem referendalnym w sprawie Zielonego Ładu. Liczba wet też musi być limitowana, aby utrzymać pozór „merytoryczności". W sumie to jednak zamysł politycznie racjonalny i dla obecnej władzy niebezpieczny.

Mimo wszystko Trump. Jak słychać z otoczenia Kaczyńskiego, nie jest on skłonny dystansować się od amerykańskiego prezydenta nawet po jego wyskokach. Zachowanie Trumpa na pewno daleko odbiega od jego wyobrażeń o poważnym polityku, ale – co kilkakrotnie Kaczyński powtarzał – liczy się to, że Trump zadekretował „dwie płcie". A poza tym po upadku Orbána na Węgrzech PiS nie ma już żadnych punktów oparcia za granicą poza USA – i może się chwalić, że ma relacje z przywódcą najważniejszego państwa, a Tusk nie. Inni politycy tej partii są bardziej sceptyczni, ale Kaczyński liczy na wsparcie przy okazji wyborów w 2027 r. i choć Orbánowi to nie pomogło, jednak wierzy, że w Polsce przywiązanie do USA jest historycznie bardziej utrwalone. W mediach propisowskich widać przyjętą zasadę, że kiedy Trump powie lub popełni jakieś głupstwo, po prostu się je przemilcza.

Pomoc Nawrockiego. Prezydent, mimo usilnie tworzonego wizerunku niezależnego macho, podąża za PiS jeszcze bardziej niż Andrzej Duda. Kaczyński może na niego liczyć, a sporadyczne zakłócenia na linii, np. podpisanie przez Nawrockiego ustawy o PIP, mogą być licencjonowane przez Nowogrodzką jako dowód bezstronności głowy państwa. Jak wynika z wielu wypowiedzi ludzi PiS, głównym zadaniem prezydenta przy okazji wyborów ma być utworzenie paktu senackiego, w którym oprócz PiS mają uczestniczyć Konfederacja i Korona Brauna. Byłaby to forpoczta przyszłej koalicji rządzącej. Kaczyński wielokrotnie odżegnywał się od sojuszu z Braunem, dlatego tę „czarną robotę" ma wykonać Nawrocki, który takiej obietnicy nie składał, i wtedy Kaczyński dla dobra Polski weźmie Brauna lub jego ludzi do rządu, jeśli inaczej nie da się sklecić sejmowej większości. Głównym formującym rząd prawicy będzie zapewne Nawrocki, który wskaże premiera, a może też ministrów, ograniczając apetyty i Brauna, i Mentzena. Przy czym interesy PiS będą priorytetowe.

Nowe 500 plus. Koncepcja tego rodzinnego dodatku pojawiła się po raz pierwszy około lutego 2014 r., a więc długo przed parlamentarnymi wyborami w 2015 r., i to był dobry strzał, bo zdążyła się ugruntować i jeszcze obsłużyła po drodze wybory prezydenckie. Gdyby PiS chciał powtórzyć taki manewr, nowy pomysł już powinien zostać zaprezentowany, na razie go brak. Słychać jednak, że trwają poszukiwania równie nośnego projektu, który KO będzie miała okazję zanegować pod hasłem braku pieniędzy, a potem

eprasa.pl 4c91f9e87c

środki się znajdą. Tu odbywa się specyficzny wyścig: czy nowy prezent socjalny wyjdzie od PiS, a potem KO będzie musiała go zaakceptować, czy pierwsza będzie Koalicja, a partia Kaczyńskiego wobec atrakcyjności pomysłu nie będzie mogła się sprzeciwić. Czasu nie ma za wiele, a element pierwszeństwa jest decydujący.

A na co zdaje się liczyć Tusk?

Znowu walka o wszystko. Donald Tusk już kilka razy na X sugerował, że o to będzie chodzić w przyszłorocznych wyborach. Na razie odzew jest, łagodnie mówiąc, znacznie mniej entuzjastyczny niż w 2023 r. Efekt świeżości dawno minął, do rządu jest mnóstwo pretensji, często pojawia się wręcz opinia, że Tusk w dużej mierze zmarnował prodemokratyczne wzmożenie i nie bardzo wiadomo, czego teraz bronić. Ale pozostaje sprzeciw wobec wizji triumfalnego powrotu do władzy figur z lat 2015–23, przeciwko którym demokraci zdarli zelówki w marszach i demonstracjach.

Chodzi więc może bardziej o wzbudzenie odruchu niechęci do emblematycznych postaci pisowskiego reżimu niż o obronę dorobku obecnego rządu. Nie wiadomo, czy to wystarczy, podobnie jak rysowanie dychotomii w rodzaju „pisowski Wschód i platformerski Zachód", zagrożenie polexitem, nacjonalistycznym, kościelnym skansenem itp. Nie sposób ocenić, na ile te emocje są jeszcze produktywne, czy nie pojawi się obojętność, chęć odegrania się na KO za niespełnione obietnice na zasadzie – to niech już rządzi PiS, oni przynajmniej niczego nie udają i robią to, co mówią. Przywrócenie sensu walki po prezydenckiej katastrofie, przeciwstawienie się przekonaniu, że „o nic już nie chodzi", będą tu decydujące.

Mocna Lewica, ludowcy nad progiem. Wzrosty sondażowe partii Tuska – jak się zdaje – dobiegły na razie końca, choć jej przewaga nad PiS jest wciąż całkiem pokaźna. Problem jest z Lewicą, która nie potrafi dotrzeć do 10 proc., co dawałoby łącznie wynik w okolicach remisu z prawicą. Jednak formacja Włodzimierza Czarzastego lawiruje w granicach 5–8 proc. W każdym razie prowizoryczny plan jest taki, że KO dowozi do wyborów ok. 31–32 proc., Lewica dociąga do 9–10 proc., a PSL, może w jakiejś kolejnej dziwnej koalicji, nadludzkim wysiłkiem wydobywa się ponad 5-procentowy próg – i to ma dać minimalną większość sejmową. Na takiej konfiguracji opierają się dzisiaj rachuby obozu władzy, zakładając, że PiS się nie odbije, a obu konfederacjom też nie wzrośnie. Gdzieś tam w okolicach obozu władzy pojawia się koncepcja, że Morawiecki znajdzie się w końcu poza PiS i jeżeli rozstanie będzie odpowiednio wrogie, to Rozwój Plus z PSL mogą stanowić rezerwę rządową dla KO. W każdym razie przy politycznym „remisie" Morawiecki, wiceprezes PiS, staje się powoli centralną postacią po obu stronach.

Bezpieczeństwo jako filar. Od początku swoich rządów premier Tusk postawił na temat bezpieczeństwa i obronności. Co pewien czas podnosi kwestię bardzo bliskiego zagrożenia agresją ze strony Rosji, jak ostatnio, kiedy mówił o możliwych dramatycznych wydarzeniach w perspektywie „kilku miesięcy". Temu służy propagowanie sukcesu związanego z programem SAFE, zacieśnianie wojskowej współpracy z Francją, Wielką Brytanią, krajami skandynawskimi. Tusk ustawił się w roli koordynatora europejskiego programu zbrojeniowego w sytuacji niepewnej zwartości paktu NATO. To podejście jest politycznie racjonalne, ale nie wiadomo, jaka jest tu siła rażenia. Jak pokazują badania, Polacy najbardziej bali się wojny po napaści Putina na Ukrainę. Psychologicznie jest zrozumiałe, że trudno żyć w takim strachu przez całe lata.

Może pojawić się granica lęku, po której przekroczeniu ten, kto straszy, zacznie być nielubiany. PiS wyczuł tu szansę, kiedy mówi o SAFE, że to „zadłużanie na pokolenia". Takie hasło to wyjście na niwę krajową, powiązanie z bieżącymi trudnościami wewnętrznymi. Widać, że Tusk dobrze czuje się w polityce europejskiej, możliwe, że lepiej niż w krajowej, która może go czasami męczyć. Ale PiS, który nie ma dobrego wejścia na międzynarodowe salony, ma przez to dużo czasu na sprawy krajowe, jest stale obecny, drąży wszystkie kwestie: ochronę zdrowia, ceny prądu, większe lub mniejsze afery KO, na które nie ma szybkiej reakcji strony rządowej. Jeśli Tusk postanowił szybować w wielkiej polityce, to ludzie Kaczyńskiego wciąż są mistrzami polityki małej, codziennej, która może zdecydować o wyniku wyborów.

Superpomysł. Chodzi o taką ustawę, której prezydent Nawrocki nie byłby w stanie zawetować, nie narażając się na społeczny gniew. Jednocześnie nie mógłby to być chwyt zbyt kosztowny, bo finanse państwa są napięte, co już teraz PiS wykorzystuje. A przydałby się, żeby było czego bronić w wyborach, tyle że nie ma na razie klarownych propozycji. Te z pierwszej połowy kadencji, w rodzaju „babciowego" czy „renty wdowiej", słabo się przebiły. Stąd poszukiwanie pomysłu mniej „wypłatowego", a bardziej systemowego. I tu także słychać, że albo będzie jakiś genialny wynalazek, albo żaden, bez rozdrabniania się. Intensywniej ma być za to wykorzystywany program KPO, który dotąd politycznie w pełni nie zagrał.

Tusk w trybie turbo. Lider KO już pokazał, że jest w stanie sam pociągnąć kampanię swojej partii, jak w 2007, 2011 i 2023 r. W KO panuje więc wiara w cudowne możliwości przewodniczącego, który może i nudzi się codzienną rządową orką, ale jest wyborczym koniem wyścigowym. Ponownie włoży białą koszulę, podwinie rękawy, weźmie mikrofon i znowu zaczaruje publiczność. Skoro udało się trzy razy, uda się i czwarty. Nie da się tego wykluczyć, Tusk rzeczywiście jest retorycznie bardzo sprawny, ma specyficzny kontakt z publicznością, kiedy zręcznie żongluje dystansem i poufałością, ale sytuacja w każdej kampanii jest inna. W 2023 r. został zawarty niepisany pakt z wyborcami, że chodzi o coś wielkiego i historycznego, że uczestniczy się w triumfalnym powrocie wolności. To oczywiste, że przy prozie rządzenia trudno złapać kontakt z tak podniosłym nastrojem, ale tym razem ten rozdźwięk jest dotkliwy.

Pytanie więc, czy Tuskowi uda się odtworzyć tamtą atmosferę święta, po tym co się stało – a zwłaszcza nie stało – przez lata jego władzy. Nie będzie to proste, bo kolejne wyborcze obietnice po „100 konkretach" z 2023 r. nie zabrzmią wiarygodnie, rozliczenia już nie zadziałają, bo się praktycznie nie odbyły, związki partnerskie czy złagodzenie przepisów aborcyjnych drugi raz jako zobowiązanie Tuska też nie mają większego sensu. Zresztą widać, że KO postanowiła być teraz proeuropejską prawicą i szuka programu, który by do tego profilu pasował.

W każdym razie czas wzruszających legend i epickiej walki dobra ze złem raczej przeminął. Szykuje się męcząca walka na punkty i błędy przeciwnika, szukanie chwilowego wiatru i dyspozycji dnia. Nadchodzące wybory będą inne niż te w 2023 r., pozbawione już pewnych złudzeń i nadmiernych nadziei, ale nie mniej zacięte.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Lewa razem?

To co ich podzieliło, to się już nie sklei? Lewice Włodzimierza Czarzastego i Adriana Zandberga tak bardzo się od siebie oddaliły, że widoków na wspólną listę prawie już nie ma. Ich rywalizacja może mieć zasadniczy wpływ na rozstrzygnięcia w przyszłorocznych wyborach.

RAFAŁ KALUKIN

W sztabach obu lewicowych partii na ostro ruszyły przygotowania do kampanii wyborczej przed przyszłorocznymi wyborami. Analizowane są badania, toczą się dyskusje nad strategią. Bardzo wcześnie jak na polskie realia, należy się zatem spodziewać rywalizacji jeszcze dłuższej i intensywniejszej niż dotychczas.

W poprzednich dwojgu wyborach lewica startowała w jednym bloku. Rok temu doszło jednak do rozwodu i od tej pory Razem raczej utwierdza się w przekonaniu, że była to decyzja słuszna. Czarzasty konsekwentnie jednak uprawia względem lidera Razem Adriana Zandberga swoistą politykę miłości. W niedawnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" wspomniał o łączącej ich osobistej przyjaźni, co znających sejmowe realia musiało nieźle rozbawić. Wzajemności wyraźnie bowiem brakuje. Partia Razem konsekwentnie umacnia tożsamość ugrupowania opozycyjnego i nawet jeśli koncentruje krytykę na samym premierze, bynajmniej nie sprawia wrażenia zakłopotanej, kiedy rykoszetem obrywa lewica Czarzastego.

Co uchodzi jej najczęściej bezkarnie, gdyż lewicowy senior nakazał swojej formacji ignorować zaczepki, licząc na to, że „młodość się wyszumi", ale na koniec zmądrzeje. Tylko że bezkarność najczęściej rozzuchwala, ośmielając do kolejnych ataków. W efekcie w skołowanych sytuacją ogniwach Nowej Lewicy narasta wrogość wobec niedawnego partnera i gdyby nawet Czarzastemu jakimś cudem udało się na koniec skłonić liderów Razem do budowania wspólnych list, byłby to proces trudniejszy i bardziej najeżony konfliktami personalnymi niż w poprzednich podejściach.

Tymczasem poligonem lewicowej rywalizacji jest dzisiaj Kraków. W mieście dobiega właśnie końca kampania przed referendum w sprawie odwołania prezydenta miasta Aleksandra Miszalskiego. Jej finał jest trudny do przewidzenia, ale upadku włodarza z Koalicji Obywatelskiej nie można wykluczyć. Kiedy jednak akcja dopiero się zaczynała, Czarzasty natychmiast wyczuł w tym szansę dla swojego ugrupowania i zamówił pogłębione badanie nastrojów w mieście. Na ich podstawie nabrał przekonania, że Miszalski upadnie.

I chociaż na co dzień zabiega o wizerunek lojalnego koalicjanta Tuska, kazał krakowskim strukturom Nowej Lewicy zrobić krok w tył i poczekać na rozwój zdarzeń. Bo jeśli prezydent faktycznie zostanie odwołany, za parę miesięcy trzeba będzie przeprowadzić nowe wybory, w których ma wystartować popularna krakowska posłanka Nowej Lewicy Daria Gosek-Popiołek. Z szansami na dobry wynik, a może nawet... wygraną?

To już jednak piętrowa spekulacja. Dla KO przegrane referendum niewątpliwie byłoby ogromnym problemem, nie tylko wizerunkowym. Również politycznym, gdyż nie dysponuje sensownym zmiennikiem do ponownej rozgrywki o prezydenturę. Z kolei kolejna porażka, szczególnie w pierwszej turze, byłaby już absolutną katastrofą. W Nowej Lewicy urodził się więc plan przekonania silniejszego partnera z koalicji, żeby wystawić Gosek-Popiołek jako wspólną kandydatkę.

Tylko czy jest on realny? Już pomijając, że to dzielenie skóry na niedźwiedziu, bo Miszalski może się przecież utrzymać. Nie ulega wątpliwości, że ewentualne wybory skupią uwagę opinii publicznej nie

eprasa.pl 4c91f9e87c

tylko w Krakowie. W analogicznych sytuacjach zwykle powraca niezbyt mądry, ale atrakcyjny do eksploatowania przez partie i media zwyczaj traktowania lokalnych wyborów jako prefiguracji ogólnopolskich. A w tej sytuacji trudno oczekiwać od najsilniejszej rządzącej partii, że z własnej woli abdykuje.

Niemniej nawet po obniżeniu oczekiwań scenariusz z wyborami pozostałby istotny w kontekście wewnątrzlewicowej rywalizacji. W kampanię przeciwko Miszalskiemu zaangażowana jest bowiem współprzewodnicząca Razem Aleksandra Owca, która w razie odwołania obecnego prezydenta niemal na pewno wystartuje w wyborach. Tyle że w mieszczańskim Krakowie na lewicową „niepokorność" nigdy nie było specjalnego zapotrzebowania, co faworyzuje stateczniejszą kandydatkę Nowej Lewicy. Tym bardziej że wybory musiałyby się odbyć w sierpniu, kiedy uniwersytecki kampus stoi opustoszały, a to przecież tam znajduje się naturalne zaplecze wyborcze Razem.

W tej rozgrywce niemal wszystkie atuty trzymałaby zatem lewica starsza. Stąd nieukrywana nadzieja jej rachującego każdy detal lidera, że przy dużej dysproporcji wyników konkurencyjne środowisko spokornieje i wtedy powróci temat wspólnej listy.

Problem w tym, że kierowanie się samymi tylko kalkulacjami może się okazać w tym przypadku zawodne. Czarzasty jak każdy polityczny pragmatyk zapewne zakłada, że inni uczestnicy politycznej gry tak samo kierują się logiką korzyści. A nie zawsze tak bywa, bo w polityce pojawiają się niekiedy również idealiści, nawet jeśli jest to gatunek ogólnie wymierający. Wobec takiej postawy realizm okazuje się jednak bezbronny, wręcz staje się pułapką.

Przypadek Adriana Zandberga jest zresztą szczególny, biorąc pod uwagę jego wyrazistą drogę ideową i specyficzną konstrukcję psychiczną. Tożsamość lidera „autentycznej" lewicy od samego początku budował bowiem na twardej kontestacji SLD. I nie była to polityczna strategia, lecz szczere przekonanie. Zakładając w 2015 r. Razem, miał już za sobą 20-letnią niemal krucjatę, którą prowadził w niszowej młodzieżówce, ideowym stowarzyszeniu i rozmaitych ruchach społecznych. Start nowej partii był obiecujący, ale potem wszystko siadło. Wchodząc w wyborczy alians z Sojuszem cztery lata później, Zandberg w jakimś sensie zaprzeczył młodzieńczym ideałom, chociaż wtedy mogło się wydawać, że to bardziej przekroczenie samego siebie, moment osiągnięcia politycznej dojrzałości. Po latach spędzonych na marginesie jego środowisko wreszcie dostało się do Sejmu, a on sam trafił do grona najbardziej wyrazistych polskich polityków.

Już teraz mniejsza o to, czy umiał ten kapitał wykorzystać. Ważne, że powtórka w 2023 r. okazała się gorzka. Już ogólny wynik Lewicy był poniżej oczekiwań, a partnerów ostatecznie poróżnił stosunek do rządu Tuska. Odłączając się przed wyborami prezydenckimi, Razem zagrało va banque, ale start lidera okazał się nadspodziewanie udany (4,86 proc.). Wywołało to euforię, utwierdzając całe środowisko w przekonaniu, że pójście na swoje było słusznym wyborem. Na co miały również wpływ wrażenia z kampanii: tłumy na wiecach, poczucie silnej więzi z młodym pokoleniem. Według badania exit poll w grupie 18–29 lat Zandberg miał dostać aż 20 proc. głosów, co było drugim wynikiem po Sławomirze Mentzenie (35 proc.). Wielu analityków przewidywało, że po nieuniknionej wymianie pokoleniowej w przyszłości to właśnie oni dwaj wejdą w buty Tuska i Kaczyńskiego jako dyrygenci nowej polaryzacji.

Od takich prognoz może zaszumieć w głowie, nawet jeśli często okazują się później chybione. Mający dotąd skłonność do okresowego gnuśnienia polityk poczuł wiatr w plecy i bodaj po raz pierwszy w politycznej karierze zaczął systematycznie pracować nad utrwalaniem popularności. I chociaż sondaże nie gwarantują jego formacji przetrwania na scenie, bo jedynie w pojedynczych badaniach udaje się Razem minimalnie przekroczyć 5 proc., w środowisku panuje przekonanie, że systematyczne objazdy po kraju w połączeniu z dużą aktywnością w mediach społecznościowych pozwolą utrzymać się na przyzwoitym poziomie do momentu rozpoczęcia właściwej kampanii. A wtedy jak nic powróci entuzjazm z wieców prezydenckich i fala wyniesie Razem wysoko w górę.

Podobno wiara potrafi przenosić góry, toteż obecne podprogowe poparcie wcale nie musi deprymować, na co tak liczy Czarzasty. Znający nieco lepiej środowisko Razem są zresztą zgodni, że Zandberg wolałby już skończyć pod progiem (ale z prawem do budżetowej subwencji, czyli powyżej 3 proc. w wyborach), niż kolejny raz dać się „upupić" systemowi. Z drugiej strony po ośmiu latach na Wiejskiej byłoby to jednak dosyć twarde lądowanie, bo wygodniej jest mimo wszystko robić politykę, mając biuro i niezłą poselską dietę, niż „po godzinach", kiedy trzeba samemu zarobić na życie (ewentualnie utrzymać się ze skromnego etatu w organizacji partyjnej). Dawnemu Zandbergowi i jego najbliższym towarzyszom takie przeszkody nie wadziły, ale trudniej być idealistą, kiedy już prawie pięćdziesiątka na karku.

Na przekór metrykom liderów Razem chce być partią pokoleniową. Jej „antysystemowość" coraz częściej przykrywa więc tradycyjną lewicową identyfikację. Przekaz został uproszczony, bardziej liczy się ekspresja komunikatu. Dominują popularne formaty: cięte komentarze, pomysłowo aranżowane scenki, odniesienia popkulturowe. W nawiązującym do „Gwiezdnych wojen" filmiku Zandberg stoi na czele grupki „mistrzów Jedi", którzy rzucają wyzwanie „imperium", czyli całej klasie politycznej. Podobnej estetyki używał już nieraz konfederata Sławomir Mentzen, który zresztą z legendarnej epopei George'a Lucasa pożyczył sobie nazwę swojej partii Nowa Nadzieja.

Jeszcze nie tak dawno Razem chętnie wchodziło w ideowe zwarcia z Konfederacją, ale teraz to już tylko incydenty. „Antysystemowość" zobowiązuje: wrogami są Tusk, liberałowie i od czasu do czasu ich giermek Czarzasty. To oni są obiektem kontestacji, która jednak w treści i doborze tematów pozostaje konsekwentnie lewicowa. Teraz chodzi głównie o zapaść w ochronie zdrowia, ale też niedoinwestowane usługi publiczne, ogólne zapóźnienie rozwojowe prowincji. Problem w tym, że socjalne recepty Razem wydają się mocno rozmijać z realnymi oczekiwaniami młodego pokolenia oraz jego indywidualistycznym podejściem do życia.

Postępująca katastrofa opieki zdrowotnej to niewątpliwie największy dzisiaj problem społeczny, tyle że młodych akurat dotyczy w najmniejszym stopniu i trudno będzie ich tym tematem zmobilizować. Podobnie z postulatami rozwoju transportu publicznego, atrakcyjniejszymi w zatłoczonych wielkich miastach niż w Polsce lokalnej, gdzie symbolem statusu pozostaje własny samochód. Tak samo zresztą jak mieszkanie w kredycie, nawet jeśli tanie ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ mieszkanie na wynajem jest w istocie opcją wygodniejszą i bezpieczniejszą. Skądinąd są to postulaty lansowane przez obie lewice, tyle że formacja Czarzastego zabiega o nieco starszych wyborców, którzy zaczęli już urealniać swoje aspiracje życiowe. Tymczasem Zandberg celuje w grupę będącą dopiero u progu dorosłości, której Mentzen nieprzypadkowo oferuje „dom, trawnik i dwa samochody".

Swoją drogą problem niedopasowania towarzyszy Razem od bardzo wielu lat. Chociaż pragnęła reprezentować klasy ludowe, docierała głównie do wykształconych i relatywnie zamożnych mieszkańców wielkich miast. To się kolejny raz potwierdziło w ostatnim rankingu zaufania CBOS. Zandberg najlepiej tam oczywiście wypada w oczach uczniów i studentów (55 proc. ufających), ale tuż za nimi lokują się przedsiębiorcy (45 proc.), kadra kierownicza i specjaliści (44 proc.) oraz pracownicy biurowi (37 proc.). Najgorzej z kolei przyjmują gorenciści (9 proc.), rolnicy (10 proc.) i bezrobotni (17 proc., lecz blisko połowa w ogóle o nim nie słyszała).

Ale po przejściu na „antysystemowość" jeszcze dziwniejsze wrażenie robi jego rozchwiany profil polityczny. Pozostając mimo wszystko lewicowym politykiem, cieszy się zaufaniem raptem 45 proc. wyborców deklarujących lewicowe poglądy, przy 26-procentowym poziomie nieufności. W centrum to odpowiednio 31 do 25 proc., z kolei w grupach o identyfikacjach prawicowych odnotowano remis 30 do 31 proc. Co to oznacza? Że wiarygodność Zandberga szczególnie w młodym pokoleniu w niewielkim tylko stopniu wynika z tego, co mówi, a bardziej liczą się jego swada, zadziorność, buntowniczy styl. Jest po prostu hologramem ogólnie wywrotowej postawy.

Tyle że to wrażenia zazwyczaj ulotne i trudno na nich budować stabilne poparcie, o czym przekonał się chociażby Szymon Hołownia. On również był kiedyś przekonany, że skoro w prezydenckim debiucie nagle mu „kliknęło", to już w każdej kampanii będzie łapał podobną falę. Okazało się jednak, że obstawiając najbardziej kapryśne grupy wyborców, można się później mocno rozczarować. Szczególnie kiedy chodzi o elektoraty młode.

Na tym tle Nowa Lewica pozostaje oazą przewidywalności i stabilności. Tyle że jest to stabilność na skromnym poziomie 6–7 proc. Gwarantującym zapewne przetrwanie, ale o dwucyfrowym wyniku mówią już tylko najwięksi optymiści. Nawet wyniesienie Czarzastego na marszałkowski fotel niewiele w sumie dało. On sam niewątpliwie dociążył się jako lider, ale średnia sondażowa podniosła się od grudnia o symboliczne 0,2 pkt proc.

Rywalizacja z Razem jest raczej tylko korespondencyjna, gdyż Nowa Lewica już sobie odpuściła młodych wyborców. Celuje w grupy starsze, o które aksamitnie konkuruje z KO. Czarzasty stara się wykorzystywać każdy przypadek lawirowania Tuska, który musi z kolei uwzględniać bardziej konserwatywne wrażliwości. Najświeższy przypadek to oczywiście kwestia transkrypcji zawartych za granicą związków partnerskich.

Po wyrokach TSUE i NSA otoczenie Tuska przestraszyło się, że w wyniku administracyjnego uregulowania statusu par jednopłciowych do polskich sądów wpłyną wnioski o legalizację faktycznie sprawowanej już opieki nad dziećmi. I że wystarczy jeden przychylający się do tego wyrok akurat w roku wyborczym, żeby prawica rozpętała histerię wokół rzekomej adopcji dzieci. Tusk kazał więc wstrzymać proces, co oczywiście stało się natychmiast problemem również dla Nowej Lewicy. Czarzasty przez wiele tygodni wywierał więc presję na większym partnerze, aż wreszcie dopiął swego. W ubiegłym tygodniu Ministerstwo Cyfryzacji wydało stosowne rozporządzenie i lewica mogła ogłosić sukces.

Jej kampania nie będzie jakoś specjalnie innowacyjna, bo też sprawowanie władzy ogranicza fantazję. Jak do tej pory skupiać się będzie na podkreślaniu punktowych osiągnięć podległych sobie resortów. Wcześniej była to głównie renta wdowia, która trochę już się jednak zdążyła opatrzyć. W Ministerstwie Rodziny Agnieszki Dziemianowicz-Bąk trwa wielkie odliczanie przed wejściem w życie ustawy o inspekcji pracy, która została wyposażona w prawo przekształcania umów śmieciowych w pełnoprawne etatowe. Resort spodziewa się lawiny wniosków, które już w pierwszych miesiącach obowiązywania nowego prawa mogą wywołać rewolucję na rynku pracy. Jeżeli prognozy się potwierdzą, będzie to jeden z głównych punktów w kampanii. Kolejny to rozkręcający się w tym roku program budowy tanich mieszkań na wynajem.

O wielkim lewicowym odbiciu nie ma jednak mowy. W obecnym Sejmie obie formacje mają łącznie 25 mandatów. Gdyby wybory odbyły się teraz, Nowa Lewica z uśrednionym poparciem 6,6 proc. mogłaby liczyć najwyżej na kilkanaście mandatów, z kolei Razem (3,8 proc.) musiałoby się zadowolić jedynie budżetową subwencją. Łącznie obie formacje mają jednak nieco ponad 10 proc., co zapewne by się przełożyło na ok. 50 mandatów. Ale to tylko arytmetyka, podczas gdy polityczne cele zdążyły się szeroko rozejść. Bo gdyby nawet udało się jakimś sposobem połączyć wysiłki, to co później?

Celem Nowej Lewicy jest przedłużenie władzy w ramach obecnej konfiguracji (chociaż już pewnie bez Polski 2050). Czym Razem nie jest oczywiście zainteresowana, nawet jeśli jej liderzy mają nadzieję opuścić strefę sejmowego recenzenta i uzyskać realną sprawczość. Idealny dla tego środowiska scenariusz pojawił się w konkluzji jednego z niedawnych sondaży, w którym partia Zandberga nieznacznie przeskoczyła ponad progiem. To jednak wystarczyło, żeby przy absolutnej równowadze sił pomiędzy blokiem liberalno-lewicowym i prawicą stać się języczkiem u wagi.

Nie wchodząc na stałe w żaden z koalicyjnych układów, Razem byłaby w takiej sytuacji chętna wesprzeć jedną ze stron, ale tylko w niektórych sprawach i po spełnieniu konkretnych warunków programowych, praktycznie czyniąc taki rząd swoim zakładnikiem. I pomimo wieloletnich zaszłości pewnie byłby to mimo wszystko rząd Tuska, bo paktowanie z Konfederacjami to jednak trochę zbyt wiele. Inna sprawa, czy obecny premier chciałby się oddawać w niewolę Zandbergowi, kiedy na stole zawsze pozostają powtórzone wybory. Dla lidera Razem, który nie gonił nigdy za stanowiskami, byłby to układ idealny: mieć wpływ, ale nie ponosić odpowiedzialności.

Tyle że plan jest bardziej niż kruchy, bo równie dobrze może zabraknąć ułamka procenta i zabawa w wielką politykę dobiegnie końca. Skądinąd powtórzenie tak fetowanego w Razem wyniku lidera z wyborów prezydenckich przyniosłoby taki właśnie skutek. Paradoks polega jednak na tym, że to nie środowisko Zandberga byłoby takim obrotem spraw najbardziej zmartwione, tylko jego były partner z lewicy wraz z pozostałymi koalicjantami, dla których każdy utracony w ten sposób procent przybliża katastrofę.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 4c91f9e87c

Konflikt w Konfie

Czy Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak rozstaną się, wypełniając plan Jarosława Kaczyńskiego? Podziały wśród konfederatów są coraz bardziej widoczne.

MICHAŁ PIEDZIUK,
WOJCIECH SZACKI

Znów internet zalała fala artykułów i wpisów o zbliżającym się nieuniknionym rozpadzie wolnościowo-narodowej Konfederacji. Gdy 5 maja na elbląskim placu katedralnym prezes Nowej Nadziei Sławomir Mentzen zwyzywał gen. Wiesława Kukułę od „nienormalnych", za szefem Sztabu Generalnego szybko wstawił się lider narodowców Krzysztof Bosak. Słowa koalicyjnego partnera uznał za niesprawiedliwe, ale przede wszystkim kłamliwe.

Mentzena w sieci poparli jego przybocznі, najwierniejsi z wiernych. Bosak ograniczył się do jednego, acz stanowczego wpisu. Obaj liderzy starali się później nie eskalować publicznie tej widocznej różnicy zdań. Jednak wizerunek skłóconego politycznego małżeństwa coraz bardziej się utrwala. Szczególnie że to nie pierwszy raz, gdy dwaj frontmani rozjeżdżają się w przekazie, wprawiając w konfuzję swoich wyborców.

Konfederacja jako partia w gruncie rzeczy nie istnieje. Ma minimalną liczbę członków, rada liderów (teoretycznie zarządzająca partią) złożona po połowie z polityków Ruchu Narodowego i Nowej Nadziei to ciało fasadowe, nawet wspólny program na wybory jest wątpliwy. Bosaka i Mentzena różnią cele, taktyka, strategia, podejście do PiS, styl. Do prawdziwego rozwodu droga jednak bardzo daleka. Wspólny szyld wciąż więcej daje, niż ▶

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ zabiera i obaj liderzy Konfederacji są tego świadomi.

Narodowcy coraz mniej cierpliwi

Konfederaci w oficjalnych wypowiedziach przekonują, że koalicja działa sprawnie, prężnie i bez konfliktów. Sam Bosak w jednym z wywiadów zarzekał się niedawno, że „nie grozi nam rozpad. Ci, którzy spekulują na ten temat, niech się zajmą poważnymi sprawami". Utyskiwania na działania i decyzje partii Mentzena słyszymy jednak od narodowców nie od dziś. Działaczom Ruchu Narodowego w koalicjancie przeszkadza wiele. A to, że w Brukseli weszli w koalicję z prorosyjskim AfD, a to, że poseł Konrad Berkowicz co rusz daje mediom pretekst do ataków na Konfederację, a w końcu – że za chwilę najpewniej stracą subwencję przez nieroztropność byłego już współpracownika Mentzena.

Coraz częściej narodowcy pozwalają sobie też na publiczną krytykę swoich wolnościowych partnerów. Tak było w przypadku afery Zondacrypto, której macki zaczęły dosięgać posła Nowej Nadziei Przemysława Wiplera. „Po co, będąc posłem, parać się takimi fundacjami"? – pytał cytowany przez „Gazetę Wyborczą" Ziemowit Przebitkowski, członek zarządu głównego formacji Bosaka. Europosłanka Anna Bryłka: „Poseł Wipler i jego fundacja nie powinni przyjmować tych pieniędzy". I właśnie takie podejście do koalicyjnej relacji dominuje dziś w całym obozie narodowców. Nowa Nadzieja w ich słowach jest tym młodszym bratem, który może więcej, bo ma od rodziców taryfę ulgową. Starszy i mądrzejszy w tym rodzeństwie narodowiec zmuszony jest patrzeć na wybryki młokosa, ale przy tym siedzieć cicho. Jemu samemu wolno mniej.

Na Nową Nadzieję i kolejne zaskakujące ruchy jej ekscentrycznego lidera współpracownicy Bosaka patrzą zatem z coraz większą rezerwą. – *Sławek za każdym razem chce udowodnić, że jest najmądrzejszy* – mówi POLITYCE ważny działacz frakcji narodowej.

Mentzen nogi z gazu nie zdejmie

Lidera frakcji wolnościowej wzmocniła zeszłoroczna kampania prezydencka: prawie 15-procentowy wynik w pierwszej turze i rola rozgrywającego przed wyborczą dogrywką. To podbudowało jego i tak niemałe ego. Mentzen utwierdził się w przekonaniu, że politykę może robić sam, ewentualnie z pomocą wąskiego grona najbardziej zaufanych giermków.

Pod koniec lutego zebrał swoją partię na kongresie. Musiał to zrobić, by przenieść struktury do nowej formacji o filmowej nazwie Imperium Kontratakuje. To znów pokłosie działań byłego niefrasobliwego skarbnika Romana Łazarskiego, który Konfederacji i Nowej Nadziei zawalił kilka spraw ze sprawozdaniami partyjnymi. Dziś Nowa Nadzieja w rejestrze partii politycznych formalnie nie figuruje, choć Imperium niedługo ma wrócić do pierwotnej nazwy.

Z jej odejściem był po prostu pogodzony. O ucieczce europosłanki nie wiedziała natomiast większość szeregowych wolnościowych posłów, którzy tuż przed ogłoszeniem przez nią zmiany frakcji przekonywali nas, że taka zmiana barw partyjnych byłaby dla Nowej Nadziei wielką stratą.

Historia z Zajączkowską-Hernik miała pokazać każdemu działaczowi partii Mentzena, że nikt ponad prezesa wyrosnąć nie może. Popularność 36-letniej europosłanki liderowi po prostu zagrażała. Ale twarda ręka prezesa Nowej Nadziei objawia się też na inne sposoby. Najważniejszych partyjnych działaczy trzyma krótko. Przede wszystkim zakazuje rozmów *off the record* (czyli bez podania źródła) z dziennikarzami. – *Sprawy słów o gen. Kukule nie chcę komentować* – mówi poseł Nowej Nadziei. – *Potem znowu media coś napiszą, a nam się dostanie i będzie szukanie po partii, kto z wami rozmawiał.* Jedyny kontakt ze światem mediów mają mieć wyznaczeni przez prezesa politycy, desygnowani do konkretnych programów publicystycznych. Tam zadanie jest jedno – powielać narrację góry partyjnej.

> Bosak ma ewidentnie dosyć twardych opozycyjnych ław i czuje się gotowy do współrządzenia z PiS.

Mentzen wykorzystał kongres, aby zmienić statut ugrupowania – nowy przyjęto zdecydowaną większością głosów. Lider nadał sobie jako prezesowi wyjątkowe kompetencje, które zwiększają jego jednoosobową władzę nad partią – dziś może chociażby samodzielnie przyjmować i wykluczać członków ugrupowania bez zgody innych organów partyjnych. Jego kadencja prezesa potrwa do początku 2031 r. – *Przejrzeliśmy statuty pozostałych polskich partii i ściągnęliśmy z nich wszystkie rozwiązania wzmacniające szefa. Wyszło niezbyt demokratycznie, ale o dziwo, nikomu to nie przeszkadzało, ani działaczom, ani sądowi* – opowiada polityk bliski Mentzenowi.

Zmiany statutowe szybko okazały się prezesowi przydatne – w kwietniu gwiazda prawicowego internetu, europosłanka Nowej Nadziei Ewa Zajączkowska-Hernik, zmieniła frakcję w Parlamencie Europejskim, dołączając do tej, w której zrzeszeni są narodowcy. Transferu z Mentzenem nie skonsultowała, konflikt obojga polityków narastał bowiem od miesięcy. Powołując się na nowy statut, prezes stwierdził, że Zajączkowska swoją decyzją dokonała „samowykluczenia z partii". Utrata tak popularnej polityczki Mentzena w zasadzie nie wzruszyła, zresztą – jak słyszymy w Konfederacji – to on sam, do spółki z bliskim mu europosłem Stanisławem Tyszką, konflikt z Zajączkowską wykreował, a potem skrzętnie i regularnie podgrzewał.

Rozjazd i objazd

Lider wolnościowców przyjął też taktykę kampanii permanentnej, ewidentnie rozochocony sukcesem prezydenckiej trasy po wszystkich powiatach. Jesienią 2025 r. było więc piwo z Mentzenem w kilkunastu największych ośrodkach miejskich, teraz przyszedł czas na „pytania i odpowiedzi" z udziałem sympatyków w mniejszych i średnich miastach powiatowych. Wszystkie te trasy łączy jedno – Mentzen organizuje je samodzielnie, w oderwaniu od koalicyjnych działań Konfederacji. Na jego wiecach pojawiają się prawie wyłącznie politycy Nowej Nadziei, a regionalni działacze mają zbierać w tłumie chętnych do partyjnego akcesu.

Na występy w duecie z Bosakiem konfederacki wyborca raczej nie ma co liczyć, również dlatego, że prezes narodowców w trakcie autorskich stand-upów

eprasa.pl 4c91f9e87c

Mentzena jest zazwyczaj gdzieś na drugim końcu Polski. Wicemarszałek Sejmu od kilku tygodni objeżdża partyjne struktury (w regionach Ruchu Narodowego trwają wewnętrzne wybory), organizując przy okazji własne, zdecydowanie bardziej kameralne spotkania z wyborcami.

Taki objazdowy podział między koalicyjnymi partnerami może utrzymać się nawet w tej nadchodzącej, właściwej kampanii wyborczej. Dziś trudno bowiem wyobrazić sobie logistyczne porozumienie między dwoma liderami, którzy wspólnie mieliby odwiedzić choćby kilkadziesiąt miast i wsi na wyborczej trasie Konfederacji. Niewykluczone jednak, że popularna ostatnio na prawicy taktyka grania na dwóch fortepianach czy oddychania dwoma płucami akurat w przypadku Konfy może zadziałać, a przynajmniej jej nie zaszkodzić. Na razie wygląda na to, że obaj koalicjanci po cichu liczą na taki scenariusz.

O co właściwie chodzi

Personalne różnice między Mentzenem a Bosakiem nie biorą się z różnicy wieku – dzielą ich ledwie cztery lata (starszy jest Bosak, rocznik 1982). W podobnych czasach zaczynali też polityczne kariery: jeden w Unii Polityki Realnej, drugi w Lidze Polskich Rodzin – partiach skrajnych, z wyrazistymi i co najmniej kontrowersyjnymi postaciami na czele. Osią sporu wydaje się dziś zarówno sposób uprawiania polityki, jak i dwie zupełnie inne diagnozy politycznej sytuacji.

Bosak, po godnej podziwu transformacji wizerunkowej – z wszechpolskiego chuligana, zatrzymywanego przez policję na marszach niepodległości, do ułożonego i wyważonego wicemarszałka Sejmu – przygotowuje się do rządzenia i przejęcia któregoś z najważniejszych urzędów w państwie. Nie bez powodu wziął dla siebie funkcję wicemarszałka. Podjął też wysiłek rozwijania relacji międzynarodowych – prawie dwa lata temu wynegocjował miejsce europosłów Ruchu Narodowego w Patriotach dla Europy. Dziś regularnie spotyka się z najważniejszymi politykami europejskiej prawicy.

W przypadku Mentzena jest zgoła inaczej. Tuż przed wyborami w 2023 r. sam powiedział o sobie, że „nie jest politykiem, ale tiktokerem". Po prawie trzech latach ta deklaracja wiele na aktualności nie straciła. Lider wolnościowców zbudował się w sieci i na czysto internetowym przekazie: krótkim, maksymalnie uproszczonym, anegdotycznym. Mówi to, co się klika, mówi tak, jak się klika. A klikają się konflikt, bluzgi i mocny, konfrontacyjny przekaz. Stąd słowa o gen. Kukule, stąd hasła o „politycznym gangsterze" Jarosławie Kaczyńskim. Mentzen nie myśli dziś, czy po październiku 2027 r. będzie mógł rządzić; czy jego ludzie będą przygotowani, aby wejść do resortów i się nie zbłaźnić. Myśli o skrypcie pod kolejny generowany przez AI spot uderzający w rozchwiany PiS.

Wśród różnic między Bosakiem a Mentzenem jedna wydaje się fundamentalna. Lider narodowców wydaje się pogodzony z porządkiem rzeczy, w którym PiS jest tą dużą partią, a Konfederacja – mniejszą. Wynikają z tego praktyczne konsekwencje – Bosak może czasem Kaczyńskiego krytykować, ale zasadniczo traktuje jego dominację na prawicy jako pewną stałą. To Bosak wyklucza z góry koalicję z KO i to Bosak nigdy nie powiedział niczego, co by utrudniało znacząco negocjacje z PiS. Dlatego też Kaczyński parokrotnie wyróżniał Bosaka i jego partię jako możliwego, a nawet pożądanego koalicjanta, w odróżnieniu od nieobliczalnego Mentzena. A Bosak ewidentnie ma dosyć twardych opozycyjnych ław i czuje się gotowy do współrządzenia.

> Mentzen pilnie studiuje zarówno Kaczyńskiego, jak i Tuska. Uważa, że czas obu się kończy i chce być ich następcą.

Mentzen natomiast pilnie studiuje zarówno Kaczyńskiego, jak i Tuska. Docenia ich polityczny talent, a nawet wielkość, ale uważa, że ich czas się kończy; chce być ich następcą. Ma nadzieję na nowe rozdanie, a wręcz przewrócenie stolika, do którego Bosak chce zasiąść. Można iść o zakład, że gdyby spytać Bosaka i Mentzena o to, co powinien zrobić Kaczyński z buntującym się Mateuszem Morawieckim, to ich odpowiedzi by się rozjechały – Bosak byłby za kompromisem, a Mentzen za wykluczeniem ekspremiera. Bo Bosak chce, by prawica razem przejęła władzę, a liderowi Nowej Nadziei zależy na upadku PiS (no i lubi radykalne rozwiązania).

Mentzen konsekwentnie bije w PiS (i KO, ale to ma mniejsze znaczenie), bo w Kaczyńskim widzi rywala. Do końca ociągał się z udzieleniem poparcia Karolowi Nawrockiemu; w jego interesie leżała porażka kandydata PiS, która przyspieszyłaby kryzys partii Kaczyńskiego. Nie mógł tego powiedzieć wprost, bo zraziłby do siebie prawicowy elektorat (w tym swój własny, zainteresowany koalicją z PiS), ale kalkulacje Mentzena były wówczas oczywiste. Wciąż uważa, że czas gra na jego korzyść. Dopuszcza różne scenariusze – koalicję z PiS, z KO, epizodyczne poparcie dla rządu wkrótce mniejszościowego, pozostanie w opozycji – a najbardziej chciałby zapewne chaosu i przyspieszonych wyborów. PiS jest tego świadom i dlatego widzi w Mentzenie element potencjalnie wywrotowy.

Jeśli wygra prawica...

A żeby tę sytuację jeszcze bardziej zagmatwać, dodajmy, że po ewentualnym zwycięstwie prawicy w 2027 r. Mentzen będzie poddany presji – ze strony PiS, prezydenta, narodowców, części własnych posłów i większości swojego elektoratu – żeby wejść w koalicję. I wbrew sobie może do niej dołączyć. Prawicowy mariaż środowisk narodowych i wolnościowych pod koniec roku skończy osiem lat. W tym czasie zmieniali się liderzy partii składowych, zdarzały się głośne odejścia, powroty, a nawet rozłam w postaci opuszczenia konfederackiego statku przez najbardziej radykalną Koronę Grzegorza Brauna. Na horyzoncie majaczy kolejne wyzwanie – kampania parlamentarna, a po niej być może negocjacje koalicyjne. W Konfederacji zapowiada się gra ambicji, wojna dwóch młodych, ale kompletnie różnych liderów. A po drodze zobaczymy jeszcze kampanię w kampanii, czyli wewnętrzną rywalizację ludzi Bosaka i Mentzena na konfederackich listach wyborczych – to rozstrzygnięcie może w polskiej polityce ważyć więcej, niż nam się dzisiaj zdaje.

MICHAŁ PIEDZIUK, WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Rozmowa z Aleksandrą Gałką-Reczko, autorką książki „Dług. Reportaże spod kreski”, o tym, jak człowiek staje się dłużnikiem, co nie jest wcale takie oczywiste.

Jelenie i ośmiorniczka

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

VIOLETTA KRASNOWSKA: **– W maju pożyczamy na komunię dziecka, potem na wakacyjny wyjazd, do tego na co dzień jesteśmy kuszeni ofertami typu „kup dziś, zapłać później”. Ofert pożyczek czy kredytów jest dużo, tak jak potrzeb i pokus, by je brać. Pani przyjrzała się życiu dłużnika. Jak to wygląda z jego strony?**

ALEKSANDRA GAŁKA-RECZKO: – Gdy przeczytałam, że prawie połowa dorosłych Polaków ma jakiś rodzaj zadłużenia, pomyślałam, że to powszechny problem. Nawet wśród moich znajomych jest naprawdę garstka ludzi, którzy nigdy nie mieli kredytu. Według badań BIG InfoMonitora na koniec grudnia 2025 r. przeszło 2,4 mln Polaków miało ponad 81,3 mld zł zaległych zobowiązań. Jeśli by się skupić na sferze duchowej czy psychologicznej człowieka w takiej sytuacji, widzi się przede wszystkim panikę i brak orientacji. Najczęściej, bo są także tacy, którym długi nie przeszkadzają wyjeżdżać na wakacje all inclusive i zamawiać drogie wino w restauracji. Ludzie nagle zaczynają się zachowywać jak dzieci, które uciekają od odpowiedzialności. Zamykają oczy, zatykają uszy, nie przyjmują do wiadomości problemu, który rośnie z każdym dniem wraz z odsetkami od niespłacanych pożyczek. To oznacza stale wyciszone telefony, na dodatek ze specjalną aplikacją nazywaną ośmiorniczką. Informuje ona, czy numer, który się wyświetla, należy do windykatora – można odebrać czy nie.

Co to daje?

Nie odbierają, bo chcą uniknąć nieprzyjemnej rozmowy. Zadłużony, który jest pod kreską, nie myśli w przód; myśli, żeby przetrwać. Jak tonący – robi wszystko, żeby złapać jeszcze jeden oddech. Ale ja się skupiałam bardziej na ludziach, którzy jednak prędzej czy później, po etapie wypierania czy ucieczki, wzięli się za bary z długiem. Ja ich nazywam wojownikami.

Łatwo stać się dłużnikiem?

Poniekąd wszyscy nimi jesteśmy od pierwszej chwili życia, bo ciąży na nas dług wobec rodziców, opiekunów itd. Jak uważa amerykański antropolog David Graeber, właśnie poczucie zobowiązania w wyrafinowany sposób pomogło podporządkować dłużników rządzącym. Według niego dług był zalążkiem wszystkich relacji społecznych, i to na długo przed pieniądzem. A ci, którzy nie zdołali spłacić swoich wierzycieli, tracili podmiotowość i stawali się niewolnikami. Jego zdaniem świat już nie dzieli się na bogatych i biedaków, tylko na dłużników i wierzycieli.

eprasa.pl 4c91f9e87c

Z pani książki wynika, że dłużnikiem, nie w sensie metaforycznym, ale dosłownym, naprawdę można się stać u nas już w momencie urodzenia.

Tak, dzieci mogą dostać na starcie życia dług w spadku. Najczęściej to wynik nieuregulowanych mandatów za jazdę bez biletu, ale za największą część – kwotowo – odpowiadają długi odziedziczone. Opowiem o konkretnych historiach: dziecko miało dwa tygodnie, gdy zmarł jego dziadek od strony ojca. Matka dziecka nic o tym nie wiedziała, bo się rozstali. Nie wiedziała też, że rodzina zmarłego, wiedząc, że zostawił długi, zrzekła się spadku. I tym sposobem to dziecko stało się jedynym spadkobiercą 130 tys. zł długu. Bank wystawił tytuł egzekucyjny. I co gorsza to właśnie dzieci wydają się najbardziej narażone na rozpoczęcie życia z cudzym długiem, bo procedura zrzeczenia się w ich imieniu spadku nie jest tak prosta jak w przypadku dorosłych.

Rozumiem, że to wszystko jest zgodne z prawem.

Niestety. Przykładem tego jest choćby sprawa „małoletniej M" – tak ją w książce nazwałam. Dziewczynka miała sześć lat, gdy zmarł jej dziadek. Jej matka zrzekła się spadku, ale żeby jej córka też się od niego uwolniła, musiała wystąpić do sądu rodzinnego o wydanie zgody na jego odrzucenie w imieniu dziecka. Trzeba to uzasadnić, i to sąd rodzinny ma zdecydować, czy takie zrzeczenie leży w interesie dziecka, czy nie. Sąd wyznaczył termin posiedzenia za pięć miesięcy. Licznik odliczający pół roku na odrzucenie spadku powinien się zatrzymać do momentu decyzji sądu, ale tak się nie stało. Mimo że sąd rejonowy, który decydował o spadku, był poinformowany, że do zrzeczenia się w imieniu dziecka doszło, przyznał spadek dziecku, uznając, że wniosek o odrzucenie złożono po terminie. Skończyło się interwencją rzecznika praw obywatelskich i skargą nadzwyczajną do Sądu Najwyższego, który to cofnął.

Trzeba też było interwencji rzecznika praw dziecka, a i sam prezydent się włączył przy podobnej, głośnej sprawie 11-letniej Zuzi z Libiąża. Po śmierci ojca została wezwana do spłaty ponad miliona złotych. Dziewczynka miała jego nazwisko, ale jej matka była z nim w nieformalnym związku, więc nie mogła w jej imieniu odrzucić spadku. Bo jako nieżona nie miała do niego żadnych praw ani nie była nawet informowana o dziedziczeniu. Komornik zajął Zuzi rentę po ojcu i wszczął procedurę odebrania jej mieszkania po nim. Dopiero nagłośnienie sprawy spowodowało, że komornik przyznał się do zbyt pochopnych działań i zwrócił rentę. Wyroki obciążające nieletnich niestety wciąż zapadają. To kuriozalne.

Z pani książki wynika, że w długi można wpaść tylko dlatego, że skończyło się 18 lat.

Tak wyglądała historia Basi. Dziewczyna mieszkała u ciotki, która sprawowała nad nią pieczę zastępczą, potem okazało się jednak, że nie płaciła czynszu i ma ogromne zaległości. Została eksmitowana, ale Basia jako osoba tam zameldowana musiała spłacać dług ciotki. To nie wszystko! Potem dostała informację, że musi spłacać zaległości za mieszkanie socjalne ciotki, do którego po eksmisji trafiła, gdzie także widniała jako lokatorka. A także, że musi płacić 40 tys. zł długu czynszowego swojej matki, z którą nie miała przez lata kontaktu. Kobieta, żeby dostać większe mieszkanie, wpisała do niego także Basię. Urzędnik nie sprawdził, że Basia mieszka gdzie indziej, i tak zostało. Tym sposobem dziewczyna po skończeniu 18 lat stała się – jak to się określa w prawie – dłużniczką solidarną. Co oznacza, że wierzyciel może domagać się spłaty tylko od jednego z dłużników, skoro pozostali są niewypłacalni. W tym przypadku od Basi.

Pewnie nie wszyscy mieszkający z rodzicami w ogóle zdają sobie sprawę, że odpowiedzialność za długi czynszowe może spaść na nich?

Jest takie ryzyko, jeżeli nie interesują się, czy wszystkie opłaty i czynsze są przez rodziców regulowane. Ufają, że tak jest, żyją jak pączki w maśle i pewnego dnia mogą się zdziwić. A te zobowiązania nalicza się od 18. urodzin – wtedy człowiek staje się współodpowiedzialny za długi czynszowe. A prawo jest na tyle wredne, że wcale nie musi traktować współdłużników proporcjonalnie. Jeżeli okaże się, że rodzice są niewypłacalni, to całość długu spada na tego lokatora, który ma możliwość, by go spłacić – może lepiej powiedzieć: umożliwia ściągalność długu. Potem może dochodzić zwrotu od współzadłużonych w postępowaniach cywilnych. Jesteśmy w ścisłej czołówce wszystkich krajów Unii Europejskiej w liczbie tzw. gniazdowników, wyprzedzamy nawet Włochy, które stereotypowo kojarzą się z tzw. bamboccioni, czyli mieszkającymi z mamusią dużymi bobasami. I podobno to zjawisko przybiera na sile, więc liczba dłużników solidarnych zapewne będzie rosnąć. A długi czynszowe według badań GUS w 2022 r. sięgały blisko 6,3 mld zł.

Jakie jeszcze pułapki mogą nas wpędzić w długi?

To np. historia dziewczyny, której ojciec przez całe życie robił wszystko, żeby nie płacić na nią alimentów. A na starość wystąpił o zasiłek do MOPS-u i to właśnie ona – poniekąd z automatu – okazała się pierwszą osobą, na której ciąży obowiązek alimentacyjny wobec niego. I MOPS zaczął się od niej tego domagać. Na początku myślała, że źle zrozumiała albo że to pomyłka. Ale nie. Zadaniem ośrodków pomocy społecznej jest wyszukiwanie członka rodziny, którego można by obciążyć płatnością w pierwszej kolejności, nim odpowiedzialność przejmie państwo.

Nie ma pani wrażenia, że dłużnicy alimentacyjni nie są tak ścigani jak pozostali? Nie słyszałam, żeby alimenciarza gnębiono telefonami po nocy.

Bo oni się świetnie ukrywają. Namierza się tych, którzy są odpowiedzialni i uczciwi, a cwaniacy znajdują sobie sposób na ucieczkę. Uporczywych alimenciarzy najczęściej nie zastaje się pod adresem, gdzie są zameldowani. Mieszkają gdzie indziej albo już ich nie ma w Polsce. Tak wynika z opowieści Roberta Damskiego, komornika, któremu towarzyszyłam w jego podróżach do dłużników. Większość to byli właśnie niepłacący alimentów mężczyźni i żadnego z nich nie znaleźliśmy. Poza tym wydaje mi się, że my w Polsce dajemy jakiś rodzaj przyzwolenia na ucieczkę przed płaceniem alimentów. Ilu alimenciarzom daje się pracę na czarno albo księgowi pomagają im ukryć dochody w magiczny sposób?

Ten system wygląda jak polowanie na tych, którzy cokolwiek mają, a odpuszcza tym, którzy dobrze swój majątek ukrywają. Polowanie na jelenia?

Zgadza się. Wyobraźmy sobie dług jako kulkę, która krąży po tunelach i wypadając, musi trafić w czyjeś ręce. Często jest tak, że to dłonie ludzi, którzy czują się odpowiedzialni jak Basia, o której rozmawiałyśmy. Albo tych, którzy nie umieli uciec czy po prostu chcieli uniknąć kłopotów. Jak ja.

Pani?

To był drobiazg, przeoczenie, nawet nie moje, choć może ja też czegoś nie dopilnowałam. Jedna z nowo powstałych szkół językowych namówiła mnie na kurs, z możliwością rezygnacji ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ po dwóch tygodniach. Aby zapisać się na dwa lata nauki, trzeba było podpisać umowę z bankiem, który kredytował czesne – wypłacał całą kwotę szkole językowej z góry. Taki był model biznesowy; potem się dowiedziałam, że kilka innych szkół językowych działa podobnie. Miałam 14 dni na przetestowanie tej szkoły, ale umowę musiałam podpisać od razu. Czułam rodzaj presji. Dzwoniono do mnie, zachęcano, że to promocja, a pula uczestników jest ograniczona. Mimo wszystko uznałam, że jestem chroniona prawem, bo mam 14 dni na przetestowanie. Już po tygodniu czułam, że to nie dla mnie, i napisałam maila, że rezygnuję. A po pewnym czasie dostałam telefon z banku, że zalegam z ratą kredytu. W pierwszej chwili myślałam, że to pomyłka, ale okazało, że kredyt jednak mam.

I co pani zrobiła?

Pomyślałam, że ta sprawa może wpłynąć na moją wiarygodność finansową, więc wpadłam w popłoch. Od tamtej pory spłacałam raty regularnie, żeby nie znaleźć się na czarnej liście dłużników w BIK. Awanturowałam się ze szkołą, później z bankiem, ale wolałam uiszczać te raty.

Przecież to nie fair.

Często, gdy broniłam dłużników, słyszałam w odpowiedzi, by pamiętać, że po drugiej stronie jest wierzyciel.

Tylko że coraz częściej wierzycielem nie jest skrzywdzony człowiek, a bank czy parabank, który wciskał kredyt. Co przyczynia się do tego, że człowiek wpada w długi nie do spłacenia.

Dr Łukasz Gębski z Zakładu Doradztwa i Usług Finansowych Instytutu Bankowości SGH, który bada finanse osobiste Polaków, mówi, że im dłużej się przysłuchuje i przygląda zadłużonym, tym częściej dochodzi do wniosku, że w większości przyczyną są głupie decyzje.

Pani poznała wiele historii dłużników, jakie to były decyzje?

U Piotra z Warszawy marzenie o znalezieniu lokalu na własny teatr przysłoniło mu racjonalne myślenie. Włożył masę pieniędzy w remont obiektu, który sobie upatrzył, ale który tylko wynajmował. Po bankach przyszły pożyczki u rodziny i znajomych, a w końcu stracił wyremontowaną scenę, z której teraz korzysta ktoś inny, a on został z 1,5 mln zł długów. Z kolei Emilia z branży farmaceutycznej, mimo dobrych zarobków, nie miała żadnych oszczędności, a gdy pojawiła się nagła potrzeba, mimo zdolności kredytowej nie skorzystała z banku, tylko sięgnęła po chwilówkę. A potem kolejną i kolejną, aż straciła rachubę, ile ich wzięła. Jak zaczęła liczyć, wyszło prawie 100 tys. zł.

Problemy z długami bardziej dotyczą ludzi młodych czy starszych?

Byłam zaskoczona, jak bardzo niestereotypowi byli, jak wielu wyedukowanych ludzi znalazło się w sidłach długu. Mamy najdroższe w Unii kredyty, do tego ze zmienną stopą procentową, gdzie całe ryzyko przerzucane jest na klienta. A żyjemy w błogiej nieświadomości, myśląc, że bank, instytucja zaufania publicznego, na pewno umowy konstruuje uczciwie. Przy kredytach frankowych wyszło, że zapisy w umowach były „abuzywne", czyli niedozwolone, krzywdzące. Jedna z radczyń prawnych – mec. Agnieszka Tomaszewska, z którą rozmawiałam – pomagająca uporządkować ludziom bankowe długi, powiedziała, że w 90 proc. umów, z którymi do niej przychodzą, są zapisy niekorzystne dla klienta, a w dodatku niezgodne z prawem. Mówi wprost, że rynek kredytów konsumenckich to ogromna patologia. Na szczęście są ludzie, którzy starają się pomagać i równoważyć ten rynek. To w tej chwili duży biznes, ale niektórzy robią to wręcz bezinteresownie.

Poznała pani takich?

Tak, jednego nazwałam nawet Robin Hoodem. Ten człowiek, Marcin Arnikowski, porzucił korporację i wziął sobie na głowę pomaganie ludziom zadłużonym w bankach, bo nie ma instytucji państwowej, która by się tym skutecznie zajmowała. Jest oczywiście dużo prywatnych kancelarii, tylko że ich usługi kosztują. A on działa w systemie dobrowolnych wpłat według zasady: jeżeli ja ci pomogę odzyskać część pieniędzy, to ty o mnie nie zapomnisz i wpłacisz coś na zrzutkę. No i zadziałało. Mówi o sobie, że jest audytorem tego, czy pożyczki były udzielone zgodnie z prawem. Szuka – jak mówi – „nieszczelności" w umowach.

Pomocą dla zadłużonych miała być upadłość konsumencka.

Upadłość konsumencka jest dla ludzi w skrajnych sytuacjach. Poza tym wbrew powszechnym uproszczeniom nie kasuje wszystkich długów, nie jest procesem bezbolesnym. Syndyk masy upadłościowej przejmuje kontrolę nad majątkiem upadłego czy upadłej, by zrealizować przez sąd plan spłaty. Poza tym trzeba mieć świadomość, że informacja o upadłości pojawia się w rejestrach typu BIK, co oznacza, że na wiele lat wyłączamy się z rynku finansowego. Nie możemy zaciągnąć ani jednej pożyczki. Może to być jakaś nauczka, ale co w sytuacji, kiedy np. dziecko nam ciężko zachoruje? Potrzebujemy pieniędzy natychmiast, podpisalibyśmy cyrograf z samym diabłem, a jednak nie, bo jest zakaz. Dłużnicy na forach internetowych, nawet gdy ktoś ma stabilne dochody, doradzają: „Ogłaszaj upadłość, nawet się nie zastanawiaj". To są domorośli doradcy, którym się wydaje, że upadłość to jest odpowiedź na każdy problem. A ona nie każdemu się opłaca. Pamiętam historię mężczyzny, który miał 16 tys. zł długu i kompletnie się załamał.

Skąd ten dług?

Wyświadczył komuś przysługę i wziął dla niego pożyczkę. Zarabiał najniższą krajową płacę, ale pracę miał stabilną. Mimo to wpadł w panikę i wydawało mu się, że jedyną opcją jest właśnie upadłość konsumencka. Na szczęście trafił na mądrą prawniczkę, która mu powiedziała: „No nie, policzmy na spokojnie, pan ma szansę to spłacić". Jedna z bohaterek mojej książki stwierdziła, że ze wszystkich życiowych problemów te finansowe są takiej natury, że da się je prędzej czy później załatać. To nie jest powód do samobójstwa, a nawet do zacierania śladów, uciekania za granicę, zmiany personaliów czy płci. Jest wiele różnych problemów, z którymi nie jesteśmy w stanie walczyć. Z długami tak.

ROZMAWIAŁA VIOLETTA KRASNOWSKA

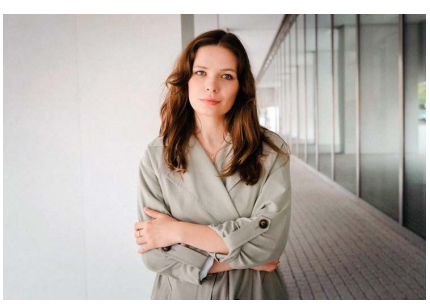

© MAGDALENA SEWERYN

Aleksandra Gałka-Reczko – dziennikarka, reporterka, absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Warszawskim oraz międzynarodowych stosunków gospodarczych w Szkole Głównej Handlowej. W swojej pracy łączy historie ludzi z liczbami oraz newsy z reportażem. Laureatka Konkursu Reporterskiego Wydawnictwa Poznańskiego. Jej książka „Dług. Reportaże spod kreski" została nominowana przez serwis LubimyCzytac.pl w kategorii „Debiut Roku 2025".

eprasa.pl 4c91f9e87c

Skazany na łagier

Krzysztof Flaczek z Mysłowic pojechał na wojnę zielonym Fiatem Seicento. Walczył po stronie Ukrainy. W niewoli jest już ponad 500 dni. Rosja nie traktuje go jak jeńca, tylko jak kryminalistę. Czy Polska zechciałaby mu pomóc?

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

„Nie mam żadnych ran, jestem cały i zdrowy. Mam tylko niewielkie kłopoty ze słuchem, gdyż koło mnie wybuchały pociski. Więzienie wyleczyło mnie z nadciśnienia. Po prostu przestałem je mierzyć" – napisał do nas Polak więziony przez Rosjan w areszcie śledczym nr 1 w okupowanym przez Rosję Ługańsku.

Więziony to Krzysztof Flaczek. Grozi mu poważne niebezpieczeństwo. I długie więzienie. Po wielomiesięcznym areszcie 16 kwietnia 2026 r. został skazany na 13 lat kolonii karnej. Po uprawomocnieniu wyroku będzie wysłany do łagru.

W czasie drogi – która może trwać nawet kilka tygodni – skazańcy są często torturowani, zdarzają się też śmiertelne wypadki. Podobny los może czekać go w samej kolonii karnej. W takich miejscach więźniowie są gwałceni, męczeni, bici do śmierci przez strażników lub innych osadzonych.

Sprawa jest poważna, bo podobna historia zdarzyła się już wcześniej. Polak Krzysztof Galos został złapany przez Rosjan w 2023 r. w okupowanym Melitopolu. Był uwięziony w Taganrogu i został tam zamęczony na śmierć – o czym mówili świadkowie, ukraińscy jeńcy, z którymi siedział. Rosja do dziś utrzymuje, że mężczyzna zmarł z przyczyn naturalnych.

Brat

Jak Krzysztof Flaczek trafił do rosyjskiego więzienia? Dlaczego pojechał walczyć do Ukrainy? Oto jego historia.

Krzysztof Flaczek w Międzynarodowym Legionie Obrony Ukrainy, 22 października 2024 r.

Piotr Flaczek opowiada o bracie: – *Złota rączka. Nie pracował na etacie, raczej dorywczo. Ojciec dwójki dzieci. Mąż. W domu nie układało się najlepiej. Dość mocno kłócili się z małżonką. Generalnie, kiedy ona wracała do domu, Krzysiek z domu wychodził.*

Najczęściej jechał do matki. – *Mama choruje, zajmuje się nią opiekunka, Ukrainka Olha (imię zmienione). Brat zakochał się w tej dziewczynie. Chyba bez wzajemności, musiałem go nawet mitygować. Mówiłem, że jak będzie nachalny, to Olha rzuci robotę i będziemy mieli kłopot* – dodaje Piotr.

W sierpniu 2024 r. Krzysiek jedzie do Ukrainy – turystycznie, ale chyba w rzeczywistości na zwiady. Chciał zobaczyć, jak tam jest, wrócił po tygodniu. – *Zamierzał jechać dalej, ale zepsuło mu się auto* – opowiada Piotr. – *Zaczął mówić, że chce walczyć za Ukrainę. Najpierw chciał po prostu zaimponować Oldze. Jednak potem twierdził, że to Bóg każe mu się podjąć tej misji. Zacząłem się zastanawiać nad stanem jego zdrowia psychicznego.*

Zdjęcia

Krzysztof nie ma nic wspólnego z wojskiem. Nie przechodził żadnego przeszkolenia. Kontakt do Międzynarodowego Legionu Obrony Ukrainy znajduje w internecie. To jednostka ukraińskiej armii złożona z zagranicznych ochotników.

We wrześniu 2024 r. znów odpala Fiata Seicento i jedzie do Ukrainy. W Tarnopolu zgłasza się do TCK (odpowiednik polskiej Wojskowej Komendy Uzupełnień) i podpisuje dokumenty. Od 30 września 2024 r. 46-letni obywatel polski jest żołnierzem Legionu, jednostki wojskowej nr A4002. Przesyła kilka zdjęć. Trzy jeszcze w cywilnych ciuchach (jedno ze Lwowa, dwa z Tarnopola, na tle Katedry Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i budynku teatru dramatycznego).

Kolejne fotografie są już „z wojny". Sprawdziliśmy metadane tych zdjęć. Zostały wykonane 22 października o godz. 15.27. Lokalizacji brak, ale widać, że zrobiono je najpewniej w ogrodzie jakiegoś domu zajętego przez wojsko. Flaczek wygląda bojowo: kurtka wojskowa, hełm, kamizelka z pseudonimem bojowym Samach. W ręku karabinek samopowtarzalny CZ BREN 2, produkcji czeskiej, w jaki wyposażeni są żołnierze Legionu. Sprzęt standardowy, bez jakichś ▶

© AN

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ szczególnych inwestycji. Kamizelka bez płyt bocznych, nakolanniki z tych tańszych.

Krzysztof regularnie dzwoni do Piotra. Mówi, że stacjonuje w okolicy Kramatorska. To miasto blisko linii frontu, stąd wysyłani są żołnierze w kierunku Czasiw Jaru, Torecka czy Biłohorikiwi pod Sivereskiem, o które toczą się ciężkie walki. – *Nagle kontakt się urwał, a ktoś ze znajomych natrafił na niepokojące zdjęcie* – opowiada Piotr.

Zdjęcie znaleziono 7 listopada 2024 r. w Telegramie na kanale Skotomogilnik. To jeden z tzw. rosyjskich zet kanałów, na których poniża się ukraińskich żołnierzy i wychwala wojnę. Fotografia robiona najpewniej w ziemiance bądź piwnicy – ściany pokryte matą termoizolacyjną (Rosjanie często tak ocieplają podziemne schronienia). Flaczek ma zmęczoną twarz. Zdjęcie do pasa, nie widać rąk – nie wiadomo, czy nie jest skuty. „Polski operator z prywatnej firmy wojskowej Kurwabober, wzięty do niewoli w obwodzie kurskim". Są też napisy po ukraińsku: „Flaczek, Krzysztof Józef. 07.09.1978. Niewola 02.11.2024".

Poszukiwania

Piotr rozumie, że jest źle. Zaczyna poszukiwania. Idzie na komendę policji w Tychach zgłosić zaginięcie. Funkcjonariusz pisze notatkę, ale radzi się zgłosić do konsula. Piotr Flaczek dzwoni kilka razy do polskiej placówki dyplomatycznej w Kijowie. Rozmawia z konsulem. Pisze też maila: „Krzysztof Flaczek we wrześniu tego roku dołączył do Międzynarodowego Legionu Obrony Ukrainy. Straciłem z nim kontakt kilka tygodni temu. Ostatnie miejsce, o którym wiem, że tam przebywał, to Kramatorsk. Czy posiadacie informacje, co się z nim dzieje? Czy żyje? Gdzie aktualnie przebywa? Dla potwierdzenia tożsamości załączam zdjęcia swojego dowodu osobistego. Byłbym bardzo wdzięczny za jakiekolwiek informacje".

Dostanie odpowiedź: „Szanowny Panie, Wydział Konsularny i Polonii Ambasady RP w Ukrainie na dzień dzisiejszy może jedynie przekazać, że monitoruje sprawę Pańskiego brata Krzysztofa, jesteśmy w stałym kontakcie z Ministerstwem Obrony Ukrainy i gdy tylko uzyskamy informacje o zmianie sytuacji Pańskiego brata, zostanie Pan o tym niezwłocznie poinformowany. Z poważaniem, Paweł Owad, Konsul RP".

Piotr dzwonił nadal do placówki, ale nie było nowych wiadomości, a z czasem

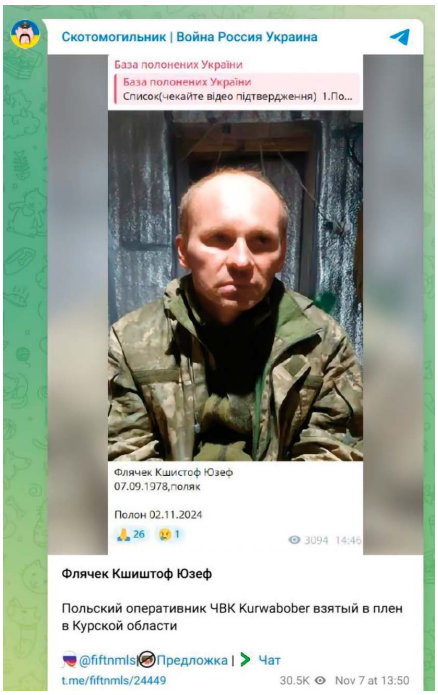

Krzysztof w rosyjskiej niewoli, 2 listopada 2024 r.

przestano go łączyć z konsulami. Listy z prośbami o pomoc śle, gdzie się da. Do Czerwonego Krzyża, do NIB – ukraińskiej rządowej organizacji zajmującej się poszukiwaniem jeńców wojennych. A także do dowództwa Legionu. Tam już 7 listopada uznano Krzysztofa za zaginionego. Dowódca jednostki płk Rusłan Myrosznyczenko napisał, że Krzysztof Flaczek, kierowca 3. plutonu specjalnego przeznaczenia, 1. kompanii specjalnego przeznaczenia, „przepadł bez wieści (najprawdopodobniej zginął) w czasie walk za naszą ojczyznę, jej wolność i niepodległość dnia 1 listopada 2024 roku w rejonie miejscowości Grygoriwka". Pułkownik prosi, by powiadomić o tym fakcie Piotra, brata zaginionego. Piotr dostaje ten list, ale dopiero po 11 miesiącach.

Grygoriwka leży ok. 5 km od Czasiw Jaru, po wschodniej stronie kanału Doniec–Donbas. To rejon, o który trwały wówczas zacięte i krwawe walki. Z listu dowódcy wynika, że szeregowy Flaczek miesiąc po wcieleniu do wojska, po przejściu krótkiego przeszkolenia, znalazł się na jednym z najtrudniejszych odcinków frontu.

Niewola

Na kilka miesięcy w sprawie Krzysztofa zapada cisza. Aż w serwisach agencyjnych pojawia się depesza: „MOSKWA, 2 stycznia – RIA Nowosti. W DNR wzięto do niewoli Polaka walczącego po stronie Sił Zbrojnych Ukrainy". RIA wrzuciła do internetu krótkie fragmenty filmu z przesłuchania Krzysztofa Flaczka. Twarz opuchnięta, ogólnie zmęczony. Tłuste włosy, zarost. Trudno w nim rozpoznać człowieka z poprzednich fotografii. Flaczek mówi po polsku. O tym, że zgłosił się do Legionu przez internet i że w jego grupie dowódcą był Chorwat, oprócz tego był jeszcze Polak, dwóch Niemców, dwóch Amerykanów i trzech żołnierzy z Tajwanu.

W tym samym czasie na kanale Jużnyj Rubież w Telegramie pojawia się kolejne nagranie. Flaczek jest w tym samym pomieszczeniu (być może to miejsce, gdzie rosyjscy śledczy przesłuchują jeńców). Tym razem mówi po angielsku. „Nazywam się Flaczek Krzysztof, pseudonim wojskowy Samach. Jestem zwykłym żołnierzem, najniższym stopniem" – mówi, i dodaje po polsku: „szeregowy". „Dostawałem trochę ponad 600 hrywien za dzień pracy we wrześniu. I to wszystko. Nie dostałem wypłaty za październik, bo zostałem złapany do niewoli i jestem tutaj".

Propaganda

Kolejny raz zapada cisza. Tym razem na całe osiem miesięcy. I Flaczek znów pojawia się w rosyjskich mediach! Tym razem w roli ochotnika, który wstąpił do rosyjskiej armii. „Donieck, 24 sierpnia – RIA Novosti: Polski najemnik przeszedł na stronę rosyjską i wstąpił do ochotniczego batalionu imienia Maksyma Krzywonosa, aby prowadzić działania wojenne przeciwko siłom ukraińskim".

Batalion Maksyma Krzywonosa został utworzony przez ukraińskich jeńców wojennych. Według depeszy Flaczek jest zadowolony, że zapisał się do batalionu, i rwie się do walki. Przechodzi przeszkolenie i wypełnia misje humanitarne (przywozi jedzenie, ewakuuje cywilów) w przyfrontowych miastach i wioskach.

RIA publikuje też wywiady z Flaczkiem. Opowiada on, jak się dostał do niewoli: „Rozpoczął się ostrzał artylerii. Zgubiłem się w lesie. Zostałem sam. Zabłądziłem". Inne media cytują rozmowę. Gazeta.ru: „Eks najemnik Flaczek informuje, że po stronie ukraińskiej walczą Kolumbijczycy i Brazylijczycy. A służba w Legionie Cudzoziemskim jest niebezpieczną i błędną decyzją".

Nakręcono też wideo, w którym Krzysztof Flaczek ubrany w mundur, z kałasznikowem w rękach, mówi po angielsku: „Zgłosiłem się, bo pokochałem Ukrainkę i chciałem być bohaterem. To nie była zbyt mądra decyzja". Ten przekaz podoba się

© AN

eprasa.pl 4c91f9e87c

propagandzie, Flaczek pokazywany jest nawet w kanale Sputnik Africa. Na tym nie koniec. Krzysztof udziela jeszcze jednego, i to długiego, wywiadu. Tym razem odpowiada na pytania Eryka, „kolegi" z batalionu Krzywonosa. Film jest reklamowany jako rozmowa z „żołnierzem o pseudonimie Polak" – po angielsku. Lato, strzelnica poligonowa. Flaczek w mundurze, z karabinem. „Czy mieszkańcy Polski wiedzą, że ukraiński rząd wspiera nazizm? – Kiedy byłem w Polsce, nie wiedziałem nic na ten temat. Teraz wiem i uważam, że to bardzo źle, że Zełenski i rząd ukraiński wspierają organizacje nazistowskie". Flaczek mówi do kamery: „Musimy bronić Ukraińców i cały świat przed nacjonalizmem i nazizmem. Historia może się powtórzyć, jeśli ta ideologia się rozprzestrzeni. Nie pozwolimy na to, dlatego tu jesteśmy".

Sąd

Dlaczego Flaczek zgodził się na ten wywiad? Dlaczego założył rosyjski mundur? – *Moim zdaniem został zmuszony* – mówi Piotr. – *Znam poglądy brata. Jest zdecydowanym przeciwnikiem putinowskiej Rosji.*

Rosyjskie media dość często przeprowadzają rozmowy z „nawróconymi" Ukraińcami, którzy przeszli na stronę Moskwy. Lubią podkreślać, że po stronie „kijowskiej junty" walczą opłacani żołnierze z zagranicy. Tak było w przypadku Flaczka, każda depesza na jego temat była uzupełniana o cytaty z przedstawicieli MON, że „kijowski reżim" wykorzystuje zagranicznych najemników w charakterze mięsa armatniego. I wypowiedź rzeczniczki MSZ Marii Zacharowej o tym, że Zachód, wysyłając na Ukrainę najemników, „utrwalił swój status strony konfliktu". Wszystko to pachniało operacją propagandową. Mimo to wiele mediów w Polsce opowiadało, opierając się na rosyjskich źródłach, o Polaku, który chciał być bohaterem dla Ukrainki. Teraz walczy... przeciwko Ukrainie.

Flaczek znów znika na kilka miesięcy z mediów. 24 lutego 2026 r. pojawia się informacja, która dowodzi, że jego dobrowolne przystąpienie do rosyjskiej armii było propagandową fikcją. Zgodnie z komunikatem prokuratury tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej (ŁNR) Krzysztof Flaczek został oskarżony, że jako najemnik walczył przeciw Rosji. Za to kodeks karny RF przewiduje od 7 do 15 lat więzienia. Sąd wydał wyrok 16 kwietnia: 13 lat kolonii karnej. Z naszych informacji wynika, że w ostatnim słowie Krzysztof odmówił pokajania się. Powiedział, że walczył po stronie Ukrainy i jest z tego dumny.

Listy

Z lutowego komunikatu rosyjskiej prokuratury można się było domyślić, że Krzysztof Flaczek jest przetrzymywany w Ługańsku. Jego obecność w areszcie śledczym nr 1 potwierdzili aktywiści rosyjskiej organizacji społecznej, która pomaga więźniom.

Postanowiliśmy napisać do Krzysztofa Flaczka list – poprzez system korespondencji kontrolowany przez rosyjską służbę więzienną. Listy pisze się na oficjalnych blankietach, wyłącznie po rosyjsku, a ich treść podlega cenzurze. Dwa pierwsze zostały wysłane jeszcze przed wyrokiem, ale adresat dostał je, gdy już został skazany.

Oto kilka fragmentów odpowiedzi: „Byłem więziony w sześciu różnych miejscach, nawet nie wiem, w jakich. Dopiero teraz wiem, że znajduję się w areszcie śledczym w Ługańsku. Jestem tutaj od 25 listopada 2025 r. i będę jeszcze miesiąc, dopóki wyrok się nie uprawomocni. Potem powinienem pojechać do kolonii karnej, ale nikt nie wie, kiedy". „Zdecydowałem przyjąć, że niewola [ten wyraz był zaczerniony przez cenzora, ale udało się go odczytać] jest jak klasztor. Dużo się modlę, bywa, że sto modlitw dziennie. Wiem, że Bóg mnie broni i wszystko jest dobrze".

Z korespondencji wynikało, że Krzysztof znajduje się w próżni informacyjnej – pytał, kto jest teraz prezydentem Polski i czy nasza reprezentacja zagra na mundialu. Pomogliśmy Piotrowi w rozpoczęciu korespondencji z bratem. Krzysztof napisał do niego i za naszym pośrednictwem do córki i syna. Listy są cenzurowane, nie wiemy, czy Krzysztof mógł napisać wszystko, co chce, ale wiemy, że to on jest ich autorem (świadczą o tym szczegóły, które może znać tylko on i najbliższa rodzina).

Pomoc

Flaczek liczył, że po wyroku zostanie włączony do wymiany jeńców. Jednak naszym zdaniem może nie do końca zdawać sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. – *Okres transportu więźnia jest jednym z najniebezpieczniejszych momentów dla osadzonego* – mówi POLITYCE Iwan Astaszyn, rosyjski obrońca praw człowieka, były więzień polityczny, który odsiedział w łagrach prawie 10 lat.

Do miejsca odbywania kary więźniów zazwyczaj przewozi się pociągami i transportem drogowym. Podróż trwa etapami (po rosyjsku wysyłka więźnia do kolonii karnej to *etapirowannije*). W przerwach w podróży można trafić do aresztu śledczego, punktu tranzytowego, na tydzień czy dwa. W tych miejscach dochodzi do tortur. Osadzeni znają „czarne punkty", do których lepiej nie trafiać. Biją w Krasnojarsku, Saratowie czy Włodzimierzu. Głośna była sprawa ukraińskiej dziennikarki Wiktorii Roszczyny, która została zabita podczas transportu.

Kiedy więzień dotrze już do łagru, jego los może być równie niepewny. Tych, którzy są niewygodni, znajdują się na celowniku władz, próbuje się złamać lub zdyskredytować w oczach innych, także ich zwolenników na wolności. Mogą być zmuszani do podpisania zgody na współpracę z administracją, do składania oświadczeń przed kamerą. – *Znam to z autopsji. Kiedy przywieziono mnie do Krasnojarska, grożono mi przemocą, by wymusić przyznanie się do dodatkowych przestępstw* – opowiada Astaszyn.

Podobna sytuacja spotkała niedawno znanego więźnia politycznego, matematyka i anarchistę Azata Miftachowa. W łagrze był bity, grożono mu gwałtem, rażono go prądem. Celowo zesłano go do odległej kolonii karnej IK-18 „Polarna Sowa" w osadzie Charp na Dalekiej Północy. W sąsiedniej kolonii IK-3 „Polarny Wilk" zginął polityk Aleksiej Nawalny.

Na zakończenie

Wygląda na to, że Krzysztof Flaczek nie miał odpowiedniej pomocy prawnej. Adwokat, który reprezentował go w pierwszej instancji, na niewiele się przydał. Nie poinformował nawet, że skazany ma na złożenie apelacji nie miesiąc – jak myślał jego klient – a jedynie 15 dni. Na innego mecenasa jeniec nie miał pieniędzy.

Obowiązek pomocy obywatelom RP znajdującym się w tarapatach to zadanie służb konsularnych. Powinny podjąć próbę kontaktu, udostępnić listę prawników, którzy mogą udzielić pomocy, żądać od sądów i prokuratur dokumentów. Według naszej wiedzy nikt z polskich dyplomatów nie skontaktował się z uwięzionym. Zadaliśmy szczegółowe pytania na temat pomocy, jakiej udzielono Flaczkowi. Po miesiącu milczenia z MSZ nadeszła odpowiedź: „Konsul RP w Moskwie wie o sprawie".

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

eprasa.pl 4c91f9e87c

Obietnice w lesie

Rekordowe 170 rezerwatów powołanych w ciągu dwóch ostatnich lat paradoksalnie nie przekłada się na notowania rządzących. Jeśli już to negatywnie. Ciężko zaspokoić skrajne emocje i interesy.

JĘDRZEJ WINIECKI

Stowarzyszenie Klub Przyrodników przez dekady zebrało 1,5 tys. propozycji lokalizacji nowych rezerwatów. Wszystkie mają solidne uzasadnienie. Na głosy naukowców nałożyły się oczekiwania społeczne. Zwłaszcza mieszkańców dużych miast, którzy ciepło myślą o takiej formie troski o przyrodę. Ślady ich tęsknot zapisano w kilku środowiskowych punktach umowy koalicyjnej, w której zapowiedziano m.in. nowe parki narodowe, ochronę rzek i wyłączenie 20 proc. lasów z wycinek. Co można zrobić, powołując właśnie rezerwat. I słowo stało się rezerwatem.

W ostatnim dwuipółleciu powstały 173 z 1694 funkcjonujących obecnie rezerwatów (to stan na 14 maja). Rozszerzono też część istniejących. W sumie oznacza to kilkanaście tysięcy dodatkowych hektarów pod ochroną i kilkanaście procent z propozycji Klubu Przyrodników. Dla jednych to za wiele, dla innych stanowczo za mało i za wolno. Rezerwaty w Polsce to wciąż raptem 192 tys. ha i 0,6 proc. powierzchni kraju. Wzbudzają jednak więcej emocji, niż zajmują miejsca na mapie i w przestrzeni.

Kampanijny potencjał ochrony przyrody polscy politycy odkryli późno, za to ze spektakularnym efektem. Prekursorem był Jan Szyszko, kilkakrotny minister środowiska, m.in. w rządach Jarosława Kaczyńskiego i Beaty Szydło. Nieżyjący już Szyszko stał na stanowisku, że przyrodę sprawnie ochroni drwal z piłą łańcuchową w ręku. Forsował obwodnicę Augustowa przez unikatowe torfowiska Doliny Rospudy (rezerwat powstał tam w 2024 r.). Zdecydowanie i nielegalnie, jak uznał Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, walczył z kornikiem w Puszczy Białowieskiej. Prawicowy elektorat był zachwycony.

Za czasów rządów PiS o lasy wybuchła już otwarta wojna, na pierwszej linii stanęły setki lokalnych inicjatyw, które skrzyknęły się, by bronić przed piłami swoich ulubionych fragmentów lasów, nierzadko o wielkiej wartości przyrodniczej lub rekreacyjnej. Konflikt zaostrzył się, gdy do Lasów Państwowych wprowadzili się ziobryści. Ekologiczne wzmożenie wykorzystał Donald Tusk, który przed wyborami w 2023 r. na chwilę uaktywnił się na odcinku przyrodniczo-leśnym. Stąd wzięły się odważne zapowiedzi koalicji i zachęta do urezerwatowiania.

Rezerwat powołuje się po to, by chronić wyjątkowy fragment przyrody. Najczęściej lasu, ale też rzeki, mokradła czy porośnięte mchami skały. Można je traktować jak żyjące rezerwy, podobne do tych na kontach i w skarbcach Narodowego Banku Polskiego. – *Utrzymują minimum równowagi w przyrodzie. Przyroda będzie miała się skąd rozprzestrzenić, gdy zmądrzejemy i jej na to pozwolimy* – mówi dr Andrzej Jermaczek, biolog związany z Klubem Przyrodników.

A ile rezerwatów powinno być w Polsce? – *Wielokrotnie więcej* – nie ma wątpliwości dr Jermaczek. – *Ustalenia nauki wskazują, że powinniśmy dążyć do zabezpieczenia w ten sposób 4–5 proc. powierzchni kraju. Tylko tak mamy szansę skutecznie ocalić resztki naturalnych ekosystemów.*

Bagno i polityka

Są na rzekach rezerwaty mające kilka metrów szerokości i dziesiątki kilometrów długości. Są rezerwaty maleńkie. Najmniejsza jest Kołacznia pod Leżajskiem, która od 1957 r. chroni wydmę z różanecznikiem złotym i zajmuje 0,1 ha. Są też rezerwaty liczące tysiące hektarów. Średnio wychodzi po 113 ha na obiekt.

Przez lata rezerwaty tworzono w zaciszu gabinetów i w wąskim gronie urzędników, badaczy przyrody, reprezentantów strony społecznej oraz przeważnie leśników, bo większość takich obiektów powstaje w Lasach Państwowych. Decyzja należy do podległego ministrowi regionalnego dyrektora ochrony środowiska. Konsultacje są potrzebne, by np. powierzchnią chronioną nie odciąć dojazdu do prywatnych działek.

Po mocnym debiucie z lat 90. zeszłego wieku proces powoływania rezerwatów szedł w III RP dość niemrawo. Aż w pisowskim ośmioleciu zupełnie się zaciął. Imponujące wzmożenie obecnej koalicji stanęło jednak na rozdrożu, bo w jej łonie kiełkuje kontra. Jej najpoważniejszym sygnałem stał się projekt byłego burmistrza Ustrzyk Dolnych Bartosza Romowicza.

Bliżyńskie Lasy Naturalne. Od roku drugi największy rezerwat leśny. I miejsce politycznych sporów.

© RDOŚ KIELCE

eprasa.pl 4c91f9e87c

Ów poseł Polski 2050, wsparty przez koleżeństwo z PSL, wystąpił w kwietniu z pomysłem, który powstanie rezerwatów uzależnia od zgody miejscowego samorządu. Analogiczne rozwiązanie do lex Romowicz od ćwierćwiecza skutecznie blokuje tworzenie parków narodowych. Nie bez znaczenia są tu porozłamowe animozje Trzeciej Drogi i samej Polski 2050, kierownictwo Ministerstwa Środowiska to jej byli członkowie. Także lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz z niezadowoleniem komentował wyłączenia w lasach. Szybko zapomniał, pod czym się jeszcze nie tak dawno podpisał.

Poseł Romowicz zderzył się jednak z masowo wyrażanym sprzeciwem. Jak sam przyznaje, zaskoczyła go zwłaszcza skala anonimowych, brutalnych ataków w internecie. A także opinia 400 naukowców, którzy podpisali się pod listem oprotestowującym projekt. – *Jako adwokat, polityk i były samorządowiec oczekiwałbym nie tylko krytyki, ale też propozycji rozwiązań. Zamiast administracyjnie wykręcać ręce mieszkańcom Bieszczad, dajmy im możliwości innego życia* – tłumaczy poseł Romowicz. W swoich staraniach powołuje się na konstytucję i zawartą w niej zasadę zrównoważonego rozwoju państwa. – *W całej Polsce mamy piękne miejsca do ochrony, nie musimy koncentrować się jedynie na Bieszczadach* – dodaje.

Społecznicy wtórują mu jedynie w tym ostatnim, żeby nie koncentrować się jedynie na Bieszczadach. Domagają się staranniejszej ochrony od Bieszczadów po Szczecin. – *Rząd nie spełnia obietnic. Dotąd z wycinek wyłączono jedynie 0,2 proc. lasów, choć miało być 20 proc. Dialog społeczny ugrzązł w źle zaprojektowanych i nieprzejrzystych procesach. Widać to na przykładzie lasów społecznych, mających chronić krajobraz, wodę i mikroklimat. Po dwóch latach rozmów wciąż ich nie ma, a proponowane zmiany mają głównie kosmetyczny charakter* – stwierdza Marta Jagusztyn z Lasów i Obywateli, organizacji koordynującej działania leśnych aktywistów w całym kraju.

Swoje wyborcze procenty próbuje ugrać również opozycja. – *Rezerwaty powołuje się hurtowo i na pokaz. Za to bez analiz, bez pieniędzy na ich funkcjonowanie, często* ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ *wbrew woli najbliższych mieszkańców i władz lokalnych* – mówi Paweł Sałek, poseł PiS i dawny zastępca Jana Szyszki, dziś czołowy krytyk środowiskowych dokonań rządu. Poseł ma swój ulubiony rezerwat, to Bliżyńskie Lasy Naturalne. Leżą na północ od Kielc. Obejmują blisko 3 tys. ha. Ich wartość przyrodniczą porównuje się do Puszczy Białowieskiej. Od roku są drugim najrozleglejszym rezerwatem leśnym, o 800 ha większym od Ojcowskiego Parku Narodowego, najmniejszego z polskich parków.

– *To teren ukształtowany ręką człowieka w toku rozumnej gospodarki leśno-przyrodniczej, prowadzonej przez kilka pokoleń leśników-przyrodników* – zapewnia poseł Paweł Sałek. To stanowisko wyraża sedno toczącego sporu: no bo skoro jakiś fragment kraju dotrwał w niezłej przyrodniczej formie, to nie trzeba zmieniać jego statusu, obwarowywać ekstrazakazami i odbierać go dotychczasowym zarządcom. A druga strona twierdzi, że właśnie trzeba.

Rząd zrobił ukłon w stronę lokalnej społeczności. Zdecydowano, że będzie wolno swobodnie wchodzić do lasów bliżyńskiego rezerwatu, udostępniono go do „amatorskiego zbioru" grzybów i runa leśnego. Tyle że miesiąc później przyszła wichura. – *Do dziś rezerwat w znacznej części pozostaje zamknięty, wiatrołomy zagrażają zdrowiu i życiu spacerujących. Dawniej, pod zarządem Lasów Państwowych, po podobnej katastrofie teren zostałby posprzątany. Teraz na przeszkodzie stoi ochrona rezerwatowa* – ubolewa Paweł Sałek.

W gąszczu zakazów

Podobne emocje towarzyszą chyba wszystkim nowym rezerwatom. – *Najlepiej sprawdzają się te duże i w jednej bryle* – mówi Mikołaj Dorożała, główny konserwator przyrody. Dorożała to również adresat wszelkich żali koalicjantów, społeczników, opozycji i branży drzewnej. Co fascynujące, udało mu się po równo podpaść wszystkim stronom konfliktu. Choć intencje ma proprzyrodnicze, a myślenie oparte głównie na wskazówkach nauki.

Wiceminister Dorożała nalega, by myśleć o rezerwatach jako o miejscach kluczowych z punktu widzenia walki ze zmianami klimatu, retencji wody, zachowania bioróżnorodności, tworzenia zielonych pierścieni wokół aglomeracji, a na wschodzie i północy jako naturalnej barierze dla wojsk potencjalnego agresora. W sumie takie podejście powinno się dobrze sprzedawać. Tym bardziej że są znaki, iż może mieć rację.

Niedawny pożar w Puszczy Solskiej, wcześniej dwa duże pożary nad Biebrzą, katastrofę martwej Odry lub powódź w Kotlinie Kłodzkiej, wywołaną nawalnym deszczem, należałoby uznać za symptomy złego stanu środowiska. Dalekiego od równowagi, w którym łatwo zaburzyć harmonię i wywołać poważne problemy nie tylko dla okolicznych mieszkańców. Przedłuża się też susza, od 15 lat mamy ujemny klimatyczny bilans wodny. Już setki gmin zmagają się z przerwami w dostępie do wody. Dawniej premier obiecywał ciepłą wodę w kranie, teraz kłopot jest nawet z tą zimną. A rezerwaty są ważne dla gospodarki wodnej.

Jednak dużo tu nieporozumień. – *Rezerwaty bywają kojarzone ze skansenem, w którym lokalne społeczności zostaną zamknięte niemal jak Indianie, i na obszarze bez szans rozwojowych. Obawami napawają listy wprowadzanych w rezerwacie zakazów, gdy lasy, które nie są objęte skrzętną ochroną, są powszechnie dostępne* – objaśnia Krzysztof Niedziałkowski, prof. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, badający społeczne i polityczne aspekty ochrony przyrody.

Według dr. Jermaczka rezerwaty nie muszą i nie mogą być przyjazne. Godzimy się z niewątpliwie uciążliwymi ograniczeniami dotyczącymi zabytków, nie wolno przecież wydłubać cegły z Wawelu. – *Nikt też nie proponuje, by obowiązywanie podobnych regulacji było uzależnione od decyzji lokalnego samorządu. Rezerwaty chronią wartości, którym zagraża degradacja związana z działalnością człowieka, wycinką drzew czy niekontrolowanym ruchem turystycznym. Chronią wspólne dobro. Nie da się tego zrobić bez zakazów* – tłumaczy. Tyle że tłumaczenie to się nie przebija.

Straty czy zyski?

Rządzący zrozumieli, że skoro nie można zdobyć serc lokalnych społeczności, to może uda się w nie wkupić. Obawy najbliższych ludzkich sąsiadów rezerwatów rozwiać miała subwencja ekologiczna, wypłacana samorządom za hektary parków, rezerwatów czy obiekty systemu Natura 2000. – *W zeszłym roku województwo podlaskie otrzymało ponad 130 mln, a zachodniopomorskie prawie 100 mln zł* – przekonuje Mikołaj Dorożała.

Tyle że przeliczanie ekologii na złote nie jest oczywiste. W pieniężnym bilansie wzmożenia rezerwatowego powinien się znaleźć wątek turystyki. Minister Dorożała zapewnia, że parki narodowe i rezerwaty mają moc przyciągania odwiedzających, którzy chcą doświadczyć kontaktu z przyrodą, a przy okazji zanocują, spłyną kajakiem, kupią lody naturalne, wybiorą się na wyprawę konną. Wątpliwości zgłasza Bartosz Romowicz: – *Żaden z tworzonych obecnie rezerwatów nie jest sam z siebie produktem turystycznym, dlatego wzrost form ochrony przyrody w hektarach nie przełoży się na rozwój turystyki.*

Obrazu stara się dopełnić Poseł Sałek: – *Najwięcej rezerwatów powstaje na terenach Lasów Państwowych, co wpływa na ich wynik finansowy. Nadleśnictwo Suchedniów, m.in. w rezultacie utworzenia Bliżyńskich Lasów Naturalnych, z jednostki dochodowej stało się deficytowe. Za ostatnie trzy lata przyniosło 17 mln zł strat.*

Obrona krzesła

Od początku kadencji dawał o sobie znać głęboki konflikt między ministerstwem, konkretnie Dorożałą, a Lasami Państwowymi, nadzorowanymi przez ludzi premiera. Nie zdecydowano się na gruntowny przegląd środowiskowej polityki państwa. Taki namysł paraliżuje m.in. pozycja branży meblarskiej, będącej jednym z filarów polskiego eksportu. O brak głębszych zmian mocno walczą same Lasy Państwowe. Wciąż wymaga się od nich, by co roku dostarczały na rynek ok. 40 mln m sześc. drewna. Takie jest – tu nie ma się co dziwić – zapotrzebowanie przerabiających je przedsiębiorców. Trzeba też pamiętać, że Lasy formalnie są samofinansującym się przedsiębiorstwem.

Pytanie tylko, czy równie ważnym surowcem zapewnianym przez leśników nie staje się woda. Także od kondycji lasów, ich zdolności do pochłaniania, przechowania i oddawania wilgoci zależy wydajność ujęć w aglomeracjach i na obszarach wiejskich. Dziś wiele leśnych rzek to w najlepszym wypadku cieki okresowe. A jakoś tak jest, że lasy dziksze, bardziej przypominające te naturalne, lepiej się sprawdzają jako rezerwuar wody i gąbka na wypadek wyjątkowo ulewnego deszczu. Da się pewnie policzyć, na ile należałoby ograniczyć produkcję desek, by zrównoważyć koszty przeciągającej się suszy.

JĘDRZEJ WINIECKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Generacja na stresorach

Prof. Krystyna Skarżyńska o tym, co sprawia, że wśród młodych dorosłych Polaków grasują stres, stany lękowe i depresyjne?

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

EWA WILK: **– W pokoleniach 50+ panuje dość powszechne przekonanie, że współczesna młodzież jest słaba, miękka psychicznie, skupiona na wewnętrznych rozterkach, a polityka i w ogóle sprawy publiczne jej nie interesują. Prawda to?**

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA: – Raczej stereotyp. Raport Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego o stanie zdrowia mieszkańców stolicy pokazuje, że aż połowa przypadków zaburzeń lękowych dotyczy młodych dorosłych w wieku 20–39 lat. Podobnie jest z zaburzeniami nastroju i depresją kliniczną. Dzisiejszy świat dostarcza młodym wiele nowych problemów, których nie miało pokolenie ich rodziców: kryzys klimatyczny, wojna u sąsiadów, niestabilność porządku światowego, ostre konflikty polityczne w kraju – są silnymi stresorami. To, co polityczne, staje się także osobiste, nawet dla tych, którzy mówią, że polityka ich nie interesuje. Zaskakujące, że obciążenia wiązane przez młodych ludzi z życiem politycznym i społecznym silniej wpływają na ich psychikę niż problemy osobiste. Może wielu z nich „polityka nie obchodzi", ale boleśnie ich dotyka. Tak to wynika z naszych badań „Stresy codzienności".

Z tego, co wiem, przeprowadziła je pani wśród studentów w połowie 2025 r. Skąd ten termin?

Absolutnie nie był przypadkowy: ogłoszono już wyniki wyborów na prezydenta RP, sprawy i spory polityczne nabrały wyrazistości i ognia, jednocześnie kończył się semestr i zbliżała się sesja egzaminacyjna, a potem – wakacje. W opracowaniu scenariusza tych badań i przy analizach ich wyników współpracowałam z bardzo młodymi osobami, Zoe Ziółkiem – świeżo upieczonym magistrem psychologii, i z Leonardo Kulickim – jeszcze studentem. Pozwoliło to uwzględnić w badaniu problemy studentów nie tylko z perspektywy teorii stresu, ale też widziane poprzez różne doświadczenia osobiste. Interesowało nas, po pierwsze, jak silne są poszczególne obciążenia (stresory) w różnych sferach życia. Po drugie – jaki jest ich związek ze schematami świata, jakie kształtują się w umysłach badanych, czyli z zaufaniem społecznym, z wizją świata. Po trzecie wreszcie, mierzyliśmy – za pomocą profesjonalnego narzędzia – poziom depresji, lęku i stresu badanych osób.

I naprawdę okazało się, że polityka i życie społeczne stresują badanych silniej niż problemy osobiste? Może to wpływ terminu badania, stresującej sytuacji politycznej?

Zgodnie z teorią stresu problemy zdrowotne człowieka są nie tyle efektem obiektywnie istniejących warunków, ile raczej ich subiektywnej interpretacji – z postrzeganiem ich jako takich, z którymi trudno sobie poradzić. Nasi respondenci oceniali odczuwane przez nich obciążenia – inaczej mówiąc stresory – w skali od 1 do 5. Najbardziej obciążająca w odczuciu osób badanych okazała się sfera polityki, następnie sfera publiczna, ogólnospołeczna, wybory, praca, a najmniej obciążające ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ edukacja i życie osobiste. Być może moment badania przesunął uwagę uczestników w kierunku politycznym, sprawdzimy to w drugiej fali badania w październiku i listopadzie 2026 r., ale niewątpliwie polityka jest silnym stresorem.

Co konkretnie w życiu publicznym wyprowadza młodych ludzi z równowagi?

Za najbardziej obciążające badani uznali brak tolerancji na różnice postaw – 92 proc. spośród nich oceniło ten stan rzeczy jako stresujący, w tym 63 proc. jako silnie lub bardzo silnie obciążający. Podobnie odczuwane są głębokie podziały między Polakami. Ponad połowę spośród badanych osób silnie stresuje agresja między ludźmi. Dopiero za tym wszystkim znalazły się materialne warunki życia w Polsce: brak mieszkań dla młodych, niskie zarobki, wysokie ceny.

Prof. dr hab. **Krystyna Skarżyńska**, wieloletnia badaczka i autorytet w dziedzinie psychologii społecznej i politycznej, pracuje na Uniwersytecie SWPS.

W sferze polityki młodym najbardziej doskwiera brak kompetencji polityków do rozwiązywania ważnych problemów; następnie martwią ich konsekwencje wojny w Ukrainie i ostre konflikty międzynarodowe.

To ciekawe, bo polityka międzynarodowa przez ostatnie dekady nie stanowiła dla Polaków źródła stresu. Wręcz przeciwnie – np. badania profesorów Kaniastego i Jakubowskiej (z IP PAN), opublikowane w 2014 r., pokazywały, że sprawy związane z sytuacją międzynarodową były jedyną sferą życia politycznego, która wzbudzała wśród Polaków nadzieję, a nie lęki. Natomiast brak kompetencji polityków od lat wzbudza stres i niepokój, ale też powoduje niechęć do całego systemu polityczno-społeczno-ekonomicznego jako niesprawiedliwego czy – szerzej – niemoralnego.

Ponieważ badaliśmy młodych ludzi dwa miesiące po wyborach prezydenckich, zapytaliśmy ich o opinie i uczucia towarzyszące im podczas kampanii wyborczej i po ogłoszeniu wyników wyborów. Znów okazało się, że te zdarzenia stresowały ich bardziej niż problemy w pracy i na studiach. Zdecydowana większość wyznała, że oglądając materiały z kampanii i przebieg debat wyborczych, odczuwała silne emocje negatywne.

Naprawdę problemy publiczne ranią dusze młodych dotkliwiej niż ich własne zmartwienia, choćby finansowe niedostatki czy powszechniejąca samotność?

Pamiętajmy, że mówimy jednak o studentach wyższych uczelni, którzy są – a przynajmniej powinni być – bardziej zainteresowani rozumieniem świata niż ich niestudiujący rówieśnicy. W sferze życia osobistego jako najbardziej obciążające studenci odczuwają problemy zdrowotne bliskich osób, drobne konflikty w relacjach z nimi; rzadziej martwią młodych różnice wartości i postaw w najbliższym otoczeniu – tylko 20 proc. widzi je jako silne i bardzo silne stresory. Ale ponad połowa badanych widzi brak mieszkań dla młodych osób jako duże i bardzo duże obciążenie w polskim życiu społecznym.

Od lat prowadzę seminaria magisterskie na studiach psychologicznych i recenzuję prace magisterskie innych promotorów, i widzę wyraźne przesunięcie zainteresowań w kierunku tematów społecznych i psychologiczno-politycznych, takich jak stres związany z wynajmem mieszkania, psychologiczne problemy awansu społecznego, stres ekonomiczny a tendencje do pomagania, postawy patriotyczne a nastawienie antagonistyczne, trwałość bliskich związków.

Praca i studiowanie dla większości badanych nie są w deklaracjach silnym obciążeniem. Jednak uwiera brak czasu wolnego (prawie 40 proc. ocenia to jako silny stresor), a także niezgodność między ich oczekiwaniami a ofertą pracy, niskie proponowane płace, niejasne kryteria oceny, brak bliższych relacji ze współpracownikami.

Samo studiowanie stresuje stosunkowo najmniej. Niepokoi nas jednak odczuwana jako obciążenie indywidualizacja studiowania. To, że podczas studiów nie rozwija się sieć kontaktów społecznych. Studenci nie znają imion osób pracujących przez semestr w tej samej grupie, nie kontaktują się ze sobą poza uczelnią, nie mają kontaktów ze studentami innych uczelni, nie uczestniczą w studenckim życiu kulturalnym czy sportowym.

I tym rzeczywiście mogliby się stresować. Czy naprawdę negatywne emocje polityczne są aż tak dojmujące, by naruszać zdrowie psychiczne?

Według WHO na podstawie danych z kilkudziesięciu krajów dwóch na trzech obywateli współczesnego świata doznaje dziś różnych rodzajów stresu politycznego. Rozmaite sfery życia człowieka wzajemnie się kształtują: stresory polityczne wiążą się z większymi obciążeniami w życiu społecznym, a stresory naszej społecznej codzienności też oddziałują na kształt polityki. Następuje transfer z jednej do drugiej.

My sprawdziliśmy, czy i jak silnie poziom stresu w poszczególnych sferach życia wiąże się z uogólnionymi schematami, obrazami świata społecznego. Mówiąc najprościej: okazało się, że im bardziej młodego dorosłego człowieka stresuje polityka, tym silniejszy staje się obraz świata jako pełnego zagrożeń, agresji i przemocy. I im silniejsze stresory w publicznym życiu społecznym, tym silniejsze przekonanie, że na ogół ludzie nie zasługują na zaufanie, bo oszukują, kierują się tylko własnym interesem itp. A ponury obraz otaczającego nas świata nie sprzyja wysokiej jakości życia.

Jakie to ma znaczenie dla zdrowia psychicznego? W naszych badaniach wykorzystaliśmy Skalę Depresji, Lęku i Stresu (DASS-21) w polskiej adaptacji. Jest to narzędzie pozwalające oszacować poziom zdrowia psychicznego w tygodniu poprzedzającym test. Badani oceniają, w jakim stopniu odnoszą się do nich takie stwierdzenia, jak np. „Bardzo trudno było mi się odprężyć", „Czułem/am się podminowany/a", „Czułem/am się przybity i smutny/a", „Czułem/am, że życie jest bezwartościowe", „Odczuwałem/am suchość w ustach", „Czułem/am, że jestem blisko wpadnięcia w panikę". I okazało się, że najsilniej z tymi problemami zdrowia psychicznego wiązał się właśnie stres w życiu społecznym i w sferze polityki. Natomiast poziom stresu w życiu osobistym wyraźnie wiązał się tylko z wyższym poziomem depresji. Bardziej zaawansowane analizy statystyczne przekonują, że właśnie te negatywne schematy obniżają poziom zdrowia psychicznego.

A może taki chroniczny stres polityczny da się zamienić w końcu w coś pozytywnego, czyli aktywność, chęć do działania, gotowość do protestu, buntu?

Przywołam tu ciekawe badania amerykańskie z 2023 r. Efekty długotrwałego oglądania codziennych wiadomości politycznych i transmisji z debat badali Brett Ford i jego koledzy. Uczestnikami badania były osoby popierające zarówno Demokratów, jak i Republikanów oraz nieidentyfikujące się z żadną partią.

eprasa.pl 4c91f9e87c

W ciągu dwóch tygodni przez siedem wieczorów oglądali kilkunastominutowe telewizyjne programy stacji liberalnych (np. „Rachel Maddow Show") lub konserwatywnych (np. „Tucker Carlson Tonight") albo też neutralne filmiki niedotyczące polityki. Uczestnicy byli proszeni, by opisywać poziom odczuwanego stresu, lęku, gniewu, depresji i innych emocji oraz sposoby radzenia sobie z tymi emocjami. Ponadto pytano ich o skłonność do uczestniczenia w różnych akcjach politycznych, np. podpisywaniu petycji, udziału w protestach ulicznych, blokowaniu ulic czy okupacji publicznych budynków.

Wyniki tych badań jednoznacznie dowodzą, że śledzenie codziennie polityki jest źródłem stresu i negatywnych emocji, gorszego ogólnego samopoczucia. Stwierdzono także trzy różne strategie radzenia sobie z tym stresem i negatywnymi emocjami: po pierwsze, szukanie jakiejś dystrakcji, sposobu odciągnięcia uwagi od oglądanych treści, np. słuchanie ulubionej muzyki, po drugie, poznawcze przetworzenie w taki sposób, by odebranej treści można było nadać jakiś pozytywny sens, i po trzecie, akceptacja negatywnych emocji. Dwie pierwsze strategie wyraźnie słabiej motywują do aktywności, natomiast akceptacja emocji – przeciwnie – mobilizuje. Ucieczka od nich może więc łagodzić polityczny stres, ale kosztuje społeczeństwo utratę aktywnych obywateli.

Inne wcześniejsze badania, w tym Katarzyny Jaśko i moje, także wskazują, że właśnie złość i gniew aktywizowały młode kobiety do udziału w protestach ulicznych w 2020 r. Czy dzisiejsi studenci, krytycznie obserwujący politykę, będą się buntowali? Nie wiem, ale chciałabym, aby wierzyli, że można mieć lepszy świat i że aktywność w polityce temu może służyć.

Wynikałoby z tego wszystkiego, że młodzi dorośli Polacy nie są słabi psychicznie „sami z siebie", z powodu jakiegoś przyrodzonego im defektu, ale że to świat polityczny i społeczny ich w tę niemoc brutalnie spycha, czy tak?

W porównaniu z pierwszą dekadą XXI w. lata 20. zmieniły obszar problemów życiowych młodych ludzi. Zmienił się świat – stał się rzeczywiście mniej bezpieczny i mniej przewidywalny – więc obniżony nastrój i niepokój młodych ludzi są uzasadnione. Jednak poziom tych emocji nie jest tak wysoki, by przewidywać, że całe pokolenie niedługo będzie wymagać opieki psychiatrycznej. Być może jest to specyfika badanej próby: studenci wyższych uczelni lepiej radzą sobie ze stresem niż osoby mniej wykształcone. Mają więc większe poczucie wewnętrznej kontroli. Z drugiej strony politycy powinni zrozumieć, że to oni w dużej mierze kreują problemy, które owocują kłopotami ze zdrowiem psychicznym młodych (i nie tylko młodych) ludzi. Łatwiejszy dostęp do psychologa czy psychiatry nie zmniejszy stresu, depresji czy lęku obywateli, jeżeli codziennie widzą i słyszą ważne postaci publiczne, które brutalnie, wulgarnie i bezkarnie obrażają i dehumanizują różne osoby i grupy społeczne, hamują zmiany poprawiające jakość życia czy bezpieczeństwo państwa, łamią normy społeczne, a czasem i prawne.

Gdy naga siła i chamstwo dominują w życiu publicznym, pogarsza się dobrostan psychiczny obywateli, ale także cały system społeczno-polityczny staje się mniej społecznie akceptowalny, a ludzie mniej ufają innym. Jak wiadomo, ryba psuje się od głowy.

ROZMAWIAŁA EWA WILK

© LESZEK ZYCH

REKLAMA

Nowa gra Skojarzenia

Łączysz fakty? Sprawdź się

Graj za darmo w APLIKACJI WYBORCZEJ

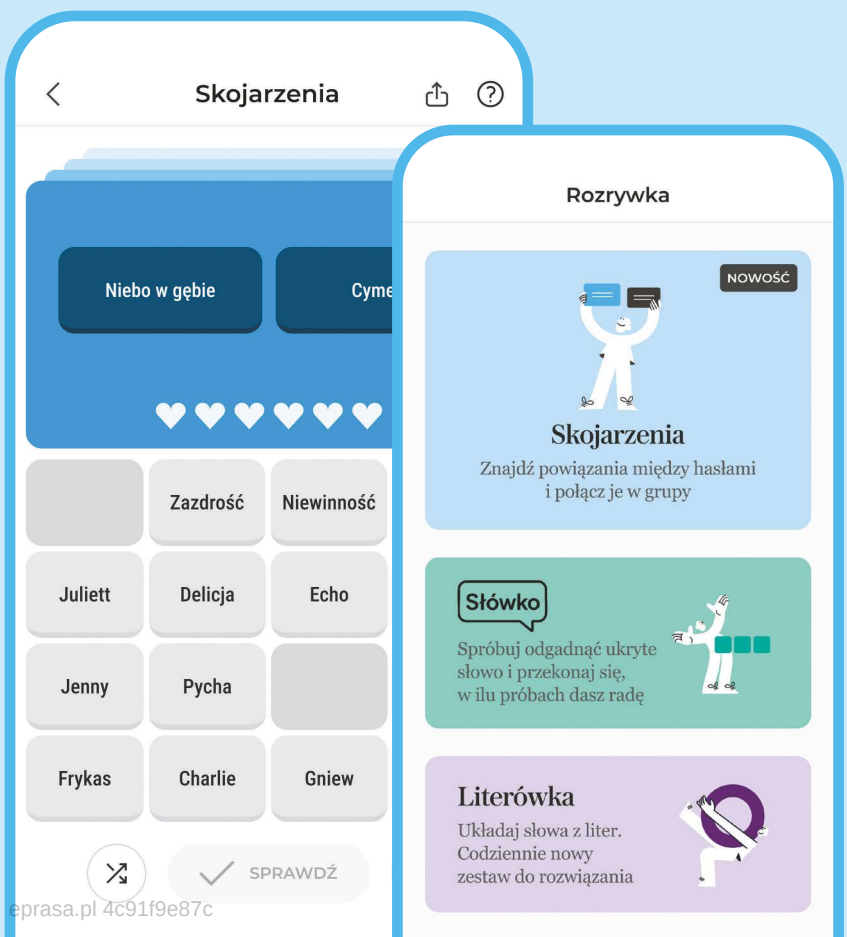

eprasa.pl 4c91f9e87c

Siódemka dla seniora

Smutna prawda o starości w Polsce: rzadko kiedy jest ona godna. Piszemy o tym regularnie od dwóch lat w cyklu „Odchodzić po ludzku". Teraz, wraz z Puckim Hospicjum pw. św. Ojca Pio, wskazujemy, co należy zmienić, zreformować, na co rządzący powinni zwrócić szczególną uwagę.

W ramach naszej akcji opublikowaliśmy już kilkadziesiąt artykułów i rozmów pokazujących, jak w praktyce wygląda życie seniorów w Polsce. Do tego dochodzą podkasty i materiały dodatkowe zamieszczane w specjalnej zakładce na naszej stronie internetowej **polityka.pl/odchodzicpoludzku** czy choćby specjalny poradnik dla opiekunów osób starszych, chorych i niesamodzielnych „Bądź blisko", który przygotowaliśmy wraz z Puckim Hospicjum (można go bezpłatnie pobrać z naszej strony internetowej).

Nasi autorzy uczestniczą w konferencjach i debatach dotyczących systemu opieki geriatrycznej oraz problemów osób starszych; wspierają się również wiedzą praktyków, a także opiniami czytelników POLITYKI, którzy – za co jesteśmy ogromnie wdzięczni – dzielą się z nami swoimi doświadczeniami i sugestiami.

Dzięki temu udało nam się stworzyć listę koniecznych zmian, których wdrożenie powinno stać się ważnym zadaniem rządzących. Wszak perspektywy demograficzne nie pozostawiają złudzeń: to już ostatni dzwonek, aby poważnie zająć się sprawami, z którymi prędzej czy później każdy z nas będzie musiał się zmierzyć.

Stąd postulujemy:

1 **Nowy standard obsługi seniora na SOR i w szpitalach:** wprowadzenie tzw. szybkiej ścieżki dla pacjentów 80+, a także obowiązkowe szkolenia z komunikacji i specyfiki pacjenta geriatrycznego dla personelu medycznego. To niezwykle istotne, ponieważ w przypadku pacjentów z demencją lub w bardzo zaawansowanym wieku wielogodzinne czekanie na SOR drastycznie pogarsza ich stan, co w efekcie generuje wyższe koszty leczenia powikłań. Także sposób komunikacji personelu medycznego z osobami starszymi często jest wykluczający, odbierający podmiotowość i godność – to musi się wreszcie zmienić.

2 **Pełna integracja systemu opieki zdrowotnej i socjalnej.** Obecny podział na opiekę medyczną i społeczną jest nieefektywny i prowadzi do dublowania działań lub powstawania luk w opiece. Osoby wymagające opieki medycznej trafiają do placówek socjalnych i odwrotnie, co generuje zbędne koszty i uniemożliwia skuteczną koordynację. Konieczne jest zatem wykorzystanie nowoczesnych systemów (choćby narzędzi opartych na AI) do monitorowania pacjenta w całym

eprasa.pl 4c91f9e87c

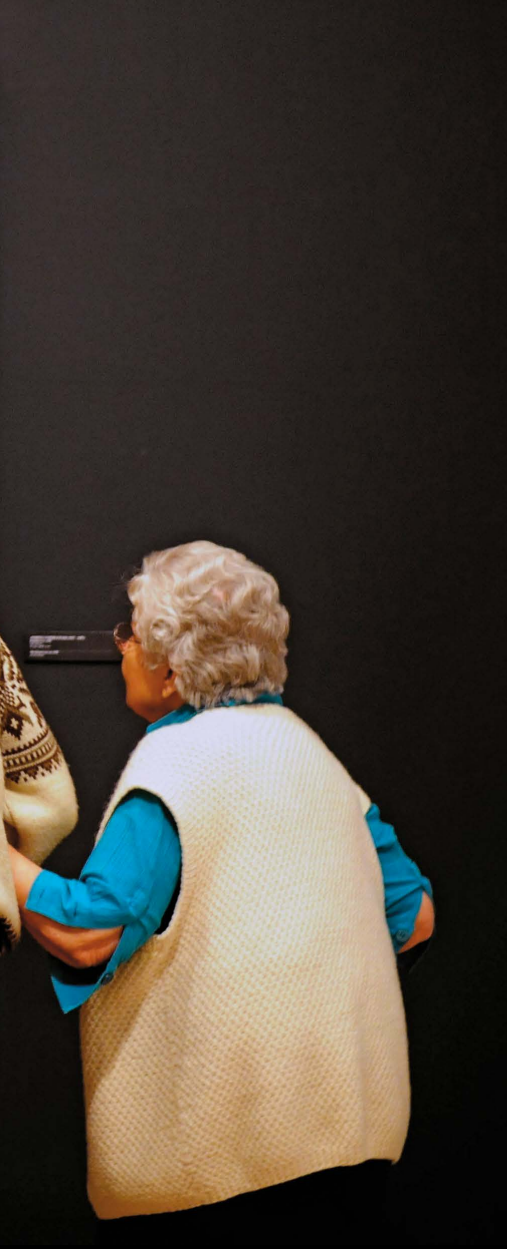

© WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

systemie (np. ścieżka seniora), w tym uwzględnienie w nim opiekunów nieformalnych, którzy dziś są dla państwa niewidoczni. Umożliwi to optymalne wykorzystanie miejsc w placówkach takich jak ZOL czy DPS.

3 Rozwój geriatrii środowiskowej jako alternatywy dla hospitalizacji: stworzenie i finansowanie interdyscyplinarnych zespołów medycznej opieki domowej (lekarz, pielęgniarka, fizjoterapeuta, psycholog, dietetyk plus opiekun medyczny jako koordynator zespołu, lider procesu opiekuńczego). Kompleksowa obsługa seniora w jego miejscu zamieszkania redukuje liczbę interwencji ratowniczych zespołów wyjazdowych, pobytów na SOR i hospitalizacji, które poza generowaniem kosztów dla systemu są traumą dla pacjenta. Opieka ta musi mieć zapewnione stałe finansowanie budżetowe, a nie opierać się na krótkotrwałych projektach.

4 Wsparcie dla opiekunów i innowacyjne modele mieszkaniowe: uruchomienie systemowej opieki wytchnieniowej oraz wsparcie dla mieszkalnictwa co-housingowego. Rodziny sprawujące opiekę nad osobami niesamodzielnymi nierzadko są na skraju wydolności psychicznej i fizycznej. Umożliwienie krótkoterminowych pobytów seniorów w ośrodkach opieki wytchnieniowej pozwoli opiekunom się zregenerować, odzyskać siły, zadbać o własne zdrowie. Może również stanowić szansę na nabycie podstawowej wiedzy w zakresie opieki nad osobą niesamodzielną, profilaktyki i reagowania w nagłych sytuacjach (np. upadków czy zaostrzenia chorób przewlekłych). Pomoże też „odblokować" łóżka szpitalne.

5 Reforma i nadzór nad domami opieki: uregulowanie działalności prywatnych domów opieki, wprowadzenie nowych standardów (w tym przede wszystkim odpowiednich wymogów dotyczących personelu i jego kompetencji) oraz zapewnienie realnego nadzoru nad tego typu ośrodkami. Obecnie prywatne domy opieki funkcjonują często jak „pensjonaty": bez realnej kontroli i kompetentnej kadry. Media regularnie ujawniają kolejne skandaliczne przypadki traktowania osób starszych w tego typu miejscach, ale niewiele to zmienia. Stąd postulujemy zwiększenie wymogów dotyczących standardów opieki (w tym opieki medycznej) i kompetencji personelu, a także urealnienie nadzoru: regularne, niezapowiedziane kontrole oraz zakaz ograniczania kontaktów seniora z rodziną i limitowania dostępu bliskich do pokoi pensjonariuszy.

6 Diagnostyka i edukacja systemowa: zwiększenie dostępu do opieki geriatrycznej; obowiązek badań przesiewowych pod kątem demencji w POZ; tworzenie lokalnych poradni zdrowia mózgu i pamięci oraz reforma programu studiów medycznych i promocja studiów gerontologicznych, aby przygotować kadry do opieki nad starzejącym się społeczeństwem. Obecnie wiedza lekarzy oraz personelu medycznego o geriatrii bywa niewystarczająca, co prowadzi do błędów diagnostycznych i niewłaściwego traktowania starszych pacjentów. Dlatego tak ważne jest zwiększanie kompetencji komunikacyjnych medyków i odpowiednia, jakościowa edukacja kładąca nacisk na problemy osób starszych, w tym choroby otępienne. Ich wczesne wykrycie pozwala bowiem na wdrożenie terapii opóźniających niesamodzielność, daje także czas na odpowiednie przygotowanie rodzin do opieki i stworzenie systemu ich wsparcia.

7 Ogólnopolska kampania społeczna „Starość to wspólna sprawa": przeprowadzenie szerokiej kampanii edukacyjnej, uświadamiającej, że opieka nad seniorem to wspólna odpowiedzialność państwa, rodzin i bliskich. Kampania powinna normalizować rozmowę o starości i niesamodzielności, uczyć planowania przyszłości i pokazywać dostępne formy wsparcia, zarazem budować empatię i społeczne zrozumienie dla procesów starzenia i związanych z nimi trudności. Bo opieka nad osobami starszymi i niesamodzielnymi to nasza wspólna sprawa.

•

Starzenie się społeczeństwa to wyzwanie, które wymaga współpracy międzyresortowej i ponad podziałami politycznymi. Stąd nasz apel kierujemy do ministry zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy, ministry rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk oraz sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Marzeny Okły-Drewnowicz, odpowiedzialnej za politykę senioralną w Polsce, a także do przewodniczących wszystkich klubów parlamentarnych w obecnym Sejmie RP oraz przewodniczących sejmowych komisji: ds. polityki senioralnej, polityki społecznej i rodziny oraz zdrowia.

Wierzymy, że powyższe postulaty mogą być inspiracją do realnych zmian legislacyjnych. Jako społeczeństwo nie możemy dłużej godzić się na systemową niewidzialność osób starszych i ich opiekunów.

MALWINA DZIEDZIC
koordynatorka akcji „Odchodzić po ludzku", tygodnik POLITYKA,
ANNA JOCHIM-LABUDA
dyrektor Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio, patronującego akcji „Odchodzić po ludzku"

eprasa.pl 4c91f9e87c

Hokus pokus 2.0

Mateusz Morawiecki ma plan: za wszelką cenę wrócić na fotel premiera, pod flagą PiS, a choćby i bez niej. W tym celu przygotowuje nowy plan gospodarczy, licząc, że o tym starym Polacy już zapomnieli.

ADAM GRZESZAK

Kluczowa część najnowszego planu nosi tytuł, nie wiedzieć czemu angielski, „Powered by Poland", czyli „wspierane przez Polskę". Dalej też są trudne wyrazy. „To program budowy silnej, zasobowej gospodarki narodowej, w której polskie firmy są właścicielami technologii, integratorami systemów i beneficjentami wartości dodanej – a nie tylko wykonawcami zleceń podejmowanych w zagranicznych centralach. To projekt przejścia od modelu zależnej gospodarki rynkowej do modelu gospodarki suwerennej, zdolnej akumulować kapitał, know-how i własność intelektualną" – wyjaśnia autor językiem, jakim posługują się doradcy z firm konsultingowych. Dziesięć lat temu, kiedy prezentował swój pierwszy plan, w kółko powtarzał o wyjściu z pułapki średniego rozwoju, o której istnieniu naród nie miał nawet pojęcia. Wtedy pojawił się też zarzut, że jego plan opracowali międzynarodowi doradcy z firmy BCG. Choć temu zaprzeczali, wątpliwości pozostały.

Dziś nowy plan przewiduje m.in. zachęty podatkowe obniżające koszty inwestycji, nacjonalizację zamówień publicznych, obniżenie kosztów energii dla sektora produkcyjnego, rozwój technologii wojskowych w zastosowaniach cywilnych. Na swoim

© MICHAŁ JANEK/REPORTER

eprasa.pl 4c91f9e87c

profilu w serwisie X Morawiecki wylicza strategiczne cele: chodzi o zmobilizowanie 3,6 bln zł kapitału Polaków na innowacje i inwestycje w Polsce, o 30 proc. tańszą energię dla przemysłu i przeznaczenie 5 proc. PKB na obronność.

Pod wpisem autora pojawiły się liczne komentarze, wśród których nie brakuje ironicznych uwag, by nie obiecywał o 30 proc. tańszej energii, bo już Karol Nawrocki w kampanii prezydenckiej przekonywał Polaków, że „w ciągu 100 dni będziecie płacić o 33 proc. mniej za rachunki energii elektrycznej", a wiadomo, jak wyszło. Sypią się też złośliwości z obu stron politycznej barykady. Radykalny prawicowy komentariat konfederacki, a także po części pisowski, nie może Morawieckiemu darować jego podpisu pod Zielonym Ładem (przed którego skutkami ten obiecuje dziś Polskę ochronić), akceptacji systemu ETS, a potem przyjęcia ETS2, zamykania kopalń, no i ogólnie uległości wobec Brukseli. Komentariat lewicowo-liberalny przypomina bajkowe obietnice dawnego planu Morawieckiego, na które wydano miliony z publicznej kasy i w większości je zmarnowano lub rozkradziono. Dlatego przedwyborcza zapowiedź, zawarta w „Powered by Poland", wykorzystania na innowacje i państwowe inwestycje wszystkich oszczędności zgromadzonych przez obywateli brzmi jak groźba lub ponury żart.

Drużynowy i jego harcerze

Mimo to Morawiecki i wierne mu grono polityków i byłych urzędników jego rządu, popularnie zwanych harcerzami, krążą po kraju, spotykają się z wyborcami i popularyzują nowy plan, tworzony pod kierunkiem byłego premiera w Zespole Pracy dla Polski. To partyjny think tank, powołany do życia po przegranych przez PiS ostatnich wyborach. „Pracujemy dla kraju. Analizujemy, dyskutujemy, rekomendujemy. Wiemy, jak dobrze kierować państwem" – głosi motto zespołu na jego internetowych stronach. O lojalności i prawomyślności think tanku i jego szefa mają świadczyć zdjęcie prezesa Kaczyńskiego oraz sentencja: „Chcemy, aby polskie rodziny były bogate, aby Polska była wielka".

Ta prawomyślność została ostatnio zakwestionowana, gdy na oficjalnego kandydata na przyszłego premiera (o ile wygra PiS) prezes namaścił Przemysława Czarnka, a nie Mateusza Morawieckiego. Drugim policzkiem stało się niewłączenie byłego premiera do rady programowej przygotowującej program wyborczy PiS, choć Zespół Pracy dla Polski w dużej części tę robotę już wykonał. Wygląda jednak, że na próżno, bo rada programowa kierowana przez Piotra Glińskiego została obsadzona „maślarzami" i politykami otwarcie wrogimi byłemu premierowi, jak Sasin, Czarnek, Bocheński, Obajtek czy zbiegły właśnie Ziobro. Trudno zresztą sobie wyobrazić, by Czarnek mógł skorzystać z programu Morawieckiego. Prosty przykład: energetyka. Czarnek nie kryje wrogości do odnawialnych źródeł energii, mówi o „OZE-sroze" i obiecuje powrót do węgla. Morawiecki opisuje szczegółowo plan rozwoju odnawialnych źródeł energii, a o węglu wspomina marginalnie, jako paliwie przechodzącym do historii.

Rozbój Plus

Na te demonstracyjne afronty Morawiecki zareagował powołaniem stowarzyszenia Rozwój Plus, do którego przystąpiło 40 parlamentarzystów PiS, i to mimo ostrzeżeń Kaczyńskiego, by tego nie robili. Rozwój Plus ma być kolejnym think tankiem, „przestrzenią do dialogu, wymiany doświadczeń oraz inicjowania działań wspierających rozwój gospodarczy i społeczny Polski". Ale wszyscy wiedzą, że gdyby coś poszło nie tak, stowarzyszenie zamieni się w szalupę ratunkową, którą sternik z drużyną harcerzy pożegluje ku przyszłym wyborom, szukając nowych koalicjantów.

Nad PiS zawisło więc widmo wojny domowej, które zostało na razie zażegnane, gdy ustalono, że stowarzyszenie Morawieckiego ma prawo do istnienia, ale tylko wewnątrz struktur partii. Rozejm może być chwilowy, bo maślarze odpowiedzieli kontrstowarzyszeniem Po pierwsze Polska. Oni byłego premiera nie znoszą, a Kaczyński nie kryje obaw, że ciągnąca się za Morawieckim zła sława jego rządu – tych wszystkich głośnych afer i skandali – może być balastem dla PiS. Słaby punkt wyczuł Donald Tusk, który zakpił na X z nowego stowarzyszenia Rozwój Plus, nazywając je Rozbój Plus. Między politykami wywiązała się iksowa utarczka, w której obaj zwracali się do siebie po imieniu. Tusk w ten protekcjonalny sposób podkreśla, że Morawiecki, nim przystał do PiS, był jego człowiekiem, członkiem wspierającej go Rady Gospodarczej, a na dodatek prezesem zagranicznego banku, czyli banksterem.

Cuda w PowerPoincie

Polacy zapamiętali pierwszy plan Morawieckiego z 2016 r., czyli Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR), głównie za sprawą słynnego pokazu slajdów w PowerPoincie, bo sam dokument liczył ponad 400 stron, mało kto go przeczytał. Morawiecki pokazywał pięć „pułapek rozwojowych", w jakie wpadła Polska, i opisywał, jak nas z nich wyprowadzi. Posłużyć do tego miało pięć filarów (jego programy zawsze mają filary): „reindustrializacja, rozwój innowacyjnych firm, kapitał dla rozwoju, ekspansja zagraniczna oraz rozwój społeczny i regionalny".

Największe społeczne emocje wzbudziła jednak zapowiedź wielkiej ofensywy inwestycyjnej, realizowanej oczywiście przez państwo. Polska miała do 2020 r. osiągnąć 25-procentowy udział inwestycji w PKB. Gdy nadszedł koniec dekady, okazało się, że udział inwestycji się skurczył i wynosił 16,6 proc. Mieliśmy też wykonać gospodarczy i cywilizacyjny skok, wejść w epokę czwartej rewolucji przemysłowej, dołączyć do globalnej rozgrywki o nowoczesne technologie. Miały temu służyć „flagowe projekty", m.in. Batory, Luxtorpeda 2.0, Żwirko i Wigura, Polskie Meble, Inteligentna Kopalnia, Cyberpark Enigma. Nazwy były głównie zaczerpnięte z międzywojennej historii gospodarczej Polski i miały stanowić pomost pomiędzy II a IV RP.

Większość projektów ugrzęzła w międzyresortowych sporach i właściwie żaden nie przyniósł obiecywanego sukcesu. Zwykle umierały w zapomnieniu, choć były i takie, które błysnęły spektakularną kompromitacją. Tak jak program Batory, który w założeniu miał doprowadzić do wskrzeszenia stoczni w Szczecinie, gdzie będą powstawać nowoczesne polskie promy. Położenie stępki pod budowę pierwszej jednostki, na pochylni Wulkan w Szczecinie, było wielką państwowo-kościelną fetą, w której wziął udział Morawiecki. Potem zaś okazało się, że ta stępka to była tylko dekoracja, która latami rdzewiała, aż trafiła na złom. „Program Batory realizowany był bez zatwierdzonego planu, bez określenia potrzeb oraz celów i wskaźników realizacji, bez ustalonego harmonogramu i budżetu. Nie dokonano analizy ryzyka (...). Nie ustalono formalnie składu zespołu projektowego" – wyliczali potem kontrolerzy NIK.

Ostatecznie program Batory pochłonął 1 mld zł z publicznej kasy, a pierwszy polski prom nie powstał w Szczecinie, ale ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

Makieta Izery. W 2025 r. miało już jeździć milion elektryków Morawieckiego.

▶ w prywatnej Gdańskiej Stoczni „Remontowa". Nie powstała też Luxtorpeda, krajowa wersja ekspresu Pendolino, nic nie wyszło z obiecywanych robotów medycznych, nie zostaliśmy liderem w dziedzinie dronów, jak obiecywał program Żwirko i Wigura. A Cyberpark Enigma, czyli wielki ośrodek usług IT, tak podsumował NIK: „nie został wdrożony do realizacji".

Milion e-aut

Do porażek planu Morawieckiego zaliczana jest też Izera, czyli wielki projekt zakładający stworzenie i uruchomienie w Polsce produkcji samochodów elektrycznych. Choć formalnie nie był zapisany w SOR, to elektromobilność była jego ważnym elementem (program e-Bus). Historia Izery, tworzonej od 2016 r. przez spółkę ElectroMobility Poland, stanowi jednak dobrą ilustrację, jak łatwo wymyślać wizjonerskie inwestycje za publiczne pieniądze i jak trudno je potem realizować.

Polskie e-auto ostatecznie zaprojektowali włoscy projektanci, ale szybko okazało się, że efektowne nadwozie samo nie pojedzie, trzeba jeszcze coś włożyć pod maskę. Latami trwały poszukiwania dostawcy technologii zainteresowanego kooperacją z państwowym start-upem na politycznych sterydach. Pewne zainteresowanie wykazali Chińczycy, ale szybko zrezygnowali. Stało się to już po wyborach 2023 r., więc Mateusz Morawiecki zagrzmiał na swoim profilu X, że Tusk odziedziczył znakomicie przygotowane przedsięwzięcie, a Izery jak nie było, tak nie ma. „Ktokolwiek zadał sobie trud i poczytał analizy o tym projekcie, wiedział, że miał on dużą szansę powodzenia. Nawet gdyby był chiński". I znów posypały się złośliwe komentarze, że jeśli były szanse, to dlaczego przez siedem lat rządów PiS sam ich nie wykorzystał. Z maili Dworczyka wiemy, że interesował się dużo drobniejszymi sprawami.

A poza tym, gdzie jest obiecywany milion samochodów elektrycznych, które w 2025 r. miały jeździć po polskich drogach? W sporej części miały być polskiej produkcji. W ubiegłym roku jeździło ich dziesięciokrotnie mniej, niż obiecywano, i wszystkie importowane. Morawiecki z tego miliona e-aut musi się często tłumaczyć. Przekonuje, że on takiej obietnicy nie składał, nie zapisano jej też w SOR. I to prawda, bo ten milion wymyślił na poczekaniu minister energii z jego rządu Krzysztof Tchórzewski, a potem taka wielkość została zapisana w oficjalnych dokumentach.

To dość dobrze ilustruje mechanizm etatystycznej gospodarki, w której polityk podejmuje wyssane z palca decyzje gospodarcze, a państwowe spółki muszą je realizować, nie licząc się ze stratami. Taka decyzja dotyczyła nie tylko Izery, ale i budowy węglowej elektrowni w Ostrołęce, także nakazanej przez Tchórzewskiego. Powstające konstrukcje inni politycy PiS zdecydowali się potem zburzyć, jeszcze przed ukończeniem. Trochę inaczej było z przekopem Mierzei Wiślanej, wielkiej inwestycji zarządzonej przez Jarosława Kaczyńskiego. Powstała, kosztowała 2 mld zł, dwukrotnie więcej niż planowano, ale dziś gospodarcza przydatność jest niemal zerowa – przepływają nią żaglówki, kutry i turystyczne stateczki.

Bądź zdrów!

Projekt Izery, pod który wycięto już kawał lasu, odziedziczony przez rząd Tuska, jest kontynuowany (we współpracy z firmą z Tajwanu), podobnie jak projekt megalotniska CPK (obecna nazwa Port Polska), mimo poważnych wątpliwości zgłaszanych przez ekspertów co do sensowności tych kosztownych przedsięwzięć. Żadnej większej inwestycji nie udało się rządowi PiS w całości zrealizować, ale Morawiecki zdołał sporo problemów przerzucić na następcę. Marcin Horała, poseł PiS, jeden z wiernych członków jego drużyny, powołał parlamentarny zespół „Tak dla rozwoju. CPK – Atom – Porty". Składa się niemal z samych posłów PiS, którzy tworzą atmosferę społecznej presji, by realizowano sztandarowe projekty rządu Morawieckiego, bo od tego zależą losy kraju. I to działa.

Część członków zespołu uczestniczy też w promocji najnowszego planu Morawieckiego, który w odróżnieniu od SOR pisany jest z większym rozmachem i sięga poza Polskę. Morawiecki ma plan nie tylko naprawy kraju, ale i Unii Europejskiej. Europa Strategicznych Partnerstw to „koncepcja integracji europejskiej, w której państwa członkowskie Unii Europejskiej zobowiązane są do respektowania pewnego kanonu praw gospodarczych, tak jak to miało miejsce przed wejściem w życie Traktatu o Unii Europejskiej" – wyjaśnia. To jego alternatywa dla polexitu, ku czemu zdają się skłaniać PiS i Przemysław Czarnek. Morawiecki uważa, że wystarczy, gdy osłabieniu ulegną mechanizmy wspólnoty, bo „żadne inne mechanizmy integracji nie powinny uszczuplać suwerennego prawa państw członkowskich do prowadzenia polityki według własnego uznania". Ma też pomysł stworzenia Gospodarczego NATO, czyli strefy wolnego handlu obejmującej także państwa, które do UE nie należą. Nawet Instytut Jagielloński, think tank wspierający byłego premiera, chwaląc go za rozmach i ambicje, przyznaje, że to *political fiction*.

Najnowszy przedwyborczy plan Morawieckiego, rodzący się w Zespole Pracy dla Polski, nie został ukończony. Ma liczyć 11 filarów: ambitne inwestycje, sprawiedliwa Polska, przyjazny urząd, szczęśliwa rodzina, zasobna wieś i silne rolnictwo, rozwój Polski i zdrowe finanse, silna Polska, bezpieczna Polska, zdrowi Polacy, polska tożsamość, tania energia. W większości znane są tylko założenia. Charakterystyczne wydają się pomysły Morawieckiego, co zrobić z systemem ochrony zdrowia, który dziś budzi tyle emocji. „Nasze społeczeństwo zarazem nie tylko trzeba leczyć, ale także zapobiegać różnym problemom medycznym" – brzmi wstępna diagnoza. Jest też prosta recepta: „należy dbać o profilaktykę, ale także promocję kultury fizycznej i sportu". Podpowiadamy: można też stosować terapię doktora Grünsteina, który leczył dobrego wojaka Szwejka z reumatyzmu solą glauberską i lewatywami.

ADAM GRZESZAK

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 4c91f9e87c

Mordęga ze zwrotką

Puste butelki i puszki oddajemy coraz częściej, ale ponad jedna trzecia Polaków twierdzi, że system kaucyjny działa źle. Tymczasem prawdziwy test dopiero przed nim: lato.

CEZARY KOWANDA

Co ma wspólnego polski system kaucyjny z Donaldem Trumpem? Wyjaśniamy.

Główny powód, dla którego mamy oddawać w sklepach puste butelki i puszki, to ponowne użycie materiałów, z których zostały wykonane. Z plastikowych butelek PET powstaje regranulat wykorzystywany do produkcji nowych butelek. Ale jeszcze niedawno ceny takiego materiału z recyklingu były wyższe niż nowego surowca, więc producenci napojów nie mieli motywacji, aby go kupować. Mimo że zgodnie z przepisami muszą do produkcji nowych opakowań wykorzystywać przynajmniej 25 proc. regranulatu, bardziej opłacało im się zapłacić karę i tego nie robić.

Wszystko zmieniła decyzja Trumpa o ataku na Iran. – *Z powodu znacznego wzrostu cen ropy podrożały surowce pierwotne wykorzystywane do produkcji opakowań. Dzięki temu teraz materiał powstały dzięki recyklingowi jest od nich tańszy. Ponadto dzięki systemowi kaucyjnemu więcej jest surowców wtórnych niezanieczyszczonych innymi odpadami, czyli lepszych do przetworzenia. Mam nadzieję, że będą trafiać do ponownego wykorzystania w Polsce, a nie za granicą* – mówi Sławomir Pacek, prezes Stowarzyszenia Polski Recykling. O ile zbierane butelki PET możemy zagospodarować w naszym kraju, o tyle gorzej wygląda sytuacja z puszkami, które również objął system kaucyjny. Na razie nie ma w Polsce żadnych instalacji pozwalających na recykling takich opakowań.

© KWEJK.PL

Jeden z wielu memów o systemie kaucyjnym krążących po sieci

Chociaż eksplozja cen ropy pokazała, jak ważny jest recykling – nie tylko z powodów ekologicznych, ale i ekonomicznych – pierwsze miesiące działania systemu kaucyjnego są burzliwe. Zwłaszcza politycy Konfederacji próbują budować swoją popularność na krytyce nowych przepisów, podrzucając puste butelki pod biura poselskie zarówno KO, jak i PiS. Przypominają w ten sposób, że to poprzedni rząd zdecydował się wprowadzić w Polsce kaucję, a obecny kontynuuje tę politykę.

Wodą na młyn wszystkich krytyków są problemy, których doświadczają konsumenci. Automatów zbierających butelki i puszki jest za mało, często trzeba czekać, aż obsługa sklepów je opróżni, brakuje punktów zbiórki zwłaszcza poza miastami, a do tego wciąż trzeba sprawdzać na opakowaniach, czy jest już na nich znak kaucji, czy jeszcze nie. Zabrakło profesjonalnej kampanii informacyjnej, więc wiele osób zastanawia się nad losami nieodebranej przez klientów kaucji. Mnożą się spiskowe teorie ostrzegające np. przed transferem pieniędzy za granicę, chociaż zgodnie z przepisami operatorzy systemu kaucyjnego nie mogą wykazywać zysków, a środki niezwrócone klientom mają przeznaczyć na pokrycie kosztów swojej działalności.

Wielu problemów można było uniknąć, gdyby system został lepiej przygotowany. – *Zabrakło czasu, chociaż apelowaliśmy, aby poczekać ze startem przynajmniej do początku 2027 r. W innych krajach takie rozwiązania powstawały w ciągu trzech lat, a my mieliśmy teoretycznie rok. W praktyce nawet mniej, bo niektórzy operatorzy systemu kaucyjnego czekali pół roku na zezwolenie niezbędne do rozpoczęcia działalności. Na razie* ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ *mamy tak naprawdę system zbudowany dopiero w połowie, bo sklepy nie zdołały kupić wystarczającej liczby maszyn ani ich przetestować, a do tego operatorzy nie zdążyli podpisać umów z dużą częścią handlu detalicznego tradycyjnego na zbiórkę manualną. Z powodu utrudnień dla konsumentów straciliśmy coś bardzo cennego: duże społeczne poparcie dla systemu kaucyjnego, które było widoczne przed jego uruchomieniem* – podkreśla Andrzej Gantner, wiceprezes zarządu Polskiej Federacji Producentów Żywności.

O tym, że nowe obowiązki dzielą Polaków, świadczą wyniki sondaży. W przeprowadzonej na zlecenie operatora ankiecie (o nazwie Krajowy System Kaucyjny Zwrotka) 81 proc. pytanych stwierdziło, że zwraca puste opakowania lub zamierza zacząć to niedługo robić. Jednak zaledwie 34 proc. dobrze ocenia funkcjonowanie systemu, a aż 35 proc. ma zdanie negatywne.

> W maju być może osiągniemy próg 200 mln zebranych butelek i puszek w ciągu jednego miesiąca. To więcej, niż się spodziewaliśmy.

Lista kłopotów najczęściej wskazywanych przez respondentów nie zaskakuje, narzekamy na: brak miejsca w domu do przechowywania pustych opakowań, na problemy z działaniem automatów, kolejki do zwrotu, czasochłonność nowych rozwiązań i ograniczoną dostępność urządzeń. Tych według danych Ministerstwa Klimatu i Środowiska z początku maja jest w całej Polsce ok. 12,5 tys. Eksperci oceniają, że powinno ich być docelowo przynajmniej 20 tys. Już teraz automaty biorą na siebie główny ciężar zbiórki – to do nich trafia niemal 80 proc. oddawanych butelek i puszek. Jeśli takich maszyn jest za mało, te czynne częściej są przepełnione, częściej się psują i częściej trzeba czekać w kolejce, aby z nich skorzystać.

Jednak nie tylko butelkomaty budzą kontrowersje. Producenci umieszczają na opakowaniach objętych kaucją specjalny symbol z kwotą 0,50 zł, ale często jest bardzo mały i trudno go odnaleźć na etykiecie. Największe sieci handlowe, chociaż są zrzeszone w organizacji POHiD, nie potrafiły wypracować wspólnych standardów informacyjnych: choćby jednolitego plakatu, który byłby na drzwiach wejściowych do każdego sklepu. Spore zamieszanie wprowadziła również akcja Lidla, który jeszcze przed startem systemu kaucyjnego zaczął zbierać butelki i puszki bez nowego logo, płacąc za każdą sztukę 10 gr. Dzięki temu zdystansował konkurentów i zachęcił klientów do oddawania opakowań u siebie, ale wiele osób próbuje zwracać butelki i puszki bez znaku systemu kaucyjnego także w butelkomatach innych sieci. I denerwują się, gdy maszyny odmawiają przyjęcia takich opakowań.

Jednak pomysł Lidla pokazał, że o ile system kaucyjny dla sklepów to duże obciążenie (jeden automat do zbiórki kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych), o tyle może być także szansą na zdobycie klientów. Z badań KSK Zwrotka jasno wynika, że puste opakowania oddajemy przede wszystkim podczas zakupów. Tak robi aż 85 proc. pytanych. Co więcej, aż 60 proc. ankietowanych podkreśla, że obecność punktu zwrotu ma dla nich znaczenie przy wyborze sklepu, do którego idą. Oznacza to, że zwłaszcza małe punkty mają spory dylemat. Mogą nie zbierać opakowań (jeśli ich powierzchnia nie przekracza 200 m kw.), ale w ten sposób stracą część klientów. To dlatego nawet niewielkie sklepy, zrzeszone w sieciach franczyzowych, jak Żabka, decydują się przyjmować puste butelki i puszki, a te niezależne, chociaż na razie często jeszcze się zastanawiają, pewnie wkrótce zrobią podobnie.

Tymczasem największe sieci handlowe zauważyły, że dzięki kaucji mogą zdobyć dodatkowych klientów. Standardem stało się wydawanie przez maszyny do zbiórki nie gotówki, lecz kuponów, zwanych czasem voucherami. To z nimi klient musi pójść do kasy, aby odzyskać pieniądze. Może oczywiście zażądać gotówki, ale wtedy trzeba znaleźć kasę tradycyjną, bo w samoobsługowej kupon można tylko zeskanować, obniżając w ten sposób kwotę do zapłaty za zakupy.

Tak właśnie robi większość konsumentów. Kupony wydane przez automat są ważne tylko w konkretnym sklepie albo we wszystkich punktach danej sieci – to też dezorientuje klientów. Spore kontrowersje budzi fakt, że handlowcy ograniczają wartość voucherów do 30 dni. To problem, gdy schowamy kupon po skorzystaniu z maszyny i o nim na dłuższy czas zapomnimy. Praktyka handlowców wydaje się nielegalna, bo przecież w przepisach nie ma żadnego terminu ważności kaucji – można ją odzyskać w dowolnym momencie.

O ile duże sieci handlowe zdołały już wyposażyć większość swoich punktów w automaty, o tyle wciąż niewiele jest takich urządzeń poza sklepami. Tymczasem na wsiach i w małych miejscowościach mogłyby się cieszyć sporym zainteresowaniem, gdyby znalazły się np. w urzędzie gminy czy przy lokalnym kościele. Pod warunkiem że pozwalałyby odzyskać pieniądze w formie gotówki lub przelewu na konto po przyłożeniu karty płatniczej. Technologicznie to żaden problem, ale ktoś musiałby zapłacić za instalację takich maszyn. Na razie Związek Gmin Wiejskich RP ostro krytykuje system kaucyjny jako niekorzystny, zwłaszcza dla tych mieszkających na prowincji, a Ministerstwo Klimatu i Środowiska radzi cierpliwie czekać i wskazuje, że zgodnie z przepisami w każdej gminie musi być przynajmniej jeden punkt zbiórki. Nie wiadomo tylko, kto i za czyje pieniądze ma go utworzyć, jeśli nie znajdzie się żaden chętny sklep.

Do początku maja według danych resortu klimatu i środowiska zebrano miliard opakowań – 650 mln butelek i 350 mln puszek, a tempo zbiórki osiągnęło ostatnio 100 mln sztuk tygodniowo. Nieźle jak na pierwsze miesiące ze sporymi problemami, ale na polski rynek według różnych szacunków rocznie trafia od 10 do nawet 14 mld takich opakowań. Tymczasem cele dla systemu kaucyjnego są jasno wyznaczone: dzięki niemu przedsiębiorcy wprowadzający do obrotu napoje w opakowaniach będą obowiązani zbierać już teraz przynajmniej 77 proc. sprzedawanych butelek PET, a od 2029 r. – aż 90 proc.

Trudno powiedzieć, czy w tym roku ten pierwszy wskaźnik uda się osiągnąć. *– Na razie za wcześnie na konkretne liczby, bo przecież wciąż jeszcze w sprzedaży są produkty bez znaku kaucji. Poza tym klienci mają bardzo różne zwyczaje i niektórzy*

eprasa.pl 4c91f9e87c

czekają ze zwrotem, aż zbiorą większą liczbę opakowań. Jednak widzimy, że mimo negatywnej narracji, rozpowszechnianej przez przeciwników systemu kaucyjnego, liczba oddawanych opakowań rośnie w szybkim tempie. Nawet szybszym od naszych prognoz. W maju być może osiągniemy próg 200 mln zebranych butelek i puszek w ciągu jednego miesiąca. Poważnym sprawdzianem będzie lato, gdy kupujemy więcej napojów, ale jesteśmy na to przygotowani – podkreśla Tomasz Suligowski, prezes OK Operatora Kaucyjnego, który obsługuje ok. 40 proc. masy wszystkich opakowań kaucyjnych zbieranych w Polsce.

Gdy jedni próbują sobie poradzić z coraz większą skalą zwrotów, inni za nimi tęsknią. Zgodnie z przewidywaniami coraz mniej pustych butelek i puszek jest zbieranych w dotychczasowy sposób, czyli przez żółte pojemniki czy kubły. To wymierne straty dla gmin zarządzających lokalnymi systemami odpadowymi i instalacji komunalnych. – *Butelki PET i metalowe puszki są cennym materiałem. Sprzedaż takich odpadów do tej pory stanowiła u nas połowę wpływów z wykorzystania wszystkich surowców wtórnych. Tona butelek PET warta jest 2 tys. zł, a tona puszek aluminiowych 8–9 tys. zł. Teraz tracimy te pieniądze, a koszty praktycznie się nie zmieniają, bo butelki plastikowe i puszki stanowiły dotąd zaledwie 2 proc. masy wszystkich zbieranych odpadów. W efekcie mieszkańcy zapłacą więcej za odbiór i zagospodarowanie odpadów. To nie koniec strat. Wybudowaliśmy, częściowo zresztą za unijne pieniądze, system zaawansowanych sortowni wychwytujących butelki i puszki. Teraz takie instalacje będą wymagały przebudowy albo zaczną pracować nieefektywnie* – wyjaśnia Piotr Szewczyk, prezes Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych.

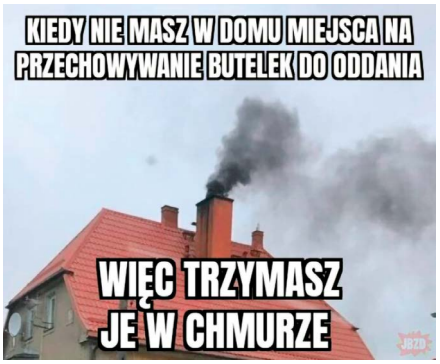

Dodaje, że na ironię zakrawa jeszcze jeden fakt. Całkiem niedawno spore emocje wzbudzał przepis nakazujący trwałe przytwierdzanie nakrętek do butelek, aby te drobne elementy również trafiały do recyklingu. A teraz automaty przyjmujące opakowania zgniatają je tak mocno, że odrywają nakrętki albo je rozdrabniają. Z drugiej strony dzięki temu puste butelki zajmują mniej miejsca podczas transportu. Często przywoływany przez przeciwników systemu kaucyjnego zarzut to tzw. wożenie powietrza. Częściowo chybiony, bo butelki i puszki oddawane w maszynach są od razu zgniatane (a to na razie 80 proc. zbiórki, w przyszłości pewnie nawet 90 proc.). Prawdą jest natomiast, że opakowania przyjmowane przez pracowników sklepów nie mogą być przez nich zgniecione. One rzeczywiście jadą z powietrzem do miejsc nazywanych centrami zliczania, gdzie trzeba zweryfikować, czy sprzedawca był uczciwy. System bowiem dzieli przyjmujących na dwie kategorie: maszynę, której ufa (więc może ona zgnieść butelkę), i człowieka, który jest zawsze podejrzany.

Gdy jedni krytykują nowe rozwiązania za to, że w ogóle powstały, inni chcą pójść dalej. System kaucyjny objął spożywcze butelki plastikowe (poza tymi z produktami mlecznymi i olejami) oraz puszki, ale nie dotyczy jednorazowego szkła. Widać to zwłaszcza na przykładzie małpek, których nikt nie zbiera z ulic, bo jest to zwyczajnie nieopłacalne. Ministerstwo Klimatu i Środowiska chętnie włączyłoby do systemu kaucyjnego również szklane butelki jednorazowe (te wielokrotnego użytku, głównie po piwie, są zbierane na dotychczasowych zasadach przez punkty, które je sprzedają), ale stanowczo protestują przeciw temu sklepy. Narzekają, że nie mają miejsca na trzymanie kolejnych opakowań, zbite butelki będą ranić pracowników i klientów, a do tego trzeba by wydać kolejne pieniądze na dodatkowe butelkomaty albo przebudować te istniejące. Na razie zatem nie ma decyzji o rozszerzeniu systemu, chociaż liczba rozbitych małpek na ulicach pokazuje, że nie tylko powinny być zbierane, ale w ich przypadku warto nawet wprowadzić wyższą kaucję. Może wówczas konsument „pod wpływem" będzie się z nimi ostrożniej obchodził po opróżnieniu zawartości.

O ile amatorzy trunków żyją w niepewności, o tyle wkrótce z ulgą będzie mogła odetchnąć armia. Przygotowywana jest bowiem nowelizacja przepisów, zwalniająca z systemu kaucyjnego butelki i puszki kupowane na potrzeby polskich albo sojuszniczych sił zbrojnych. Armia ma się nie zajmować zbieraniem, a skupić na trenowaniu. Reszta społeczeństwa na takie przywileje nie ma co liczyć. Chociaż nie brakuje lobbystów nawołujących do porzucenia systemu kaucyjnego, nikt o zdrowych zmysłach takiej decyzji nie podejmie, bo musiałby zwracać producentom napojów i sklepom miliardy już wydane na ten cel. Zresztą żaden z niemal 20 europejskich krajów, które podobne systemy u siebie wprowadziły, się z tego nie wycofał. Pozostaje dalsze doskonalenie systemu.

CEZARY KOWANDA

© JBZD

OGŁOSZENIE

Artykuł *Polska. Dziedzictwo, które napędza przyszłość* opublikowany w dniu 23.04.2025 r. został sfinansowany ze środków UE w ramach Programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki 2021-2027

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

eprasa.pl 4c91f9e87c

Więcej ruchu dla najmłodszych!

Nie tylko w Dzień Dziecka!

PARTNEREM SEKCJI ZDROWIE JEST

Energa | GRUPA ORLEN

Pochylona generacja

Polskie dzieci garbią się i mają coraz więcej problemów z kręgosłupem. Winni są wszyscy: szkoła, smartfony i dorośli, którzy przestali zauważać problem.

Karta zdrowia przeciętnego polskiego przedszkolaka i nastolatka, niezależnie od miejsca zamieszkania, wygląda tak, jakby była kalką skierowania do szpitala geriatrycznego. Otyłość, depresje, choroby oczu, głuchota – najmłodsze pokolenie nierzadko dorównuje swoim dziadkom. I na tej długiej liście odchyleń od normy, które wstydliwie wyróżniają nasze dzieci na tle międzynarodowych rankingów, są nadal: próchnica, płaskostopie oraz wady postawy. Wielu nauczycieli i rodziców może nie dostrzegać tych problemów, często dlatego, że pierwsze objawy bywają mało widoczne, a codzienne obowiązki utrudniają znalezienie czasu na dodatkowe konsultacje specjalistyczne. Pediatrzy zwracają uwagę, że dawniej dużym wsparciem była opieka medyczna w szkołach podstawowych. Po zastąpieniu jej lekarzami rodzinnymi większa część odpowiedzialności spadła na rodziców. A szkoła? Trudno oczekiwać, by zawsze była silnym wsparciem, zwłaszcza że zmienił się sposób spędzania czasu przez uczniów – dziś podczas przerw częściej sięgają po smartfony i komunikatory, niż angażują się w aktywności ruchowe popularne jeszcze kilka lat temu.

Szkoła siedzenia

Są w polskiej szkole trzy przedmioty, które wszyscy deklaratywnie szanują, ale traktują jak niepotrzebny dodatek do „prawdziwej edukacji": muzyka, plastyka i wychowanie fizyczne. To ostatnie szczególnie. W kraju, w którym rodzice potrafią wydać fortunę na korepetycje z matematyki, ale jednocześnie podpisują dziecku zwolnienie z WF-u pięć minut przed lekcją, trudno się dziwić, że ortopedzi i fizjoterapeuci mają zapełnione grafiki.

A przecież wady postawy to nie kaprys natury ani pech genetyczny. To skutek regularnego zaniedbania – biologia splata się tu z cywilizacyjnym absurdem. By zrozumieć, dlaczego kręgosłup współczesnego dziesięciolatka przypomina konstrukcję w stanie przedawaryjnym, musimy cofnąć się o kilka milionów lat do czasów, gdy człowiek przestał wspierać się na przednich kończynach i dumnie wyprostował. Dzięki naturalnym krzywiznom – lordozie lędźwiowej i kifozie piersiowej – możemy podnieść ciężar nawet trzykrotnie przewyższający własną masę ciała. To nie zasługa bicepsów, lecz genialnej architektury kości.

U niemowlęcia kręgosłup jest prawie prosty. Dopiero gdy maluch zaczyna unosić główkę, siadać, wstawać i chodzić, przekształca go w podwójną literę S, aby mogły się w nim pojawić fizjologiczne krzywizny: wypukłość skierowana ku przodowi w odcinku szyjnym (lordoza szyjna), wypukłość skierowana w stronę pleców (kifoza piersiowa) oraz lordoza lędźwiowa. Kiedy w siódmym roku życia krzywizny te są już w zasadzie wykształcone, dziecko zakłada na ramiona plecak i zaczyna wieloletnią gehennę szkolnej statyki. A ewolucja nie przewidziała krzesła biurowego ani źle dopasowanej ławki szkolnej.

eprasa.pl 4c91f9e87c

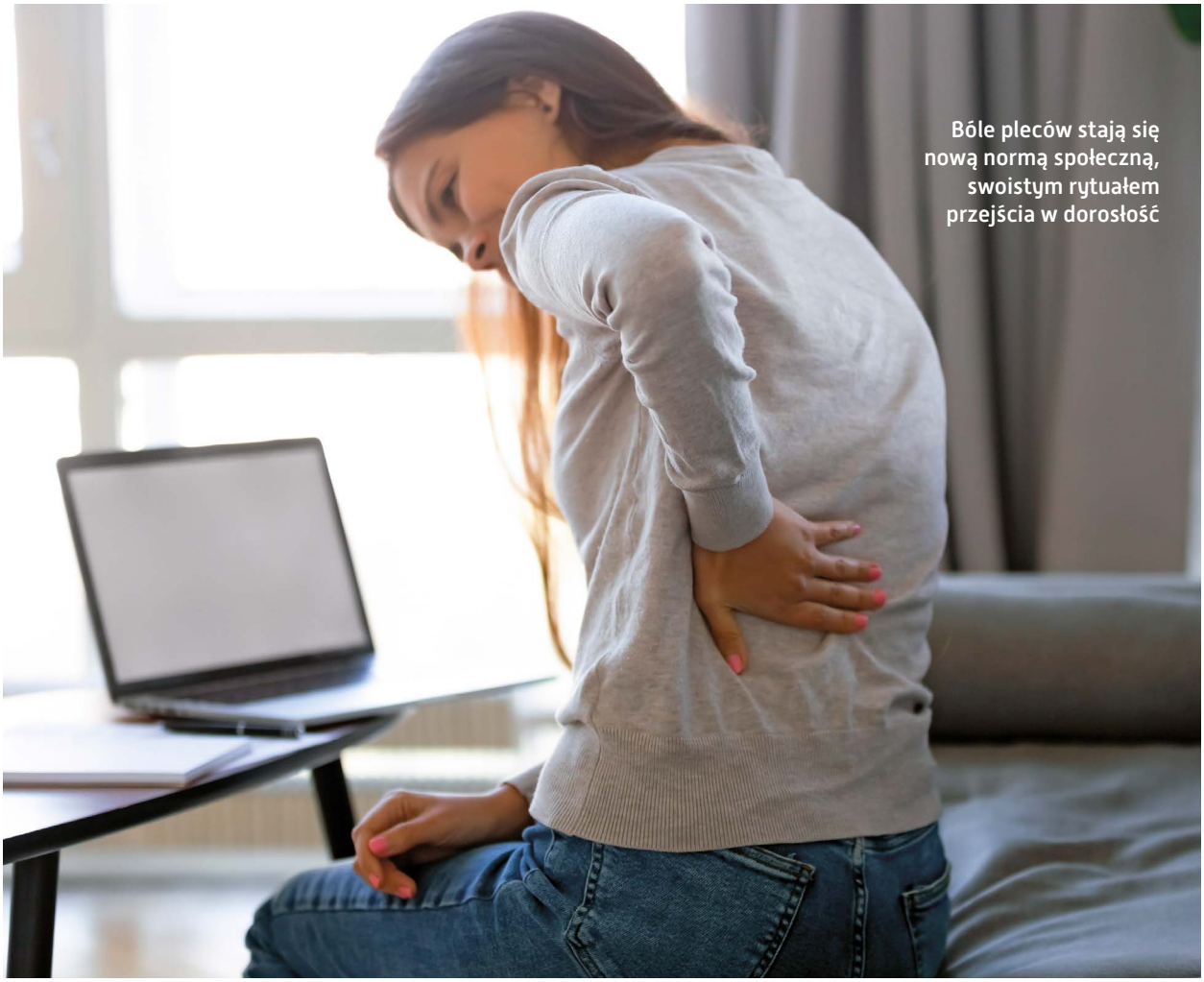

Bóle pleców stają się nową normą społeczną, swoistym rytuałem przejścia w dorosłość

Slogan „trzymaj się prosto", którym terroryzujemy dzieci przy obiedzie, jest zresztą naukowym nieporozumieniem. Kręgosłup idealnie prosty to kręgosłup słaby. Fizjologiczne krzywizny działają jak amortyzatory. Kiedy dziecko funkcjonuje w permanentnie przekorygowanej postawie – często wymuszanej podczas baletu lub przez nieustanne rodzicielskie komendy „wyprostuj się!" – organizm zaczyna kompensować przeciążenia bocznie (mogą wtedy pojawić się tzw. postawy skoliotyczne – skrzywienie boczne kręgosłupa nie przekracza w nich dziesięciu stopni; powyżej tej granicy zaczyna się już skolioza, która nie tyle jest „krzywym siedzeniem", ile chorobą, w dodatku nie zawsze wynikającą ze złej postawy).

Wrogiem zdrowego kręgosłupa nie jest brak prostoty, lecz statyczne przeciążenia – wielogodzinne spędzanie czasu w jednej pozycji, przed telewizorem lub tabletem. W Afryce, gdzie siedzenie przed ekranem wciąż przegrywa z ruchem, bóle pleców są rzadkością. U nas stają się nową normą społeczną, swoistym rytuałem przejścia w dorosłość, który zaczyna się już w zerówce.

Wuefista diagnosta

Dr Barbara Dobies-Krześniak z Kliniki Rehabilitacji w Narodowym Instytucie Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji w Warszawie przypomina, że kręgosłup rozwija się praktycznie od narodzin aż do ok. 25. roku życia. To proces długi, wymagający ruchu, zmiennych bodźców i naturalnej dziecięcej aktywności. Nie perfekcyjnie zaplanowanego grafiku zajęć dodatkowych, tylko zwykłego biegania, skakania, wchodzenia na drzewa i przewracania się.

A współczesna szkoła uczy przede wszystkim bezruchu. Marta Tumiłowicz, nauczycielka wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 29 w Olsztynie, ambasadorka dziewiątej edycji Drużyny Energii (ogólnopolskiego programu pod patronatem grupy Energa, mającego na celu zachęcenie dzieci do aktywności fizycznej poprzez zabawę i rywalizację z rówieśnikami ze szkół w całym kraju), jest jedną z osób, które widzą problem na co dzień. Zauważa u dzieci asymetrię barków, pogłębiające się okrągłe plecy, brak stabilizacji i problemy z napięciem mięśniowym. Na lekcjach innych przedmiotów nikt nie zwraca uwagi na to, że uczeń przypomina paragraf. Skrzywienia wychodzą na jaw dopiero w sali gimnastycznej, gdy przy zagrywce w siatkówce okazuje się, że brzuch jest wypięty, łopatki odstają, a koordynacja ruchowa jest pojęciem abstrakcyjnym.

Tumiłowicz podkreśla, że dzieci muszą być świadome swojego ciała. Niestety, w starciu z rodzicami, którzy piszą zwolnienia z WF-u, bo dziecko ma „gorszy dzień", misja ta wydaje się skazana na porażkę. Dobra lekcja WF-u w młodszych klasach nie przypomina selekcji do reprezentacji narodowej. To raczej laboratorium podstawowych umiejętności: biegania, skakania, przewrotów, rzutów,

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 4c91f9e87c

Głowa pochylona nad ekranem przeciąża mięśnie karku

ćwiczeń równoważnych, zabaw rozwijających koordynację. Dziecko powinno nauczyć się czuć swoje ciało. Brzmi banalnie. Ale właśnie tego dziś najbardziej brakuje. – *Dzieci do 11.–12. roku życia powinny przede wszystkim czerpać radość z ruchu* – mówi Marta Tumiłowicz. – *Tarzać się, turlać, skakać, rzucać, biegać. Tymczasem wielu rodziców traktuje sport jak inwestycję: im wcześniej zaczniemy specjalizację, tym większa szansa na sukces*.

Dr Barbara Dobies-Krześniak przestrzega przed tą zbyt wczesną specjalizacją. Cztero–pięciolatek trenujący wyłącznie tenis, balet albo jazdę konną nie rozwija się wszechstronnie. Rozwija jeden wzorzec ruchowy. A organizm dziecka potrzebuje różnorodności. To dlatego rehabilitanci i nauczyciele WF-u z nostalgią wspominają dawne podwórkowe aktywności: klasy, gumę, skakankę, wspinanie, bieganie po nierównym terenie. Nie dlatego, że idealizują PRL-owskie dzieciństwo, lecz dlatego, że te aktywności naturalnie budowały koordynację, siłę mięśni posturalnych i zdolność amortyzacji. – *Dziś maluchy potrafią obsługiwać trzy aplikacje jednocześnie, ale mają problem ze złapaniem piłki lub nie potrafią poprawnie schylić się do buta, by zawiązać sznurówki* – mówi Marta Tumiłowicz. – *Brakuje im koordynacji, świadomości własnego ciała i podstawowych wzorców ruchowych*.

Garb smartfonowy

Obecnie dzieci przez większą część dnia pozostają w pozycji, którą organizm najgorzej znosi – siedzą. W dodatku są wpatrzone z bliskiej odległości w ekran, co sprzyja krótkowzroczności. Ale przeciążają również odcinek szyjny kręgosłupa. Kiedyś symbolem tego był tzw. wdowi garb – charakterystyczna deformacja u samotnych kobiet, godzinami szydełkujących lub pracujących nad robótkami ręcznymi. Teraz dzieci wykonują ten sam ruch, tylko zamiast drutów mają telefony lub tablety. Głowa pochylona nad ekranem przeciąża mięśnie karku, powoduje przewlekłe napięcia i stany zapalne przyczepów mięśniowych. Skutkiem są bóle głowy, sztywność szyi i zmiany, które dawniej kojarzyły się raczej z wiekiem średnim niż podstawówką.

Szkoła kojarzy się również z noszeniem tornistrów, a obecnie plecaków, które oczywiście są lepszym rozwiązaniem niż torby na ramię. Ale nieraz to tylko pozory, bo ciężary, które trafiają na plecy dziecka, są i tak za duże. Najmłodsi noszą największe obciążenia – w klasach I–III norma jest przekraczana nawet w 86 proc. przypadków (sanepid zaleca 10 proc. masy ciała jako maksimum, a jest to często 4–5 kg u siedmiolatka ważącego 25 kg). Dzieci noszą też źle dopasowane plecaki z za długimi szelkami, które zwisają na wysokości pośladków i działają jak wahadło odciągające tułów do tyłu. Organizm kompensuje to pochylaniem sylwetki i nienaturalnym napięciem mięśni.

Plecaki na kółkach wydają się rozsądnym kompromisem, ale i tutaj biomechanika szybko zderza się z rzeczywistością – żeby nie przeciążać jednej strony ciała, dziecko powinno regularnie zmieniać rękę podczas ciągnięcia takiej torby. Każdy rodzic, który próbował przekonać siedmiolatka do systematycznej zmiany ręki albo nogi podczas jazdy na hulajnodze, wie jednak, jak trudno takie zalecenie wdrożyć w życie.

Inną fikcją pozostaje ergonomia szkolnych ławek. Stopy nie dotykają podłoża, blat znajduje się za wysoko lub za nisko, krzesła nie pozwalają oprzeć pleców. Nawet modne ergonomiczne meble miewają konstrukcyjne absurdy, np. zbyt głębokie siedziska – niskie dzieci muszą wybierać między podparciem pleców a możliwością postawienia stóp na podłodze. To drobiazgi, które decydują o tym, czy mięśnie posturalne pracują prawidłowo, czy też organizm zaczyna budować kompensacje. A byłoby najlepiej, gdyby powierzchnie biurek były ruchome i uczniowie mogli pisać na pulpitach ustawionych płasko, a czytali książki na pochylonych mniej więcej o 45 stopni.

Między troską a wygodą

Możemy mówić o czynnikach ryzyka – przeciążeniach, złych wzorcach ruchowych, zbyt małej aktywności – ale bardzo często organizm zaczyna skręcać kręgosłup bez uchwytnej przyczyny. Najbardziej podstępne jest to, że dzieci długo nie odczuwają bólu. Młode ciało ma ogromne zdolności kompensacyjne, dlatego skoliozy i inne deformacje mogą rozwijać się po cichu, a dopiero później pojawiają się bóle między łopatkami, napięciowe bóle głowy, przeciążenia czy ograniczenia ruchu. Rodzice zauważają te problemy przypadkiem: jedno ramię wydaje się wyżej, łopatki są asymetryczne, talia ucieka w jedną stronę.

Czy to można skorygować na samych lekcjach wychowania fizycznego, dobierając właściwe ćwiczenia? Nieraz tak, a przynajmniej – jak mówi Marta Tumiłowicz – można te wady zminimalizować. Choć nie w ciągu jednego roku, ale kilku lat. W świecie przyzwyczajonym do natychmiastowych efektów rehabilitacja brzmi jak anachronizm, bo nie daje spektakularnej poprawy po tygodniu, wymaga cierpliwości i współpracy. Dziecko poniżej 12. roku życia zwykle nie jest w stanie samodzielnie wykonywać ćwiczeń prawidłowo. Potrzebuje systematyczności i obecności dorosłego. Nie tylko dlatego, że ktoś pilnuje techniki. Równie ważne jest poczucie wsparcia i budowanie ruchu jako naturalnego elementu życia.

I tu zaczyna się prawdziwy problem – brak czasu. Rodzice dowożą dzieci do szkoły, na korepetycje i treningi, ale często nie mają 20 minut na wspólne ćwiczenia korekcyjne. A to właśnie regularność decyduje o efektach i o przyszłości. Bo zaniedbany u dziecka kręgosłup zemści się, gdy dorośnie.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Zarazić ruchem

Żeby dzieci chciały się ruszać, sport musi dawać im radość, poczucie akceptacji i sprawczości. Gdy zaczyna kojarzyć się wyłącznie z presją, oceną albo obowiązkiem – rezygnują.

„Nagrywam to dla tych, którzy teraz są w tak tragicznym momencie życia, w jakim ja byłem rok temu" – opowiada na filmiku z 2025 r. Kacper Gołębiowski, 13-latek. Kamera śledzi go, gdy po zmroku biegnie zaśnieżonymi ulicami Radomia. Jego cel to 21 km. Biegnąc, opowiada swoją historię: „Wyśmiewany za swoją otyłość przez kolegów i trenera. »Gruby na bramkę!«. To broniłem, żeby choć trochę być akceptowany". Nikomu nie mówiąc o swoim cierpieniu, uciekał w gry wideo i zajadał stres. Aż pewnego dnia zadzwonił do starszego brata i wyznał, że już dłużej tego nie wytrzyma. Podjął decyzję, że pora na zmianę. – *W wieku 12 lat zmagałem się z depresją. Sport uratował mi życie* – mówi dziś Kacper. Jednym z pierwszych kroków było rzucenie piłki nożnej.

Sport dla dziewczynek

Z raportu „O stanie aktywności fizycznej dzieci i młodzieży w Polsce" (2022 r.) wynika, że zaledwie 16,8 proc. dzieci i młodzieży spełnia zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia, czyli podejmuje co najmniej godzinę umiarkowanej lub intensywnej aktywności fizycznej dziennie, a trend jest spadkowy. To niepokojące, bo ruch wpływa nie tylko na zdrowie fizyczne, ale też psychikę i rozwój poznawczy młodych ludzi.

Kacper piłkę nożną zaczął trenować w wieku sześciu lat. Początkowo treningi sprawiały mu dużą przyjemność, dobrze się bawił. Zmiana następowała powoli – dzieci zaczęły dorastać i zwracać uwagę na swoją fizyczność. Pojawiło się ocenianie. Słowne docinki skupiły się na Kacprze, któremu przybywało kilogramów, a to źle wpływało na jego psychikę. – *Bałem się odejść z piłki, mimo że jej nienawidziłem. Myślałem: co powiedzą znajomi?* – wspomina.

Z badań opublikowanych w 2018 r. w „Journal of Park and Recreation Administration" wynika, że dzieci rezygnują ze sportu przede wszystkim wtedy, gdy przestaje on być dla nich źródłem przyjemności, a zaczyna wiązać się z presją, stresem lub poczuciem braku wpływu. – *Dziś rzadko mówi się wprost: „Musisz trenować". Ale presja nadal istnieje, tylko jest bardziej subtelna. Rodzice mówią: „Najważniejsze, żebyś był szczęśliwy", a jednocześnie inwestują w aktywność czas i pieniądze. Dzieci to wyczuwają i zaczynają myśleć, że nie mogą ich zawieść* – wyjaśnia Ewa Serwotka, psycholożka sportu, wiceprezeska Fundacji Sportu Pozytywnego.

Filmik Kacpra doczekał się milionowych odsłon. Chłopak opowiada, jak – mimo niechęci do sportu – dał się namówić bratu na pójście na całkiem nowe zajęcia. – *Kiedy odkryłem kick-boxing, zapomniałem o tych wszystkich problemach, o tym hejcie. Tu nikt nie wyzywał mnie od grubasów, trener od początku mnie motywował i zacząłem być doceniany. W końcu uprawiałem sport, który naprawdę dawał mi radość. Nie opuszczałem żadnych zajęć.*

Po kilku miesiącach, aby schudnąć, zaczął biegać. Z czasem jednak odkrył, że bieganie daje mu coś ważniejszego – pomaga się wyciszyć, odreagować. Dlatego dzień przed egzaminem ósmoklasisty zamiast kuć

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 4c91f9e87c

kolejną godzinę, wybiegał stres. Kacper wciąż motywuje młodych ludzi do aktywności fizycznej w swoich mediach społecznościowych, a w tym roku został także ambasadorem Drużyny Energii, ogólnopolskiego projektu, który zachęca młodzież do regularnej aktywności fizycznej w duchu fair play.

Tak jak nie każdy chłopiec musi lubić piłkę nożną, tak nie każda dziewczynka chce zostać baletnicą czy mistrzynią fitness. Może odnaleźć się w całkiem innym sporcie. – *Od razu się zakochałam. Zawsze byłam bardzo aktywna, ale dopiero tu poczułam, że to moje miejsce. Nie wyobrażam sobie życia bez drużyny, nie wyobrażam sobie życia bez rugby* – mówi Hanna Maliszewska, złota medalistka Mistrzostw Europy w Rugby 7, od 13 lat związana z Energa Biało-Zielone Ladies Gdańsk.

Rugby nie wymaga rozpoczęcia treningów w bardzo młodym wieku, ale odnajdują się w nim coraz młodsze adeptki – w Gdańsku na zajęcia przychodzą już 12-latki. – To stereotyp, że rugby to nie jest sport dla dziewczynek. Każdy sport jest dla dziewczynek – podkreśla. – To sport kontaktowy, więc trening może się skończyć siniakiem, ale potknięcie się w domu też. Inny stereotyp – rzekomo to sport tylko dla postawnych osób. Nieprawda. Kto nie wierzy, może w internecie obejrzeć nagrania z meczów, a najlepiej przyjść na zajęcia. Może złapie bakcyla?

Przedszkolak ze szpadą

Problem z aktywnością fizyczną zaczyna się już na wczesnym etapie życia. Przywoływany raport pokazuje, że aktywnych przez minimum godzinę dziennie jest zaledwie kilkanaście procent przedszkolaków. Zmienić to próbuje Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie, która – przy wsparciu Urzędu Dzielnicy Bielany – organizuje w przedszkolach bezpłatny program aktywności fizycznej. W ciągu kilku miesięcy instruktorzy uczą najmłodszych podstaw lekkoatletyki, taekwondo, rugby, judo, zapasów, kick-boxingu i szermierki – sportów, które rozwijają ogólną sprawność, motorykę i koordynację ruchową.

– *Dzieci w wieku przedszkolnym są bardzo energiczne i chętnie uczestniczą w zajęciach, także te mniej sprawne ruchowo. Nawet jeśli pojawia się rywalizacja, ma formę zabawy i współpracy* – mówi Kamila Korycka, koordynatorka programu Dziecięca Akademia Sportu w AZS AWF Warszawa. – *Każde z dzieci rozwija się we własnym tempie, ale wszystkie uczą się wzajemnego wsparcia. Czerpią ze sportu to, co najlepsze.*

Wychowanie fizyczne to przedmiot, który wystawia młodych ludzi na inny typ stresujących sytuacji niż podczas reszty lekcji. Niewiedza, ile wynosi tangens 30 stopni czy co wspólnego z Warną miał Władysław Warneńczyk, może skończyć się słabą oceną i ewentualnym politowaniem na twarzy nauczyciela. A przewrócenie się o własne nogi podczas kozłowania czy dobiegnięcie jako ostatni w biegu na 60 m (i na 600 m też) dodatkowo może skutkować uczuciem upokorzenia pamiętanym w dorosłym życiu.

Na szczęście podstawa programowa i podejście wuefistów się zmieniają. Barbara Brotaj, nauczycielka wychowania fizycznego w Szkole Podstawowej nr 12 w Tczewie, wyjaśnia, że oceny wystawia na podstawie zaangażowania i postępów każdego ucznia, a nie tabelek. – *Zdarza się, że wystawiam lepszą ocenę dziewczynce, która np. biega wolniej, ale bardzo się stara, a gorszą „błyskawicy", która tym razem się nie przyłożyła. Z drugiej strony, jeśli uczennica przemyśli sprawę, zaangażuje się i chce poprawić ocenę, umożliwiam jej to z wielką przyjemnością.*

W badaniach na temat spadającej aktywności dzieci i młodzieży powraca pandemiczny lockdown, który tylko pogorszył sytuację. Brotaj wspomina, że po powrocie do szkoły niektóre dotąd aktywne dzieci były jak zombie – wycofane, nieobecne. Aby tchnąć w nie życie i dać pole do odreagowania emocji, wraz z innymi nauczycielami zaczęła rozbudowywać plan dodatkowych zajęć sportowych. Odzew był tak pozytywny, że wciąż wymyślają nowe aktywności, a uczniowie przychodzą na zajęcia nawet na siódmą rano. – *Chcemy dać im szeroki wachlarz możliwości. Robimy rolkowiska, wyjazdy rowerowe, rugby, taniec, hobby horse, nordic walking. Jeżeli coś pobudza dzieci do aktywności fizycznej, to dlaczego w tym kierunku nie pójść? Przyznaję, że i mnie na początku hobby horse wydawało się dziwne, ale okazało się, że to świetna zabawa, także dla starszych dzieci.*

Podkreśla, że kiedyś sportowe zajęcia dodatkowe były dla najsprawniejszych uczniów, a przecież aktywność fizyczna jest potrzebna każdemu, więc zajęcia dostępne są dla wszystkich uczniów, np. taneczne: – *Nie wszystkie dziewczyny są „akrobatkami", ale każda może zatańczyć w układzie. Uważam, że łączenie dzieci słabszych i mocniejszych jest dobre, bo słabsze szybciej uczą się od lepszych. Trzeba tylko zadbać o szacunek i współpracę. Sport ma łączyć, a nie dzielić.*

Radość z ruchu

Coraz częściej spontaniczny ruch – zabawa na podwórku, bieganie, wspinanie czy jazda na rowerze – znika z codzienności. Co jakiś czas możemy usłyszeć, że dzisiejsze dziecko czy nastolatek nie jest w stanie wytrzymać kilku sekund w zwisie na drabinkach. Ze swojej podstawówki pamiętam, że dla moich rówieśników było to coś naturalnego, nikt nas tego nie uczył. A może uczyliśmy się tego od siebie nawzajem, wisząc na górnej rurce trzepaka?

– *Coraz częściej sport przestaje być dla dzieci spontaniczną zabawą, a zaczyna przypominać projekt do zrealizowania: z oczekiwaniami, wynikami i presją sukcesu. Dla dorosłych sport często jest narzędziem: ma poprawić sylwetkę, charakter, nauczyć dyscypliny albo przynieść sukces. Dzieci dużo częściej potrzebują po prostu radości z ruchu* – mówi Ewa Serwotka.

Znacznie większe znaczenie niż zorganizowane treningi mają codzienne nawyki: spacer, jazda na rowerze, wspólna aktywność z rodziną czy choćby tylko przestrzeń do swobodnego ruchu. Podejście do aktywności dzieci często przejmują od rodziców. Jeśli ci jej unikają albo chodzą na siłownię z musu, „bo trzeba", sport zaczyna kojarzyć się z kolejnym nieprzyjemnym obowiązkiem. A przecież dorośli też mają prawo do przyjemności płynącej z ruchu, czemu więc nie poeksperymentować z nowymi aktywnościami?

Kilka miesięcy temu Kacper porzucił kick-boxing – zaczął trenować MMA, gdzie wykorzystuje zdobyte wcześniej umiejętności. Biega dalej. Tyle że dziś już nie ucieka od samego siebie.

Agnieszka Gierczak-Cywińska

eprasa.pl 4c91f9e87c

Zielone światło dla sportu. W szkołach całej Polski trwa 9. edycja Drużyny Energii

527 szkół podstawowych awansowało do etapu sportowego Drużyny Energii i tym samym powalczy o nagrody o wartości ponad pół miliona zł. To największa liczba placówek w historii programu, którego inicjatorem jest Energa z Grupy Orlen.

Ambasadorowie IX edycji programu Drużyna Energii

Ruch jest kluczowy dla zdrowego rozwoju, nie tylko fizycznego. Uczy charakteru i pomaga rozwijać cenne społecznie postawy. Sportowe nawyki najłatwiej wyrobić w młodym wieku, co od lat udowadnia Drużyna Energii. To ogólnopolski program skierowany do uczniów i uczennic klas IV–VIII szkół podstawowych. Pomaga rozwijać sportową pasję, skłaniając do regularnego ruchu i wzmacniając koleżeńskie więzi poprzez wspólną aktywność.

Pasja, która zmienia życie

– Drużyna Energii to projekt inny niż wszystkie. Tutaj nie ma presji na perfekcyjny wynik sportowy – liczy się wspólnota, chęć do działania i ogromna energia, którą przekazują nauczyciele. To wspaniałe uczucie widzieć, jak sport włącza do wspólnej zabawy całe klasy. Jako ambasadorzy jesteśmy tu po to, by pokazać młodzieży, że każdy ruch to krok w dobrą stronę – podkreśla Piotr Gruszka, legenda polskiej siatkówki, złoty medalista mistrzostw Europy.

Zasady udziału w programie są proste. Im więcej osób z klas IV–VIII wykona zestaw ćwiczeń udostępniony na stronie Drużyny Energii, tym więcej punktów dostaje szkoła. Udział ósmoklasistów jest nieobowiązkowy przez ich grafik egzaminacyjny, ale mogą przyczynić się do zdobycia dodatkowych punktów dla swojej szkoły. Nauczyciele nagrywają uczniów wykonujących ćwiczenia i przesyłają filmy przez stronę programu. Placówka, która nie zwycięży liczebnością w żadnej kategorii, może wyróżnić się wyjątkową kreatywnością i otrzymać tzw. dziką kartę – nagrodę specjalną gwarantującą wizytę ambasadorów w szkole i udział w Wielkim Finale.

Taniec – nowa energia w projekcie

Sportowa rywalizacja to tylko jeden z elementów projektu, który promuje jednocześnie edukację zdrowotną, świadomy styl życia oraz ideę zrównoważonego rozwoju i ochronę środowiska. Ekologiczne wartości symbolizują nazwy drużyn, na które podzielono uczestników – Słońca, Wiatru, Wody oraz Ziemi – odnoszące się do żywiołów napędzających odnawialne źródła energii. Dopełnieniem jest Drużyna Serca, symbolizująca ludzką energię, która napędza do wspólnego działania. W tym roku jej kapitanem został Michał Danilczuk, juror „You Can Dance", wprowadzając do programu nową dyscyplinę – taniec.

– Taniec to energia, która powoduje radość. W tej edycji chciałbym rozwijać tę pasję wśród dzieci, ponieważ taniec poprawia sylwetkę, poczucie rytmu i pewność siebie – mówi Danilczuk – *Emocje są w tańcu kluczowe, bo te niewyrażone zanikają bez śladu, a my chcemy je wydobyć i ukazać. Taniec wyzwala endorfiny i sprawia, że po prostu czujemy się dobrze.*

Kapitanami Drużyn Słońca, Wiatru, Ziemi i Wody są kolejno: Jakub Schenk – kapitan drużyny koszykarskiej Energa Trefl Sopot, Piotr Papaj – piłkarz ręczny Energa Bank PBS MMTS Kwidzyn, Hanna Maliszewska – rugbistka Energa Biało-Zielone Ladies Gdańsk i Barbara Brotaj – nauczycielka WF-u oraz laureatka 8. edycji Drużyny Energii. W programie nie zabrakło też gości specjalnych, m.in. Izabeli Bełcik, dwukrotnej mistrzyni Europy w piłce siatkowej oraz Mateusza Fusiarza, dziennikarza muzycznego i sportowego Radia 357. Do grona ambasadorów dołączył także Kacper Gołębiowski, głos młodego pokolenia, YouTuber promujący sport i zdrowy styl życia.

Wyjątkowe nagrody

– W tym roku przeznaczamy ponad pół miliona złotych na stroje i nagrody, które mają realnie motywować uczniów do ruchu i pomagać im budować zdrowe nawyki. Dodatkowo inwestujemy 75 tysięcy złotych w rozwój szkolnych przestrzeni sportowych, aby codzienna aktywność była dla młodzieży jeszcze bardziej dostępna – mówi Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

W Drużynie Energii rywalizacja odbywa się w duchu „fair play" i pomiędzy placówkami o podobnej liczbie uczniów. W programie liczy się każdy uczeń i zaangażowanie. Im większy procent wszystkich podopiecznych z klas IV–VIII będzie wykonywać ćwiczenia, tym wyżej punktowana jest szkoła i tym większa szansa na wygraną.

Etap sportowy trwa do 1 czerwca, a jego stawką są: udział w Wielkim Finale – dwudniowej wycieczce do Trójmiasta, wizyty ambasadorów z niezapomnianą lekcją WF-u w zwycięskich placówkach oraz środki na modernizację szkolnej infrastruktury sportowej.

Energa | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 4c91f9e87c

Kropla drąży galon

Wojna z Iranem, inflacja, wysokie ceny paliw, megalomania – na razie nic nie jest w stanie zatopić Donalda Trumpa. Jego druga kadencja staje się testem amerykańskiej demokracji.

eprasa.pl 4c91f9e87c

MARIUSZ ZAWADZKI

Dziesięć lat temu Donald Trump – wówczas kandydat na prezydenta – powiedział, że nawet gdyby zastrzelił kogoś na Piątej Alei, czyli najbardziej reprezentacyjnej ulicy Manhattanu, to i tak nie straciłby poparcia. I faktycznie coś w tym jest.

Jeśli spojrzeć na bieżące uśrednione sondaże, Trump jest pozytywnie oceniany przez 38 proc. Amerykanów, a negatywnie przez 58 proc. (średnia badań z „The Economist", „The New York Times", Reuters, radia NPR i ośrodka Pew Research Center). Jednak popularność netto rzędu minus 20 proc. nie jest w Stanach Zjednoczonych żadnym ekstremum. Bywało gorzej. W czerwcu 2024 r. po koszmarnym występie w debacie prezydenckiej Joe Biden miał wynik minus 20,5 proc. netto. Podczas pierwszej kadencji Trump już po pół roku rządów osiągnął minus 21 proc. netto. Odchodził z Białego Domu z wynikiem minus 19 proc. A było to, przypomnijmy, dwa tygodnie po szturmie jego zwolenników na Kapitol.

Obama w najgorszym momencie był akceptowany przez 40 proc. Amerykanów, Jimmy Carter – przez 28 proc., Ronald Reagan – 35 proc. Bill Clinton, który dał Amerykanom kilka lat prosperity i zrównoważył budżet (co z dzisiejszej perspektywy wydaje się dziką fantazją), zanotował spadek do 37 proc. akceptacji, a pokonany przez niego prezydent George H.W. Bush – do 29 proc. (sondaże Gallupa). Wszyscy ci prezydenci są oceniani przez historyków raczej dobrze lub nawet bardzo dobrze, ale – jeśli spojrzymy na liczby – wypadają gorzej niż Trump!

Nie myślę o Amerykanach

A przecież obecny prezydent robi wszystko, co się da – a nawet więcej – żeby zniechęcić do siebie Amerykanów. Średnia cena benzyny na stacjach w USA wynosi 4 dol. 60 centów za galon, czyli już ponad półtora dolara więcej niż przed amerykańsko-izraelskim atakiem na Iran. Cieśnina Ormuz, którą przepływała przed wojną jedna piąta eksportowanej na świecie ropy, nadal jest zablokowana przez Irańczyków. Negocjacje utknęły w martwym punkcie, Trump jest bezradny i nie potrafi wybrnąć z tego impasu.

Co gorsza, prezydent USA wydaje się zupełnie lekceważyć sytuację. Tydzień temu, przed wylotem do Chin, oświadczył reporterom: „Nie myślę o sytuacji finansowej Amerykanów. Ani o niczym innym. Myślę jedynie o tym, że Iran nie może mieć broni atomowej". Ten desperacki argument, powtarzany przezeń w kółko, jest naturalnie nieprawdziwy, bo Iran – jak raportowały Trumpowi jego własne amerykańskie agencje wywiadowcze! – nie pracował nad bronią atomową. Co więcej, w 2025 r. Amerykanie na specjalne życzenie Izraela dokładnie zbombardowali irańskie obiekty atomowe.

Niektórzy analitycy ostrzegają, że pięć dolarów za galon to kwestia kilku tygodni. Obrońcy Trumpa uspokajają, że cztery lata temu, za rządów Bidena, benzyna była jeszcze kilka centów droższa niż teraz. Ale zapominają albo przemilczają, że był to wynik czynników zewnętrznych, na które Biden nie miał wpływu (atak Rosji na Ukrainę). A niemal wszystkie problemy, które Trump ściąga na siebie, rodaków i cały świat, są skutkiem jego własnych decyzji.

W kwietniu inflacja w USA wzrosła do 3,8 proc. i jest wyższa niż w ostatnich dwóch latach rządów Bidena, którego Trump wyśmiewał jako gospodarczego nieudacznika. Nastroje amerykańskich konsumentów są najgorsze od 1952 r., odkąd mierzą je badacze z University of Michigan (co dwa tygodnie zadają Amerykanom 50 pytań o sytuację finansową, plany zakupowe i osobiste prognozy na przyszłość).

To nie tylko skutek wojny z Iranem, ale również wojen celnych, które Trump prowadzi z różnymi krajami świata. Nie trzeba być specjalistą od ekonomii, żeby rozumieć, że zwiększone cła to wyższe ceny produktów w sklepach, a skaczące cła – co kilka tygodni w górę i dół, zależnie od nastroju prezydenta – destabilizują amerykańskie firmy, które sprowadzają towary z zagranicy.

Jedyne, czym Trump może się jeszcze przechwalać, to giełda. Bije rekordy i właśnie wyszła z dołka wywołanego atakiem na Iran. Jednak nawet i to jest w dużym stopniu iluzją. Połowę wzrostu od początku kwietnia indeks Standard & Poor 500 zawdzięcza pięciu firmom technologicznym – to Nvidia (procesory), Alphabet (Google), Amazon, Apple i Broadcom (półprzewodniki). Nie mówiąc już o tym, że dla przeciętnych Amerykanów giełda to zupełna abstrakcja – nie inwestują w akcje, bo połowa z nich żyje od pierwszego do pierwszego, tzn. nie ma żadnych oszczędności.

Łuk triumfalny

Tymczasem Trump wszystkie te problemy bagatelizuje i żyje we własnym świecie. Już dwa budynki w Waszyngtonie nazwał swoim imieniem, buduje wielką salę balową przy Białym Domu i dokazuje w mediach społecznościowych, często o drugiej czy trzeciej nad ranem. Prawie wszyscy znają obrazek, na którym występował jako współczesny Chrystus uzdrawiający rannego żołnierza, ale podobnych wpisów – choć nie tak obraźliwych religijnie – jest mnóstwo. Zdarzają się noce, gdy Trump wrzuca kilkadziesiąt dziwacznych, wygenerowanych przez AI obrazków czy filmików, których jest bohaterem.

Snuje również plany łuku triumfalnego, który rośnie z każdym postem – obecnie ma mieć już 75 m wysokości. Gdyby powstał, przytłoczyłby wszystkie słynne monumenty w stolicy USA i chyba nawet zmusił samoloty pasażerskie do zmiany trasy podejścia do lądowania na waszyngtońskim lotnisku. Podobnie rozrasta się sala balowa – jeszcze niedawno miała być zbudowana za 300 mln dol. zebranych od milionerów popierających prezydenta, ale teraz Republikanie przygotowują w Kongresie ustawę, na mocy której przeznaczy się na nią miliard dolarów z budżetu. Na polu golfowym Trumpa w Miami właśnie stanął jego sześciometrowy pomnik z brązu, pokryty płatkami złota, a podczas odsłonięcia prezydencki pastor Mark Burns zapewniał, że uroczystość nie ma nic wspólnego z biblijnym kultem złotego cielca.

Bodaj najbardziej irracjonalne są rozmowy Trumpa z małymi dziećmi, które czasami zapraszane są do Białego Domu. Prezydent wyjaśnia kilkulatkom, że Biden w wyborach 2020 r. „ukradł mu drugą kadencję"; przechwala się, że sam podpisuje wszystkie dokumenty w odróżnieniu od poprzednika, który używał rzekomo w tym celu automatu; opowiada, że zakończył osiem ▶

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ wojen i uratował świat przed irańską bombą atomową, i dlatego – z czystej wdzięczności – laureatka tegorocznego pokojowego Nobla oddała mu swoją nagrodę. Dzieci słuchają w milczeniu, a ich opiekunki uprzejmie potakują.

W ostatnich miesiącach od Trumpa publicznie odcięło się kilka słynnych „osobowości medialnych", które bezkrytycznie popierały go przez ostatnią dekadę. Dwoje dawnych prezenterów Fox News – Tucker Carlson i Megyn Kelly – dziś zarzucają prezydentowi, że zdradził wyborcze hasło „Po pierwsze, Ameryka!" i bardziej dba o interesy Izraela niż Amerykanów (bo tylko w interesie Izraela leży wojna z Iranem). Oboje mają swoje kanały w internecie i są nawet bardziej popularni niż wtedy, kiedy pracowali w telewizji. Carlson publicznie przeprasza za to, że wspierał Trumpa w kampanii wyborczej.

„Prezydent jest szalony i powinien zostać usunięty z urzędu!" – alarmuje z kolei Alex Jones, jeden z największych świrów w amerykańskich mediach (twierdził m.in., że masakra w szkole w Newtown, gdzie w 2011 r. zastrzelono 26 dzieci, była przedstawieniem odegranym przez aktorów na polecenie ówczesnego prezydenta Baracka Obamy). Jeśli Jones jest głosem rozsądku, to sytuacja naprawdę wymyka się spod kontroli.

Jednak fani Trumpa nie słuchają zbuntowanych celebrytów. Sondaże konsekwentnie pokazują, że prezydent jest popierany przez 80–85 proc. Republikanów – ta liczba prawie stoi w miejscu. W partyjnych prawyborach namaszczeni przez niego kandydaci najczęściej wygrywają. Jeśli kogoś stracił przez ostatnie półtora roku, to tylko młodych, którzy nigdy nie byli jego żelaznym elektoratem. Dzisiaj popiera go 57 proc. Amerykanów w wieku 19–34 lata, którzy głosowali na niego w 2024 r. (sondaż Pew Research, który badał wyborców Trumpa ogólnie, a nie tylko Republikanów). Dla porównania Trump zachował poparcie 88 proc. swoich wyborców w wieku 50+. W tej samej ankiecie Pew Research z końca kwietnia aż 76 proc. Republikanów stwierdziło, że pozytywnie ocenia działania prezydenta w obszarze ekonomii!

Trump „przegrywem"?

Jest zatem tak jak w powieści „1984" – odrzucają świadectwo własnych oczu, uszu i portfeli; wolą wierzyć w opowieści o boomie gospodarczym. Ale przecież żyją w demokracji, nie w państwie totalitarnym; nikt ich nie zmuszał, żeby negowali rzeczywistość. W tym sensie współczesna Ameryka jest jeszcze dziwniejsza i bardziej przerażająca niż wizja Orwella.

W badaniu Reutersa 63 proc. Republikanów do dzisiaj wierzy, że wybory w 2020 r. zostały sfałszowane na korzyść Bidena. Choć nie ma na to żadnych dowodów, a sądy odrzuciły wszystkie protesty zgłoszone przez prawników Trumpa. W niektórych przypadkach to oni zostali ukarani za brak powagi w pozwach. Telewizja Fox News promowała wyborcze teorie spiskowe i została pozwana przez firmę Dominion Voting Systems, która w 2020 r. dostarczyła maszyny do głosowania. W ramach ugody pozasądowej stacja zapłaciła zniesławionej spółce prawie 800 mln dol.! Wszystko to nie robi na większości Republikanów żadnego wrażenia –i tak wiedzą swoje.

Aż 82 proc. Republikanów wierzy, że masowo głosują nielegalni imigranci. Znowu – poza słowami Trumpa nie ma na to żadnych dowodów; w wyborach w 2024 r., w których Amerykanie wybierali prezydenta i kongresmenów, wykryto kilkaset takich przypadków w skali całego kraju (po kilkanaście w każdym z 50 stanów).

Od dawna było wiadomo, że MAGA to rodzaj kultu, a nie zwykły „ruch polityczny". Druga, coraz bardziej katastrofalna kadencja Trumpa jest zatem fascynującym eksperymentem socjologiczno-psychologicznym, który bada granice tego fenomenu. Co musi się jeszcze stać, żeby guru stracił swoich wyznawców?

Wojna z Iranem i problemy gospodarcze, jakie wywołała, są dla nich dużym wyzwaniem. Trump w kółko powtarza, że wygrał wojnę, ale tankowce nadal nie przepływają przez Ormuz, a ceny benzyny na stacjach rosną. Równie ciężką próbą będą jesienne wybory do Kongresu. Zanosi się na klęskę Republikanów, tymczasem Trump brzydzi się przegraną, a jeśli ktoś mu podpadnie, zaraz jest przezeń przezywany „przegrywem" (ang. *loser*). A jeśli guru sam okaże się przegrywem? Czy jego zwolennicy zdołają wyprzeć porażkę jak w 2020 r., kiedy dali sobie wmówić, że wybory zostały „skradzione"?

Głosowanie na statku

To także test całej amerykańskiej demokracji. W ostatnich dwóch dekadach dzieje się z nią coś niepokojącego. Przykładem może być coraz bardziej negatywne nastawienie wyborców, którzy najczęściej deklarują, że głosują „przeciw", a nie „za". Sondaże pokazują, że ponad 90 proc. Republikanów/Demokratów źle ocenia partię przeciwną. A jeszcze w latach 70., 80., 90. i pierwszej dekadzie XXI w. ok. 30–40 proc. Republikanów/Demokratów oceniało rywali pozytywnie. Dopiero od prezydentury Obamy, kiedy rząd prawicowych dusz przejęli populiści z Tea Party, opinie o konkurentach zaczęły się radykalizować po obu stronach. Wyznawcy kultu MAGA całkowicie skupiają się na „wrogach" i nie dostrzegają, że ich guru jest nagi.

Zjawisko to jest napędzane przez upadek autorytetów i media społecznościowe. Kiedyś Amerykanie raczej wierzyli w to, co przeczytali w książkach czy gazetach. Albo zobaczyli w telewizji. Teorie spiskowe były marginesem. Teraz ich zwolennicy skrzyknęli się w internecie, gdzie skojarzyły ich algorytmy Facebooka czy Twittera, nabrali śmiałości i zdobyli wielomilionową publiczność. Media tradycyjne, które z kolei tracą publiczność i dochody z reklam, popadają w tanią sensację, żeby ją odzyskać.

Wszystko to sprawia, że żyjemy w świecie, w którym rzeczywistość jest coraz bardziej zamazana, bo niemal wszystkie napływające informacje są niepewne, podawane w wątpliwość i odrzucane przez znaczną część społeczeństwa. Czy w takich warunkach demokracja jest w stanie przetrwać? Trump i kult MAGA to eksperyment na żywym organizmie, który przybliża nas do odpowiedzi na to frapujące pytanie.

Już Platon w dialogu „Republika" pytał (retorycznie), czy załoga statku powinna głosować nad tym, jak nim kierować, czy zawierzyć sternikowi, który ma doświadczenie i umiejętności. I odpowiadał: oczywiście ignoranci nie powinni podejmować decyzji, dlatego najlepszy system to taki, w którym rządzi mądry król filozof. Demokracja – zdaniem Platona – prowadzi do chaosu i katastrofy. A we współczesnej demokracji nie tylko decydują ignoranci, czyli wyborcy, lecz na dodatek informacje, na podstawie których głosują, stały się niepewne.

MARIUSZ ZAWADZKI

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4c91f9e87c

Pojawiają się wszędzie tam, gdzie nieobecne jest państwo. I skutecznie przejmują jego rolę.

© DADO GALDIERI/WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

Korpomafia

W brazylijskich więzieniach rozkwitł gang, który stał się największym na świecie koncernem przestępczym. Inwencja i obszary działania PCC nie znają granic.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Nie lubią rozgłosu, inaczej niż ich meksykańscy koledzy z branży, którzy wieszają zwłoki wroga na wiadukcie albo wysypują worek poodcinanych głów, żeby zasiać przerażenie. Są jak Gus Fring z serialu „Breaking Bad" – niemal niewidoczni, wtopieni w krajobraz, nie lubią się afiszować. Wyciągnęli wnioski z doświadczeń innych: rozgłos przyciąga policję i prokuraturę, czyli szkodzi biznesowi. A im zależy na bogactwie, nie na sławie. Szacuje się, że organizacja liczy ok. 40 tys. członków – na wolności i w więzieniach. Prawdopodobnie to największa grupa przestępcza na świecie, na pewno – w obu Amerykach. Działa w blisko 30 krajach na kilku kontynentach. Panie i panowie, oto Primeiro Comando da Capital (PCC) – Pierwsze Dowództwo Stolicy.

Narodziny

W 1992 r. służby więzienne zabiły 111 zbuntowanych osadzonych w ciężkim zakładzie karnym Carandiru w stanie São Paulo. Masakra była wielkim skandalem, doczekała się mnóstwa analiz, protestów organizacji praw człowieka, a nawet głośnego filmu fabularnego Hectora Babenco („Carandiru") i odniesień w popularnym serialu „Skazany na śmierć". Część ocalałych przeniesiono do aresztu w Taubaté, nazywanym „Piranhão" (wielka pirania), o zaostrzonym rygorze, gdzie przetrzymywano przestępców uznawanych za najbardziej niebezpiecznych. Tam właśnie zaczęła się historia PCC.

„To było mroczne miejsce – wspomina Drauzio Varella, lekarz i badacz więziennictwa, w Polsce znany z książki „Ostatni krąg. Najniebezpieczniejsze więzienie Brazylii". – Więźniowie byli zamknięci przez 23 godziny na dobę w celach rozmieszczonych wzdłuż galerii bez okien, przy stale zapalonym świetle. Wewnątrz – łóżko, szafka nocna w kształcie skrzyni, rura z wodą służąca za prysznic i toaleta".

To tam pewnego dnia w 1993 r. po meczu piłki nożnej rozegranym na dziedzińcu ośmiu kumpli powołało Pierwsze Dowództwo Stolicy. Celem organizacji ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ miało być zwalczanie ucisku wewnątrz systemu więziennego oraz pomszczenie owych 111 zabitych. Gang, który dziś trudni się handlem kokainą, złotem, drogocennym drewnem, zaczynał od walki o łóżka w celach, papier toaletowy i mydło. Zanim stał się wielkim ponadnarodowym koncernem, był rodzajem „związku zawodowego" więźniów.

Początkowo założyciele solidaryzowali się z innym wielkim gangiem, Czerwonym Dowództwem (Comando Vermelho), który narodził się jeszcze w czasach brazylijskiej dyktatury (1964–85), kiedy więźniowie polityczni inspirowali przestępców rewolucyjnymi i egalitarnymi ideami. Ludzie PCC głosili na początku „pokój, sprawiedliwość, wolność"; opowiadali się za rewolucją i zniszczeniem kapitalizmu. Po latach, gdy gang rozwinie się w ponadnarodowy koncern, wykona ideową woltę o 180 stopni.

Poza murami więzień PCC zaczęło rozwijać sieć dystrybucji kokainy i wymuszania haraczy. Varella: „Aby zostać członkiem Komanda, ktoś z wewnątrz gangu musiał przedstawić kandydata jako »porządnego gościa«. To był »chrzest«. Potem ojciec chrzestny odpowiadał za działania podopiecznego przed całą grupą". Wszyscy byli tu „braćmi" i „siostrami" – i musieli przestrzegać statutu spisanego przez kierownictwo. Jeden z punktów stanowił: „Organizacja nie dopuszcza kłamstw, zdrady, zazdrości, chciwości, potwarzy, egoizmu ani osobistych interesów; lecz stawia na: prawdę, wierność, męstwo, solidarność i wspólny interes dla dobra wszystkich, ponieważ jesteśmy wyznawcami zasady: jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego".

Rozwój

Kiedy zwykły gang zaczął się przekształcać w większą organizację przestępczą? Być może cezurą był rok 1999, kiedy PCC przeprowadziło największy napad na bank w historii São Paulo, kradnąc ponad 7 mln dol. Rząd próbował zaradzić kolejnym tego typu akcjom poprzez rozbicie spójności grupy, a drogą do celu było rozdzielenie liderów i przenoszenie ich do więzień w całym kraju. Kardynalny błąd – w ten sposób gang nawiązał kontakty z innymi organizacjami przestępczymi, powiększył stan posiadania i wpływy.

W kolejnych dwóch dekadach przestępcy zakładali nowe komórki organizacji w całym kraju. Dziś w wielu więzieniach to PCC jest prawdziwą władzą: przydziela cele, prowadzi dystrybucję kontrabandy, pełni straże i wymierza kary. W chronicznie przeludnionych zakładach penitencjarnych, gdzie brakuje personelu, służby państwowe nie są w stanie egzekwować nawet podstawowych reguł. Na przykład oficjalny zakaz posiadania telefonów komórkowych to żart – liderzy gangu kierują działaniami organizacji zza murów więziennych, bezpośrednio z cel. W 2001 r. skoordynowali największy bunt więzienny w historii świata, doprowadzając do jednoczesnych zamieszek w 29 placówkach w całym stanie São Paulo. Po pięciu latach jeszcze ten rekord pobili.

Jak wiele organizacji politycznych i zbrojnych, PCC miała swoje „jastrzębie" i „gołębie". Strategia radykałów wyniszczała organizację: eliminowali wrogów, ale prowokowali również brutalne represje – zarówno w zakładach karnych, jak i poza ich murami. Dlatego ok. 2002 r., w wyniku wewnętrznego przewrotu, władzę przejęli umiarkowani (zabijając poprzedników). Były to jeszcze czasy, kiedy władza w PCC miała charakter piramidy – z upływem lat struktura ta będzie się zmieniać. Początkowo na czele stał najwyższy lider, któremu podlegało siedmioosobowe kolegium. Każdy z członków odpowiadał za inny „pion": handel kokainą, planowanie, podział zysków, broń, zatrudnianie „krawatów" (prawników), politykę socjalną (pomoc dla uwięzionych członków i ich rodzin oraz dla społeczności, w których działało PCC), no i wymierzanie kar niezdyscyplinowanym i zdrajcom.

Nastąpiły lata ekspansji na całą Brazylię, a także kilka innych krajów, przede wszystkim Paragwaj, Boliwię, Kolumbię, Argentynę i Peru, gdzie organizowano sieć handlu kokainą przynoszącą setki milionów dolarów zysku rocznie. Dziś na czele PCC stoi Marcos Willians Herbas Camacho, lat 58, po matce Boliwijczyk, po ojcu Brazylijczyk. Rodzice osierocili go, gdy miał dziewięć lat, i już wtedy, gdy zaczął błąkać się po ulicach i kraść, żeby przeżyć, zyskał ksywkę Marcola. To połączenie jego imienia i słowa *cola* – w brazylijskim slangu oznacza ono klej, który dzieci ulicy wdychają jako narkotyk.

W wieku 18 lat Marcola wziął udział w napadzie na bank, za co go aresztowano i skazano. Odsiadywał wyrok w Carandiru – właśnie wtedy, gdy służby więzienne i siły specjalne dokonały masakry zbuntowanych więźniów. Był jednym z przeniesionych do Taubaté i współzałożycielem PCC. Od 1999 r. odsiaduje kolejne wyroki, także za przestępstwa dokonywane zza krat. I wciąż jest niekwestionowanym liderem PCC, choć dziś jego przywództwo ma mniejsze znaczenie niż kiedyś – głównie ze względu na coraz bardziej poziomą strukturę organizacji.

Ekspansja

Głównym źródłem dochodów gangu była – i wciąż jest – kokaina. A napędem ekspansji – eliminacja pośredników, którzy przemycali kokainę przez rozległe i niekontrolowane granice, przede wszystkim w Amazonii. Tamtejsze rzeki płyną przez terytoria krajów produkujących narkotyki: Kolumbii, Peru, Boliwii. Kierownictwo PCC uznało, że od przygodnych szmuglerów tańsi będą regularni członkowie gangu.

Do organizacji wstąpiła też pewna liczba rozbitków wojny domowej w Kolumbii: partyzanci i paramilitarni, którzy nie uznali porozumień pokojowych między rządem a guerrillą FARC z 2016 r., a także tacy, którzy nie umieli lub nie chcieli wrócić do cywila. Dzięki nim PCC zyskało „żołnierzy" zaprawionych w starciach z zawodową armią, a także specjalistów od różnych rodzajów broni.

Aby opanować kolejne szlaki przemytnicze, PCC korumpuje lokalne władze i zapewnia sobie przychylność miejscowej ludności. Jedną ze strategii jest podszywanie się pod pastorów ewangelikańskich czy neozielonoświątkowych i organizowanie „wspólnot religijnych". Wprawdzie Kościoły te oficjalnie potępiają przestępczość zorganizowaną, ale ich filie zarządzane przez PCC przyciągają narybek. Oferują młodym wizję lepszego życia, udział w organizacji stworzonej przez biednych i dla biednych.

Rekrutacja jest tym łatwiejsza, że dokonuje się na obszarach, gdzie państwo bywa nieobecne. W razie potrzeby ludzie PCC zawiozą chorego do odległego szpitala albo przywołają do porządku miejscowego złodzieja. Są państwem opiekuńczym i karzącym zarazem. Także władzą dostarczającą ludziom rozrywkę w czasie wolnym, a swojej organizacji – nowych pracowników. Przykładem lokalne drużyny piłkarskie, z których rekrutują się potem członkowie PCC.

Werbunek w wielkich metropoliach, w fawelach, dokonuje się w innym „ekosystemie" społecznym, gdzie wprawdzie

eprasa.pl 4c91f9e87c

funkcjonują usługi publiczne, zwłaszcza edukacja i ochrona zdrowia, ale – jak twierdzi Bruno Manso, autor książki o PCC – gang potrafi nieraz skuteczniej niż państwo pokazać młodym z faweli ścieżkę kariery. I zaoferować pociągającą tożsamość „wojownika", silnego mężczyzny, maczo.

Ekspansja gangu miała wysoką cenę. Dokonała się kosztem zerwania „pokojowego współistnienia" z Czerwonym Dowództwem z Rio de Janeiro. Od dekady między obiema grupami toczą się krwawe wojny o wpływy – zarówno na terenie lasów deszczowych, na obszarach przygranicznych, jak i w miastach. PCC wkroczyło nawet do kolebki rywali – na wzgórza Rio de Janeiro.

Sukces ekonomiczny gangu-koncernu nie budzi jednak wątpliwości: PCC przerzuca przez Amazonię kilka ton substancji psychoaktywnych miesięcznie. Ciężarówki, barki rzeczne, lekkie samoloty i helikoptery transportują kokainę przez gęstą dżunglę do wybrzeży Atlantyku; tam ładuje się ją na kontenerowce płynące do punktów tranzytowych w Afryce Zachodniej, a następnie – też drogą morską – przewozi do europejskich portów: Antwerpii, Rotterdamu, Hamburga. Dążąc do kontroli dystrybucji kokainy na ulicach miast Europy, PCC weszła już w konflikty z miejscowymi gangami. Organy ścigania dokumentują porwania i zabójstwa na zlecenie – część z nich przypisywana jest Brazylijczykom.

Sieć

Kokaina – powtórzmy – jest głównym biznesem PCC. Jednak od kilku lat przestępczy koncern rozszerza działalność na inne branże: wydobycie złota, pozyskiwanie drogich gatunków drewna, cyberprzestępczość, handel egzotycznymi ptakami, a nawet ludźmi (głównie kobietami do domów publicznych). Pieniądze pierze się na stacjach benzynowych, w fintechach, funduszach nieruchomości, motelach na godziny, salonach samochodowych i firmach budowlanych. PCC współpracuje z włoską 'ndranghetą, japońską yakuzą oraz gangami albańskimi i serbskimi w Afryce Zachodniej.

Zmianie ulega struktura. „Bardzo ważne jest zrozumienie różnicy między PCC jako organizacją a ogromną siecią jej członków, którzy zarabiają pieniądze na własną rękę i opłacają miesięczną składkę na rzecz grupy. To odróżnia ich od karteli – mówi portalowi Insight Crime Bruno Manso. – Kartele działają bardziej jak firmy, a ich zyski są rozliczane tak, jak odbywałoby się to w dużej korporacji. PCC natomiast to sieć partnerów, którzy mogą zarabiać na własne konto, a następnie przeznaczać zasoby na pokrycie kosztów wewnętrznego funkcjonowania grupy".

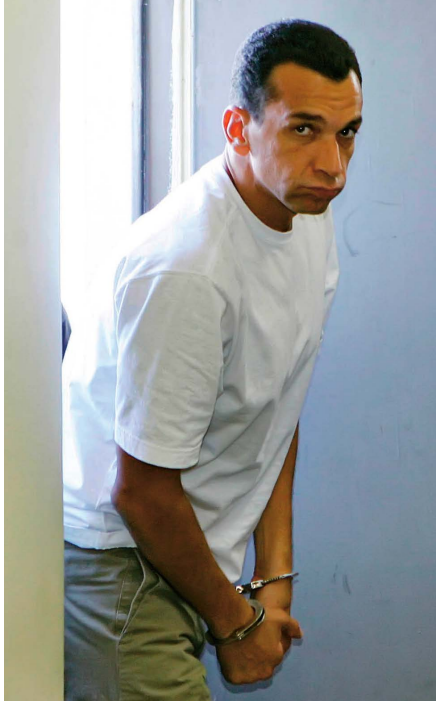

Marcos Willians Herbas Camacho, znany jako Marcola, rządzi całym gangiem zza krat

Manso odwołuje się do politycznej metafory – PCC to „rząd" o liberalnym nastawieniu, który pozwala każdemu zarabiać. A pozioma struktura umożliwia ekspansję bez konieczności sprawowania kontroli terytorialnej. Ma też inną zaletę: jest bardziej odporna – a w zasadzie: niewzruszona – w momencie uwięzienia czy śmierci lokalnego, względnie regionalnego lidera. Biznes kręci się dalej bez większych zakłóceń.

„Polityczny" dyskurs PCC ewoluował od buntowniczych, antykapitalistycznych haseł do pochwały kapitalizmu i bogacenia się. W końcu uznano, że głównym wrogiem jest państwo, bo to ono gwałci prawa więźniów. I jeśli spojrzeć na koszmarne warunki w brazylijskich zakładach karnych, trudno nie przyznać racji przestępcom z PCC. Państwo zawodziło też przez dekady, gdy chodzi o warunki ich życia jeszcze na wolności.

„Chociaż w ich narracji obecna jest kwestia równości, w głębi duszy PCC jest kapitalistyczne – mówi portalowi uol.com.br socjolożka Camila Nunes Dias. – Nie ma tu perspektywy rewolucyjnej: ani ekonomicznej, ani politycznej". Tym bardziej że narracje PCC o walce z opresyjnym państwem mają konserwatywne fundamenty i takież wartości, m.in. maczyzm i wrogość wobec osób LGBT, przede wszystkim wobec gejów.

Terroryzm?

Zwalczanie tego rodzaju „ośmiornicy" wymaga ogromnej liczby funkcjonariuszy mających w małym palcu księgowość, wiedzę o cyberprzestępczości, wyspecjalizowane umiejętności analityczne. Tymczasem część ludzi ze służb walczących z gangami i kartelami próbuje drogi na skróty i – jak napisał ostatnio „Wall Street Journal" – wzywa Donalda Trumpa, by uznał PCC za organizację terrorystyczną. Trudno w tej sprawie o większy nonsens, na dodatek niebezpieczny dla demokratycznego społeczeństwa.

Konstytucja Brazylii zakazuje stosowania środków nadzwyczajnych w sprawach karnych, a ustawa antyterrorystyczna z 2016 r. – jak piszą Luiz Eduardo Soares i Katia Mello, brazylijscy badacze zajmujący się polityką bezpieczeństwa – „definiuje terroryzm jako praktykę czynów motywowanych ekstremizmem politycznym, ideologicznym lub religijnym, mających na celu wywołanie terroru społecznego lub powszechnego". I dalej: „Handel nielegalnymi substancjami jest przestępstwem o charakterze ekonomicznym, a nie politycznym – w związku z czym nie mieści się w tej definicji. Nazywanie go »terroryzmem« jest nie tylko błędem prawnym, ale i polityczną niegodziwością. Etykieta ta otwiera drogę do rozszerzenia już istniejącej militaryzacji peryferii – zamieszkanych niemal wyłącznie przez ludność czarną i biedną".

Walcząc z gangami, np. z PCC, tak jak się walczy z organizacjami terrorystycznymi, państwo naruszyłoby kilka traktatów, które podpisało w przeszłości – zakazują one arbitralnych zatrzymań, egzekucji pozasądowych i nieproporcjonalnego użycia siły. „Klasyfikacja przestępstw pospolitych jako »narkoterroru« – pisze dwoje cytowanych badaczy – nie kończy się na wymiarze prawnym czy karnym: w praktyce oznacza ciche polityczne przyzwolenie na zewnętrzne interwencje o charakterze imperialistycznym, w jawnej pogardzie dla suwerenności narodowej". Przykładem niech będzie interwencja wojskowa Stanów Zjednoczonych w Wenezueli na początku br., uzasadniana przecież walką z „narkoterroryzmem".

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© PAULO LIEBERT/AGENCIA ESTADO/ AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 4c91f9e87c

Niech jedzą drób!

Fastfoodowa sieciówka Master Poulet stała się tematem jednej z najgorętszych debat we Francji. Pieczony amerykańsko-arabski kurczak rozgrzał Francuzów do czerwoności.

KINGA STRZELECKA-PILCH

Master Poulet to – w dosłownym tłumaczeniu – mistrzowski kurczak. Firma założona w 2019 r. szybko się rozrasta – we Francji ma już ponad 50 punktów sprzedaży, od Lille na północy po Marsylię na południu. Najgęstsza sieć znajduje się na obrzeżach Paryża. Twórcą marki jest 34-letni Chouaib Benbakir, urodzony we Francji, pochodzący z rodziny arabskich imigrantów, stroniący od mediów. Mięso w Master Poulet spełnia oczywiście zasady halal, co wiąże się m.in. z ubojem zwierząt zgodnie z islamskim prawem.

Jednocześnie Master Poulet odwołuje się do francuskich symboli. W logo sieci znajduje się kogut w kolorach płomieni. A trzeba wiedzieć, że kogut pozostaje od wieków symbolem Francji. *Gallus* po łacinie to kogut i zarazem Gal, mieszkaniec Galii, czyli historycznej krainy rozciągającej się na terenie dzisiejszej Francji. Koguta obsadzono w roli narodowego symbolu podczas rewolucji 1789 r., stał się wówczas znakiem zawziętości, dumy i jednocześnie chłopskiego pochodzenia.

I to właśnie nie o drób, lecz o klasy społeczne rozegrała się cała publiczna batalia. Bo kurczak pieczony w tym sporze zaczął znaczyć coś więcej niż szybki posiłek – wywołał kłótnie o rasizm, nierówności społeczne, antyamerykanizm i miejsce tradycyjnej kuchni francuskiej. Przedstawiciele szeroko rozumianej francuskiej lewicy (podzielonej od dłuższego czasu) za sprawą kurczaka rzucili się sobie do gardeł.

Karim Bouamrane z Partii Socjalistycznej, mer podparyskiego Saint-Ouen-sur-Seine (ok. 50 tys. mieszkańców), był przeciwnikiem otwarcia

Kurczak dzieli lewicę. Przeciw jest socjalista Karim Bouamrane (fot. z lewej)**, za – lider skrajnej Niepokornej Francji Jean-Luc Mélenchon.**

Master Poulet w swoim mieście. Bezskutecznie – lokal działa od 11 kwietnia. Swój sprzeciw argumentował szkodliwym społecznie promowaniem niezdrowego odżywiania, nieprzyjemnym zapachem spalenizny i frytury oraz zakłócaniem spokoju mieszkańców pobliskich budynków. 53-letni Bouamrane jest ambitnym lokalnym politykiem, nie ukrywa chęci startu z ramienia socjalistów w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Zaledwie kilka tygodni temu wygrał lokalne wybory i pozostał merem Saint-Ouen-sur-Seine na drugą kadencję.

Nie przypadkiem więc zaatakowali go Jean-Luc Mélenchon i jego skrajnie lewicowa Niepokorna Francja (LFI). Partia do tej pory wegańska, wegetariańska, broniąca praw zwierząt, wzięła stronę sieci Master Poulet, „prześladowanej" przez mera, argumentując, że broni najniższych warstw społecznych, w tym imigrantów, i dostępności tanich posiłków. LFI nazwała Bouamrane'a rasistą, „marną kopią Baracka Obamy", wrogiem wielokulturowości, który do swojego miasta chce przyciągnąć bogatą stołeczną burżuazję.

Brzmi to nieco absurdalnie, bo mer jest synem marokańskiego imigranta,

© HJBC/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, ANTONIO BORGA/EURASIA SPORT IMAGES/GETTY IMAGES, LAFARGUE RAPHAEL/ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 4c91f9e87c

robotnika, ma południowy typ urody i jest przekonanym lewicowcem. Jednak zamieszkanie wokół Master Poulet sprawiło, że Bouamrane stał się niezwykle aktywny medialnie, biorąc udział w najpopularniejszych audycjach radiowych i programach telewizyjnych, w których powtarza: „Największym problemem lewicy jest Jean-Luc Mélenchon".

Przeprowadzone dla dziennika „Libération" badania opinii publicznej z początku maja pokazują, że aż 67 proc. Francuzów protestowałoby, gdyby Master Poulet chciał otworzyć swój lokal w ich okolicy. Według Ipsos dla 84 proc. Francuzów gotowanie to sztuka, a dla 90 proc. spożywanie posiłku w restauracji powinno dostarczać wyjątkowych doznań. Przy czym 78 proc. „Galów" zdecydowanie wyżej ceni tradycyjną kuchnię francuską niż fast foody. A tak wyraziste poglądy prowokują konflikty.

Do sporu o kurczakową sieć włączyła się natychmiast antyimigrancka skrajna prawica, atakując Master Poulet za przychylny stosunek do islamu (halal). Z kolei politycy Zjednoczenia Narodowego paradoksalnie poparli w tym sporze Partię Socjalistyczną i „marokańskiego" mera. Wskazywali też – jako eurosceptycy – na obce pochodzenie mięsa: ponad 60 proc. jest importowane z innych krajów Unii, w tym z Hiszpanii i Polski.

W całym tym zamieszaniu politycznym Bouamrane nagle awansował na głos milczącego centrum i stał się niezwykłą propozycją dla wyborców, niespotykaną do tej pory we francuskiej polityce. Z jednej strony arabskie korzenie, paryskie przedmieścia, reprezentowanie mniejszości narodowych. Z drugiej – wyższe wykształcenie i żywy przykład podręcznikowo przeprowadzonej asymilacji. Rzeczywiście: francuski Obama.

Na czym polega problem Francuzów z Master Poulet? Sieć korzysta ze sprawdzonego modelu biznesowego KFC (Kentucky Fried Chicken) z 1930 r. To wtedy Harland Sanders rozpoczął sprzedaż kurczaków w panierce w małym lokalu przy stacji benzynowej. W trudnym czasie wielkiego kryzysu przeciętna rodzina mogła kupić u niego dużą i wysokokaloryczną porcję mięsa po niskiej cenie. W Master Poulet cały kurczak kosztuje zaledwie 7,50 euro (ok. 32 zł), skrzydełko – 2,50 euro. Czyli tak jak w KFC: ma być tanio, dużo i szybko. Francja od wieków uosabia przeciwne wartości: drogo, mało i powoli. To nie Ameryka.

Francja nie zachłysnęła się tak mocno amerykańskim stylem życia jak Polska, pozostawała odporna na wiele wpływów lub wytwarzała własne wersje amerykańskich pomysłów. Francuzi na język angielski patrzą jak na mało wysublimowane narzędzie komunikacji i szczycą się – nawet po latach nauki angielskiego – rodzimym akcentem i silnym gardłowym „r", tzw. *frenglish*.

70 proc. Francuzów nie odbiera pozytywnie Stanów Zjednoczonych. I to nie zaczęło się od Donalda Trumpa. Z braku sympatii do USA znany był już założyciel V Republiki, Charles de Gaulle, prezydent w latach 1959–69, który niejako przewidział obecną sytuację geopolityczną: „Amerykanie skończą znienawidzeni przez cały świat, nawet przez swoich najwierniejszych sojuszników".

Obecny prezydent Emmanuel Macron dopominał się już o amerykańskie wsparcie dla Ukrainy, odpowiadał na trumpowskie cła, bronił UE i NATO. Macron swoje podejście do Ameryki sformułował wprost: „Być sojusznikiem USA nie oznacza być amerykańskim wasalem". Trump z kolei parodiował publicznie *frenglish* Macrona, drwił z relacji małżeńskiej pierwszej pary Francji. Kiedy Trump zamawiał w świetle kamer dostawę z McDonald's i chwalił się codziennym spożyciem Coca-Coli, Macron śpiewał „La Bohème" Aznavoura (pieśniarza o ormiańskich korzeniach) po francuskiej kolacji podczas wizyty zagranicznej w Armenii.

Mało finezyjna, jeśli nie wręcz prostacka, jest też według Francuzów amerykańska kuchnia, choć za sprawą mediów społecznościowych zyskała wielu sympatyków w młodszych pokoleniach i utożsamiana jest obecnie nie tyle z fast foodem, ile z comfort foodem, czyli prostym w przygotowaniu posiłkiem dającym komfort psychiczny i budzącym miłe skojarzenia. W tym kontekście we Francji do miary symbolu urasta wołowina, której przygotowanie wymaga czasu i wielu starań.

Spożycie wołowiny, tak typowej dla kuchni francuskiej, w ostatnich latach spada, choć wciąż utrzymuje się na jednym z najwyższych poziomów w Europie. Przeciętnie w ciągu roku Francuz zjada ok. 20 kg wołowiny. Dla porównania Polacy zaledwie dwa kilo rocznie. I choć przeciętny Francuz zjada już w rok 32 kg drobiu, o końcu francuskiej wołowiny nie ma mowy, zwłaszcza że Francja jest jednym z największych i najbardziej jakościowych producentów w Europie.

Mimo nowych tendencji pokoleniowych większość Francuzów pozostaje konserwatywnymi, patriotycznymi i wymagającymi konsumentami, wspierającymi lokalność, sezonowość i narodowe marki. W skrócie: wszystko, co francuskie, jest najlepsze – moda, kosmetyki, sztuka, media, innowacje, samochody, produkty spożywcze. I tu wracamy do kurczaków.

Sieciowe restauracje, jak McDonald's czy KFC, działają we Francji w przejściach podziemnych, centrach handlowych, na dworcach, przedmieściach, przy drogach, umożliwiając spożycie czegoś w biegu, bez względu na porę. Przyciągają wielu turystów, obcokrajowców. Nie wyparły jednak miejscowych tradycyjnych kawiarni, cukierni, restauracji. Nie zajmują zbyt wielu reprezentacyjnych miejsc, choć akurat najpiękniejszy Starbucks mieści się w Paryżu przy Operze Garnier.

Zapewne właśnie na tym polega problem z Master Poulet. W Saint-Ouen-sur-Seine lokal znajduje się na parterze mieszkalnego budynku, nie przy stacji benzynowej ani na stacji metra. Wojna kulturowa nie wybuchła, kiedy do miasteczka przed laty sprowadzali się imigranci, a wśród nich ojciec obecnego mera, lecz właśnie teraz, kiedy próbuje się zmieniać francuskie kulinarne przyzwyczajenia, amerykanizować i arabizować.

Polskę od lat opanowują sieciówki serwujące hot dogi, frytki, filety z kurczaka czy pizzę, a ulubioną potrawą każdego szanującego się narodowca jest kebab. Tymczasem wrogiem laickiej, wielokulturowej, tolerancyjnej i otwartej Republiki Francuskiej stał się kurczak halal w stylu amerykańskim. W kontrze Republika promuje francuskie wino, wołowinę, bagietki, croissanty, sery, przerwy obiadowe w okolicznym bistro w towarzystwie znajomych, długie rodzinne kolacje. A jeśli kurczak, to *coq au vin*, czyli duszony w winie. I właśnie po stronie Republiki opowiedział się socjalista Bouamrane, a ultralewicowiec Mélenchon jest spychany na pozycję kulinarnego (i politycznego) barbarzyńcy. Tak zaczyna się walka o głosy głodnego ludu. ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Władimir Putin i Gerhard Schröder w Berlinie, 2005 r.

Tęsknota za Schröderem

Niemieccy socjaldemokraci są w historycznym dołku. Wielu z nich marzy o nowym Gerhardzie Schröderze. Za starym wzdycha Władimir Putin.

FILIP GAŃCZAK

Najpierw doroczna Parada Zwycięstwa na Placu Czerwonym w Moskwie, a później konferencja prasowa, na której Władimir Putin pozornie próbował zabrzmieć pojednawczo. Prezydent Rosji mówił o trwających staraniach, by zakończyć wojnę z Ukrainą. Dalsze słowa musiały już jednak zabrzmieć jak prowokacja. Jako idealnego pośrednika w rozmowach pokojowych Putin wskazał bowiem Gerharda Schrödera. Tego samego, który od lat nazywa go swoim przyjacielem. 82-letni były kanclerz Niemiec wciąż zdaje się być w dobrej formie i chętnie żartuje, także ze swojego wieku. Przy wejściu do biura w Hanowerze wywiesił autokarykaturę, na której prezentuje się z szerokim uśmiechem i kieliszkiem szampana. „Osiemdziesiątka to nowa pięćdziesiątka" – głosi podpis.

Jako polityczny emeryt Schröder ma czas na grę w golfa. Lubi też pojawiać się na meczach lokalnej drużyny piłkarskiej. Z powodu bliskich powiązań z putinowską Rosją nie wszędzie jest zapraszany, ale wciąż regularnie gości w mediach. Tabloidy i prasa lifestylowa rozpisują się o jego piątym małżeństwie z młodszą o ćwierć wieku Koreanką So-yeon Kim. Poważniejsze gazety od czasu do czasu proszą go o komentarz w aktualnych sprawach politycznych.

Dziennikarz „Süddeutsche Zeitung" chce wiedzieć, co były szef rządu myśli o kryzysie Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), tej samej, którą dwa razy poprowadził do zwycięstwa w wyborach do Bundestagu. „Czy SPD da się jeszcze uratować, panie Schröder?" – pyta.

– *Partia znajduje się w kryzysie* – przyznaje Ulrich Sarcinelli, politolog, emerytowany profesor Uniwersytetu Technicznego Nadrenii-Palatynatu (RPTU). – *SPD nie zdołała odpowiedzieć na pytanie, co stanowi politykę socjaldemokratyczną w czasach gruntownych przemian gospodarczych i społeczno-politycznych* – tłumaczy.

W pierwszych powojennych latach SPD była głosem tych, którzy domagali się upaństwowienia najważniejszych gałęzi przemysłu, ale zdecydowanie odrzucali komunizm. Za Willy'ego Brandta – od połowy lat 60. – przyciągała wszystkich, którzy mieli dość dusznych rządów chadeckich. Z kolei Schröder rządzący w latach 1998–2005 sprofilował SPD jako partię „nowego środka", niebojącą się ani reform społecznych, ani sprzeciwu wobec interwencji USA w Iraku.

A dziś? – *SPD nie odgrywa już istotnej roli w politycznych debatach o tym, jak powinno wyglądać społeczeństwo przyszłości* – diagnozuje dr Gero Neugebauer, emerytowany politolog z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Taka partia nie budzi społecznych emocji i mało komu wydaje się niezbędna. „Kto właściwie potrzebuje jeszcze SPD?" – pyta wprost dziennik „Berliner Morgenpost".

Pozornie stan posiadania socjaldemokratów wciąż jest imponujący. Od 1998 r. SPD rządzi w Niemczech niemal nieprzerwanie – z krótką przerwą w latach 2009–13, gdy była w opozycji. W obecnym rządzie chadeckiego kanclerza Friedricha Merza socjaldemokraci są wprawdzie mniejszym partnerem koalicyjnym, ale ze stanowiskiem wicekanclerza i siedmioma ministrami. Z SPD wywodzi się również prezydent Frank-Walter Steinmeier. Partia rządzi też dziś lub współrządzi w 11 z 16 niemieckich landów.

Jednocześnie SPD systematycznie traci poparcie. – *Nie tylko wśród robotników i urzędników, lecz również wśród emerytów* – zauważa Neugebauer. Gdy w 1998 r. Schröder pierwszy raz poprowadził par-

© SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4c91f9e87c

tię do wyborczego zwycięstwa, socjaldemokraci zdobyli ponad 40 proc. głosów. W ubiegłorocznych wyborach SPD z kilkunastoprocentowym wynikiem – najgorszym w powojennej historii – zajęła dopiero trzecie miejsce, daleko za chadekami (CDU/CSU) i Alternatywą dla Niemiec (AfD). Niedawny sondaż ośrodka YouGov daje SPD 13-procentowe poparcie i czwarte miejsce: za AfD, chadekami, a nawet Zielonymi.

W obliczu tak potężnego kryzysu w partii „niektórzy członkowie SPD odczuwają pewną tęsknotę za Schröderem" – zauważa „Süddeutsche Zeitung". Po części to nostalgia za wyrazistym liderem. Biografia Schrödera pióra Gregora Schöllgena nie przypadkiem była reklamowana sloganem „Macho, Machtmensch, Alpha-Tier" (Macho, Człowiek Władzy, Samiec Alfa). Kanclerz Schröder nie znosił niekończących się debat w partii i koalicji. Lubił sam wyznaczać kierunek, a jeśli zaplecze się opierało, skutecznie dyscyplinował działaczy, grożąc odejściem z rządu. Nie stronił od drogich cygar ani od knajpianego języka. Dobrze wypadał w mediach i w sytuacjach kryzysowych, jak wielka powódź nad Łabą w 2002 r.

Po Schröderze SPD miała już kilkanaścioro przewodniczących, ale nikogo z równie silną osobowością. Lars Klingbeil, obecny współszef partii, a zarazem wicekanclerz i minister finansów Niemiec, bywa wręcz nazywany pluszowym misiem.

Jako student Klingbeil pracował w biurze Schrödera i długo uchodził za jego ucznia. – *Dziś nie powołuje się na jego dziedzictwo* – zauważa Neugebauer. Dla obecnego kierownictwa SPD afiszowanie się ze Schröderem byłoby ryzykowne, zwłaszcza ze względu na jego ostentacyjną prorosyjskość.

Jeszcze w 2004 r. ówczesny kanclerz nazwał Putina „demokratą bez skazy". Słowa te padły już po rozbiciu w Rosji głównych mediów niezależnych i aresztowaniu miliardera Michaiła Chodorkowskiego. We wrześniu 2005 r., 10 dni przed przegranymi wyborami do Bundestagu, Schröder firmował z Putinem podpisanie umowy o budowie gazociągu bałtyckiego. W Polsce wywołało to skojarzenia z niesławnym paktem Ribbentrop-Mołotow.

Krótko po odejściu z aktywnej polityki Schröder stanął na czele rady nadzorczej spółki NEGP (późniejszej Nord Stream), będącej operatorem kontrowersyjnego gazociągu. Z czasem identyczną funkcję objął w radzie nadzorczej Rosnieftu. Nazywał też Putina przyjacielem i zachowywał się jak rzecznik Kremla, także po rosyjskiej aneksji Krymu, a później pełnoskalowej napaści na Ukrainę. – *Nie potrafi na dobre wyjść z cienia Putina* – komentuje Neugebauer. Ale łatką rosyjskiego lobbysty Schröder zdaje się nie przejmować.

Jego partyjni koledzy nie bardzo wiedzą, co z tym zrobić. Gdy w 2022 r. pierwsze rosyjskie rakiety spadły na Kijów, niektórzy domagali się wykluczenia Schrödera z SPD. Sąd partyjny i dwie komisje arbitrażowe nie znalazły ku temu podstaw. Co więcej, w 2023 r. urządzono mu uroczystość z okazji 60-lecia jego członkostwa w SPD. Kierownictwo partii było nieobecne, ale pod okolicznościowym dyplomem dla byłego kanclerza podpisali się oboje ówcześni przewodniczący: Klingbeil i Saskia Esken.

W SPD wciąż nie brakuje Russlandversteher – jak zwykło się nazywać zwolenników partnerstwa z Rosją. Gdy wojska Kremla ruszyły na Kijów, tylko na krótko spuścili z tonu. W czerwcu 2025 r. ponad 100 członków i sympatyków SPD podpisało manifest wzywający – „gdy zamilkną działa" – do powrotu do rozmów z Rosją, a „stopniowo" wręcz do współpracy.

Wielu z tych, dla których moskiewskie koneksje Schrödera są nie do przyjęcia, jednocześnie z uznaniem mówi o jego reformatorskim dorobku. Chodzi o program Agenda 2010, obejmujący m.in. ograniczenie zasiłków dla bezrobotnych, uelastycznienie prawa pracy oraz dopłaty do wizyt lekarskich w państwowym systemie. „Jako kanclerz Schröder w 2003 r. wykazał się odwagą, wprowadzając pakiet reform i forsując strategiczne decyzje mimo gigantycznego oporu" – ocenia dziś tamte zmiany tygodnik „Der Spiegel".

Owszem, Agenda 2010 wywołała falę odejść z SPD i jest wskazywana jako jedna z przyczyn porażki wyborczej Schrödera w 2005 r. „Gospodarka i wielu obywateli przez lata korzystało z tych reform, nawet jeśli były bolesne" – przekonuje jednak „Spiegel". I sugeruje, że Merz z Klingbeilem powinni pójść podobną drogą.

Gdy na początku ubiegłego roku chadecy i socjaldemokraci tworzyli nowy gabinet, zdawali się mieć zupełnie inny pomysł na rządzenie. Bundestag zgodził się wtedy na poluzowanie hamulca zadłużenia. Zwiększone wydatki publiczne miały pobudzić gospodarkę i przestawić ją na nowoczesne tory. Ale efekty na razie są znikome. Szybko rośnie za to deficyt budżetowy, liczba bezrobotnych wciąż przekracza 3 mln (6,4 proc.), a gospodarka nie może wyjść ze stagnacji. „Zaniedbaliśmy gospodarkę, zajmowaliśmy się tematami drugoplanowymi" – przekonuje Schröder. I zachęca niemiecki rząd do większej odwagi.

Pod koniec marca Klingbeil wygłosił w berlińskiej siedzibie Fundacji Bertelsmanna przemówienie o znamiennym tytule „Reformy na rzecz silnego kraju". Zapowiedział zmianę kursu w polityce gospodarczej i finansowej, ograniczenie biurokracji, ale też „trudne i niewygodne decyzje". „Nie możemy odpowiadać na każdy kryzys i każdy problem dosypywaniem pieniędzy" – tłumaczył. Niemieckie media od razu dostrzegły, że „mówił Schröderem".

Nad konkretami koalicjanci głowili się w kwietniu w zabytkowej willi Borsig – domu gościnnym niemieckiego MSZ nad malowniczym jeziorem Tegel. Rozmowy były burzliwe i ponoć bliskie zerwania, a rezultat na razie jest skromny: tymczasowe obniżenie podatku energetycznego na paliwa, zapowiedź uchwalenia do wakacji reformy ochrony zdrowia i wprowadzenia od przyszłego roku reformy podatków. Równolegle komisja ekspertów pracuje nad reformą systemu emerytalnego. To jeszcze nie jest nowa agenda – co najwyżej krok w jej stronę.

„Berliner Morgenpost" zwraca tymczasem uwagę na uderzający paradoks. Współczesne Niemcy to kraj na wskroś socjaldemokratyczny – do tego stopnia, że SPD straciła swoją wyjątkowość. Chadecy za czasów Angeli Merkel na dobrą sprawę przestali być partią konserwatywną i upodobnili się do socjaldemokratów. Zieloni podkradają SPD wykształcony miejski elektorat. Tych, którym SPD wydaje się zbyt centrowa, kusi postkomunistyczna Lewica. Do tego jeszcze AfD obiecuje, że zatroszczy się o „zwykłych ludzi".

Gdy tak trudno wyróżnić się programem, różnicę może zrobić lider, który umie porwać tłumy. W popularnym talk-show telewizji ARD dziennikarka Sandra Maischberger dopytywała Franza Münteferinga, niegdyś szefa SPD, czy nie tęskni za kimś takim jak Schröder. Zaraz dodała, że chodzi jej o Schrödera „przed Putinem" – jeszcze nieskażonego zbyt bliskimi związkami z Kremlem. Wygląda na to, że taki właśnie byłby dla Niemców idealny Schröder 2.0. Na razie jednak nikt taki się nie objawił. ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Ile wyssać, żeby przetrwać

Zaczyna się od nierówności społecznych, a potem napięcie rośnie. Krótki scenariusz upadku wielkiego imperium – na przykładach nie tylko z przeszłości.

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 4c91f9e87c

TOMASZ TARGAŃSKI

W pierwszych wiekach naszej ery na przeciwległych krańcach Eurazji istniały dwa ogromne, dominujące imperia – starożytny Rzym na zachodzie i chińskie imperium Han na wschodzie. W okresie największej świetności w ich granicach żyła niemal połowa ludności świata. Na pozór były do siebie bardzo podobne: wojownicze, scentralizowane, biurokratyczne. Ich model ekonomiczny polegał na skupieniu większości ziemi w rękach wąskiej elity oraz opodatkowaniu podbitych ludów i finansowaniu w ten sposób armii i biurokracji.

Dwa polityczne fenomeny, istniejące niemal w tym samym czasie, od dawna przyciągały uwagę najpierw historiozofów, a później historyków. Analogie między nimi od lat bada Walter Scheidel, austriacki historyk ze Stanford University i autor szeroko zakrojonych syntez na temat nierówności, upadku i powstawania imperiów. Niedawno w „Nature Communications" Scheidel wraz z Guido Alfanim i Michele Bollą opublikowali artykuł, w którym porównali starożytny Rzym i Chiny Han pod względem nierówności ekonomicznych.

Rzym i redystrybucja

Oba państwa były strukturami mocno zbiurokratyzowanymi, dzięki czemu naukowcy mają stosunkowo dobry ogląd ich gospodarek. W badaniu wzięli pod uwagę trzy czynniki: dochód na mieszkańca, poziom nierówności majątkowych i stopień ekstrakcji gospodarczej w zależności od regionu – czyli to, ile elity wysysały z gospodarki w stosunku do możliwego maksimum, bez spychania biednych poniżej minimum egzystencji. Dane pochodziły z końca II w. n.e.

Przy porównywalnym zaludnieniu (Chiny liczyły ok. 57 mln ludzi, a imperium rzymskie – ok. 75 mln) dochód na głowę był podobny, choć świat rzymski okazał się nieco bardziej egalitarny niż Państwo Środka. Jeden procent najbogatszych Rzymian zagarniał 19 proc. całego dochodu. W Chinach Han było to aż 26 proc. Aby wyliczyć nierówności, zespół posłużył się indeksem Giniego, który mierzy rozpiętość dochodów w danym społeczeństwie: 0 oznacza idealną równość, 1 – jej całkowity brak. Rzym uzyskał wynik 0,46, Chiny Han – 0,48 (dla porównania: współczesne Stany Zjednoczone osiągają ok. 0,41).

Różnice mogą wydawać się nieduże, ale wskaźnikiem o największym znaczeniu jest wspomniany współczynnik ekstrakcji, który można określić miarą drapieżności imperium. Dla Rzymu wyniósł on 69 proc., dla Chin Han – aż 80 proc. Autorzy badania zadali więc pytanie: czy nierówności i drapieżność państwa nie miały decydującego wpływu na to, że dynastia Han znikła z mapy ok. 220 r. n.e. w ogniu masowych powstań ludowych wywołanych wszechobecnym głodem, a zachodnie cesarstwo rzymskie trwało jeszcze przez dwa stulecia?

Rozbieżności między obydwoma państwami mają wiele wspólnego z ich „architekturą polityczną". Wbrew słynnemu przysłowiu nie wszystkie drogi prowadziły do Rzymu. Władza – a co za tym idzie, wpływy ekonomiczne – spoczywała w dużo większym stopniu niż w przypadku Chin w rękach prowincjonalnych elit. Okazuje się, że Rzym w bardziej zrównoważony sposób dystrybuował też wydatki publiczne. Żywa gotówka w formie żołdu, płynąca z centrum do żołnierzy stacjonujących w prowincjach granicznych, stymulowała gospodarki peryferyjnych części imperium. W Chinach Han wydatki na wojsko były mniejsze, co oznaczało mniej placówek i słabszą redystrybucję za pośrednictwem garnizonów. Większą część budżetu pochłaniał natomiast rozbudowany aparat administracyjny, skoncentrowany w stolicy.

Imperium Han było również bardziej scentralizowane. Rządząca dynastia nie tolerowała żadnej konkurencji – narzędziem tej polityki były m.in. przymusowe przesiedlenia znanych rodów z prowincji do stolicy. Rzymianie natomiast czynili z lokalnych elit sojuszników swojej sprawy, włączając je do administracji i dzieląc się z nimi profitami imperialnej polityki – ekonomicznymi, ale i kulturowymi. Ta kooperacja wzmacniała odporność państwa na wstrząsy. Wyjaśnia też, dlaczego różnice dochodowe między centrum a peryferiami w państwie Han były dużo większe niż w imperium rzymskim.

Aztekowie i drapieżność

Kwestia nierówności ekonomicznych stała się ostatnimi laty jednym z najbardziej palących – i popularnych – problemów w debatach nad stanem świata. Badając ich źródła, naukowcy sięgają coraz głębiej w przeszłość, szukając odpowiedzi m.in. na pytanie, czy egalitarne społeczeństwa są bardziej odporne na wstrząsy polityczne.

Te zależności od lat bada Guido Alfani, profesor historii ekonomicznej na Università Commerciale Luigi Bocconi w Mediolanie i współautor artykułu o chińsko-rzymskich nierównościach (rozmowę z nim publikowaliśmy w POLITYCE 15). W 2023 r. na łamach „Nature Human Behaviour" opublikował badanie o imperium Azteków w centralnym Meksyku. Przyczyny nagłego upadku ich państwa tradycyjnie sprowadzano do wyższości technologicznej najeźdźców i swoistego fatalizmu mającego charakteryzować aztecką kulturę. Dopiero niedawno zaczęto wskazywać na nienawiść, jaką podbite przez Azteków ludy żywiły do swoich władców. Alfani znalazł jej twarde, policzalne przyczyny. Stwierdził, że imperium Azteków charakteryzowało się ogromnymi nierównościami ekonomicznymi: 1 proc. najbogatszych kontrolowało niemal 42 proc. zasobów państwa, a współczynnik ekstrakcji wynosił rekordowe 89 proc.

Aparat fiskalny tego imperium był tak drapieżny wobec peryferii, że poziom życia tamtejszej ludności oscylował tuż powyżej minimum egzystencji. Aztekowie nie wykształcili żadnych mechanizmów redystrybucji. Kiedy więc pojawili się Hiszpanie, wybuchł bunt, który zmiótł ich z kart historii.

Czy jednak nierówności zawsze prowadzą do niestabilności i upadku? Okazuje się, że nie. W 2025 r. zespół pod kierownictwem Dana Lawrence'a, profesora archeologii z Durham University, przeprowadził bardzo szeroko zakrojone badania nad tą kwestią. Dane obejmowały niemal 3 tys. stanowisk archeologicznych i 47 tys. domów na sześciu kontynentach, istniejących na przestrzeni 10 tys. lat. Z ustaleń opublikowanych w „PNAS" wynika, że osiedla, w których rozbieżności majątkowe były duże, istniały dłużej niż te o niższym poziomie nierówności. Jako miernik przyjęto tu zasadę, że większy dom oznacza uprzywilejowany dostęp do pracy, zasobów i statusu. Badanie zdaje się podważać założenie, że nierówności zawsze rodzą niestabilność, skłaniając do pytania: czy jest możliwe, że dysproporcje ekonomiczne są nieodłączną ceną rozwoju? ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ Autorzy przestrzegają przed wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków, jako że dwa zjawiska niekoniecznie muszą być wzajemnie powiązane. Są raczej wynikami tych samych szerokich procesów: rosnącej gęstości zaludnienia, technologicznej złożoności i powstawania hierarchii politycznych. Wniosek brzmi zatem nie tyle, że osady ze skrajnymi nierównościami istnieją dłużej, ile raczej, że długoterminowy sukces społeczny nie wymaga egalitaryzmu.

Już od dawna nierówności instynktownie wiązano z życiem w miastach. Fakt, że duże dysproporcje majątkowe i urbanizacja występują obok siebie bez względu na kulturę czy okres historyczny, zmusza do zastanowienia, czy to jedynie koincydencja. Opublikowane w 2025 r. na łamach „Nature Cities" badanie pozwala sądzić, że nie. Naukowcy z Max-Planck-Institut für evolutionäre Anthropologie porównali miasta w starożytnym Rzymie ze współczesnymi metropoliami i doszli do wniosku, że nierówności są niejako wpisane w „kod rozwoju" ośrodków miejskich i rosną wraz z nimi. Ponieważ jednak badanie ogranicza się wyłącznie do przykładów rzymskich, wnioski wymagają weryfikacji na szerszym materiale.

Goliat i gęsi

Badania nad nierównościami oraz mechanizmami redystrybucji nadwyżek w coraz większym stopniu stają się kluczowe dla zrozumienia „cyklu życia" imperiów. Bo czym w istocie są te wyszukane struktury polityczne? Na najbardziej podstawowym poziomie służą przecież jednemu celowi – przepompowywaniu zasobów z peryferii do centrum. Cała ideologia uzasadniająca ich powstanie i trwanie to jedynie ornament.

Najnowszym argumentem za tezą, jakoby rosnące nierówności poprzedzały społeczne załamanie, jest głośna książka Luke'a Kempa „Goliath's Curse" (Klątwa Goliata). Brytyjski naukowiec z Centre for the Study of Existential Risk przy University of Cambridge rozumuje podobnie jak Scheidel i Alfani, wykorzystując jednak nieporównywalnie szerszy materiał empiryczny. Analizuje 324 przypadki upadków państw i imperiów, od epoki brązu aż po koniec XX w. Centralną kategorią analityczną jest mechanizm, w którym rosnące koszty utrzymania rozbudowanych struktur imperium (podatki, pobór do armii, daniny w naturze) zaczynają przeważać nad korzyściami dla przysłowiowych „99 procent". Wówczas to autorytet władzy słabnie i pojedynczy wstrząs zewnętrzny (susza, epidemia, najazd) może wywołać polityczny kryzys.

Kemp przywołuje przypadki imperium Azteków, dynastii Han, Cesarstwa Zachodniorzymskiego, a nawet obecnych Stanów Zjednoczonych. Powołuje się przy tym m.in. na dane „Democracy Report" (przygotowanego przez V-Dem Institute z uniwersytetu w Göteborgu), który stwierdza, że stan amerykańskiej demokracji pogarsza się w niespotykanym dotąd tempie. Gdy rosnące nierówności skutecznie podmywają istotę demokracji przedstawicielskiej, jedno wydarzenie (nieudana wojna?) może stać się kamykiem, który poruszy lawinę.

Autor przestrzega przed jeszcze jednym niebezpieczeństwem. Skutki upadku „Goliata" w przypadku imperiów przednowożytnych miały zwykle zasięg lokalny. Regres polityczny nie zawsze oznaczał regres cywilizacyjny. Po krachu stolicę porastała dżungla (jak w przypadku imperium Khmerów w Kambodży), skupiska ludności szły w rozsypkę, mieszkańcy wracali do rolnictwa i zaczynali budować nowe, mniej złożone struktury polityczne. Dziś jednak żyjemy w jednym, globalnie splecionym ekosystemie, z którego nie ma ucieczki. Załamanie miałoby więc prawdziwie globalny charakter.

Od 250 lat, odkąd Edward Gibbon zaczął publikować pierwsze tomy „Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego", tropienie przyczyn upadku imperium stało się ulubioną dyscypliną historyków, a później innych naukowców. Kolejne pokolenia szukają przyczyn załamań, upatrując ich w upadku moralności, wewnętrznych sprzecznościach systemu, wojnach, nadmiernej eksploatacji zasobów albo zmianach klimatycznych. „Kolapsologia" jest jednak bardzo podatna na tzw. teorie srebrnej kuli, sugerujące jedno, proste wyjaśnienie bardzo złożonych problemów. To przestroga, żeby nie upatrywać w nierównościach praprzyczyny całego zła. Mogą się one jednak okazać odpowiednikiem gęsi kapitolińskich – zmienną, która przewiduje niebezpieczeństwo. Sejsmografem, który przestrzega przed nadchodzącym wstrząsem.

TOMASZ TARGAŃSKI

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 4c91f9e87c

Miłość aż po... chlup!

Wyrok na Wenecję jeszcze nie zapadł. Wciąż można ją odizolować od podnoszącego się morza. Naukowcy mają na to pomysły – mniej lub bardziej radykalne. Czy jednak pozostanie tym samym miastem?

ANDRZEJ HOŁDYS

Miasta rodzą się, rozwijają, osiągają dojrzałość, a później niektóre z nich umierają. Nie znikają jednak nagle z krajobrazu – przechodzą przez kolejne stadia rozpadu, który może trwać bardzo długo. Takie wzloty i upadki kojarzymy zwykle z odległą przeszłością badaną przez archeologów, lecz koło fortuny wciąż się toczy. Na świecie można wskazać liczne przykłady ośrodków miejskich, z których życie wyciekło całkiem niedawno. Przegrywały z wojnami, kryzysami humanitarnymi, przemianami gospodarczymi, błędami technologicznymi, a także z siłami przyrody. Pozostały domy bez mieszkańców, ulice bez przechodniów i przedmioty czekające na powrót właścicieli. Czy taki los czeka Wenecję?

„Nie istnieje optymalna strategia jej ratowania. Możemy wybierać jedynie między mniej lub bardziej radykalnymi interwencjami, mając świadomość, że łagodniejsze środki mogą okazać się nieskuteczne, jeśli poziom wody w Lagunie ▶

Pleśń na domach stała się elementem pejzażu

© ANDIA/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, DESIGN PICS/EAST NEWS

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ Weneckiej będzie szybko rósł" – mówi hydrobiolog Piero Lionello, kierujący zespołem opracowującym scenariusze ratowania miasta. Zespół ma charakter międzynarodowy i interdyscyplinarny. Tworzą go hydrolodzy, klimatolodzy, badacze stref przybrzeżnych, ekonomiści oraz hydroinżynierowie z Holandii, która od stuleci zmaga się z morzem. „My także chcieliśmy spojrzeć na przyszłość Wenecji nie w perspektywie kilku dekad, lecz 200–300 lat" – podkreśla Lionello.

W kwietniu jego grupa opublikowała pierwszą tego typu analizę w „Scientific Reports". Najbardziej radykalna propozycja zakłada przeniesienie miasta na wyżej położone tereny. Mogłoby to stać się konieczne, gdyby spełniły się najczarniejsze scenariusze klimatyczne i – wskutek topnienia lodów Antarktydy oraz Grenlandii – poziom mórz wzrósł o pięć metrów lub więcej. Prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń w najbliższych dwóch stuleciach jest niewielkie. I całe szczęście, bo byłby to kataklizm o globalnej skali – pod wodą znalazłyby się obszary zamieszkane przez setki milionów ludzi.

Trudno przewidzieć, czy w takiej sytuacji ktokolwiek zajmowałby się relokacją Wenecji, zwłaszcza że – jak oceniają naukowcy – koszt takiej operacji wyniósłby co najmniej 100 mld euro i polegałaby głównie na przeniesieniu mieszkańców (o ile wcześniej nie opuściliby miasta) i wybranych zabytków. Zniknęłoby jednak to, co najcenniejsze – niepowtarzalny krajobraz urbanistyczny wraz z tradycjami kulturowymi, stylem życia i sposobami zarobkowania żyjących tu ludzi. Pozostałoby miasto widmo, stopniowo pogrążające się w lagunie, która ostatecznie zwyciężyłaby z człowiekiem.

Wenecja od początku była raczej odpowiedzią na kryzys niż efektem planu urbanistycznego. Ok. 1,5 tys. lat temu założyli ją uciekinierzy ze stałego lądu – na mokradłach, mierzejach i wyspach szukali schronienia przed najazdami barbarzyńskich plemion z północy i wschodu. Z czasem te niegościnne tereny stały się ich domem. Jego fundamentem była Laguna Wenecka – płytka zatoka połączona z Adriatykiem trzema przesmykami. Dzięki nim nie przekształciła się w słodkowodne jezioro, lecz pozostała częścią systemu Morza Śródziemnego.

Miasto łączyła z morzem silna, lecz trudna relacja. Z jednej strony chroniło je przed najeźdźcami z lądu, z drugiej – regularnie zalewało podczas sztormów i wysokich przypływów. Najstarsza wzmianka o powodzi pochodzi z 527 r. Takie epizody nazwano *acqua alta*, czyli wysoką wodą. Wkrótce odkryto też, że dno laguny osiada, a wraz z nim powoli opadają budowle. Badania archeologiczne wykazują, że w ciągu ostatnich 4 tys. lat poziom morza wzrósł tu o ok. 5 m. Wenecjanie przebudowywali nabrzeża i podnosili poziom ulic (m.in. wielokrotnie podwyższano Plac Świętego Marka).

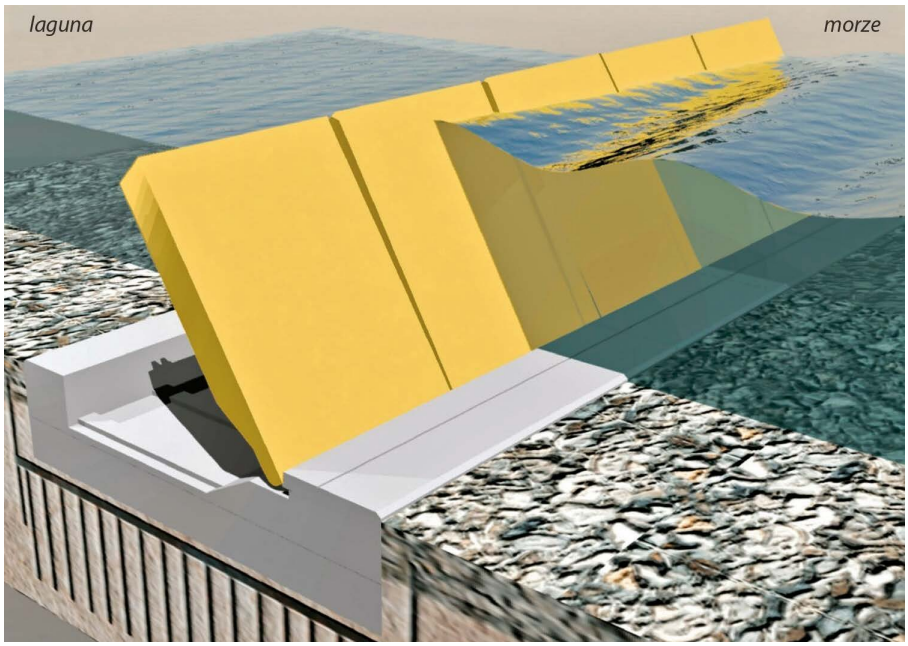

Zapory chroniące przed morską wodą trzeba uruchamiać coraz częściej

Takie korekty były możliwe, ponieważ przez długi czas zmiany zachodziły powoli. Sytuacja zmieniła się w połowie XIX w. – odtąd Wenecja zaczęła pogrążać się w lagunie dwukrotnie szybciej. Przyczyny były dwie. Pierwsza to rozwijający się w okolicy przemysł, który zaczął intensywnie pobierać wody podziemne spod laguny. Zaprzestano tego, gdy dostrzeżono skalę zagrożenia, lecz miasto zdążyło już opaść o dodatkowe 10 cm. Drugim czynnikiem był wzrost poziomu morza o 25–30 cm. Połączenie tych procesów spowodowało gwałtowny wzrost liczby powodzi. Sto lat temu syreny ostrzegające przed *acqua alta* uruchamiano średnio dziesięć razy w roku. W ostatnich dwóch dekadach – ok. 60 razy w sezonie sztormowym, czyli od listopada do lutego. Klimatolodzy ostrzegają, że każdy kolejny będzie coraz groźniejszy. Jeden z badaczy zauważył ponuro, że „za sto lat do zwiedzania Wenecji potrzebne będą nie kalosze, lecz płetwy, maska i fajka".

Po raz pierwszy pytanie, jak uratować Wenecję przed zatopieniem, zadano sobie po potężnej powodzi w listopadzie 1966 r. Poziom wody wzrósł wówczas niemal o dwa metry, a nawałnice do spółki z silnym wiatrem sirocco odcięły miasto od świata na ponad dobę. Uświadomiono sobie skalę zagrożenia, lecz nie śpieszono się z poszukiwaniem środków zaradczych. Dopiero w 1994 r. zatwierdzono projekt instalacji ruchomych barier w trzech przesmykach – nazwano go Modulo Sperimentale Elettromeccanico (MOSE). Budowa rozpoczęła się w 2003 r. i trwała prawie dwie dekady. Od pomysłu do realizacji upłynęło zatem pół wieku.

Lionello podkreśla, że właśnie długi czas projektowania i budowy obecnych barier sprowokował go do tego, by już teraz przygotować scenariusze na przyszłość. MOSE ma bowiem swoje ograniczenia. Obecnie większość obszaru Wenecji znajduje się 80–120 cm powyżej średniego poziomu wody, który podczas najwyższych przypływów rośnie nawet o metr. Gdy do tego dochodzi sztorm, ryzyko powodzi gwałtownie wzrasta. Teoretycznie bariery powinny być podnoszone tylko w sytuacjach dużego zagrożenia, ponieważ ich częste zamykanie utrudnia wymianę wody między laguną a otwartym morzem oraz żeglugę. Projekt MOSE zakładał użycie

© AFP/EAST NEWS, PAP/ EPA/ANDREA MEROLA

eprasa.pl 4c91f9e87c

Plac Świętego Marka bez tłumu turystów? Coś takiego można zobaczyć już tylko w czasie powodzi...

zapór maksymalnie dziesięć razy w roku. W praktyce w ciągu pierwszych pięciu lat uruchomiono je 108 razy, a w pierwszych dwóch miesiącach tego roku – 30 razy. Wzrost poziomu morza wymusi ich jeszcze częstsze i dłuższe zamykanie. Chyba że miasto uda się podnieść.

To jeden z poważnie rozważanych pomysłów. „Jeśli poziom mórz wzrośnie o niewięcej niż metr, takie rozwiązanie powinno uratować Wenecję. W każdym razie daje czas na przygotowanie bardziej radykalnych działań, gdyby było to konieczne" – mówi Lionello. Podniesienie miasta miałoby polegać na wtłaczaniu wody morskiej do warstw piaskowców na głębokości 600–800 m. Proces ten, prowadzony stopniowo, mógłby unieść grunt o ok. 30 cm. Niewiele, lecz dla Wenecji każdy centymetr ma znaczenie. Dodatkowe 20 cm można by uzyskać, wtłaczając wodę jeszcze głębiej. Pomysł ten zaproponował wcześniej geolog Pietro Teatini, specjalista od osiadania gruntu i jeden ze współautorów obecnej analizy. Wskazał już nawet lokalizację odwiertów wokół Wenecji, którymi wciskana byłaby woda. „Można też rozebrać niektóre budynki i postawić je ponownie na wyższych fundamentach. Całego miasta i laguny w ten sposób jednak nie uratujemy" – zauważa.

W takiej sytuacji pozostają dwa bardziej radykalne rozwiązania, mocno ingerujące w krajobraz i przyrodę. Pierwszy zakłada budowę pierścienia wałów oddzielających Wenecję od laguny. Poziom wody wewnątrz pierścienia byłby kontrolowany przez pompy. Wciąż wypełniałaby kanały, lecz nie zalewałaby miasta, chyba że doszłoby do awarii systemu lub przerwania wałów. Wówczas morze błyskawicznie wkroczyłoby do Wenecji. To jeden z minusów tego pomysłu. Innym byłoby zerwanie tysiącletnich więzi kulturowych, środowiskowych i ekonomicznych łączących Wenecję z laguną. Znikłaby ona z krajobrazu miasta, ale w zamian zachowała kontakt z morzem, a nawet wzmocniła go po usunięciu zbędnych w tym wariancie zapór MOSE. W tym scenariuszu Wenecja mogłaby przetrwać nawet przy wzroście poziomu Adriatyku o 6 m. Byłoby w tym sporo ironii losu: oto miasto, które przez stulecia pozostawało otwarte, gdy inni wznosili mury, teraz by się zamknęło. Nie przed oblegającymi wojskami, lecz przed nacierającą nań wodą.

Jeszcze dalej idzie pomysł całkowitego odcięcia laguny – budowy stałych betonowych barier w przesmykach, podwyższenia piaszczystych mierzei oddzielających zatokę od otwartego morza i instalacji pomp odprowadzających nadmiar wody opadowej i spływającej rzekami. Sto lat temu podobne rozwiązanie zastosowali Holendrzy – zmęczeni ciągłymi powodziami odcięli od Morza Północnego zatokę Zuiderzee, tworząc słodkowodne jezioro IJsselmeer, którego część przeobrazili następnie w poldery. W tym celu zbudowali tamę o długości 32 km i szerokości 90 m, dokonując oczywiście anihilacji ekosystemu dawnej zatoki morskiej.

To samo mogłoby spotkać Lagunę Wenecką. Zmieniłby się jej skład chemiczny i biologiczny, ustałyby pływy morskie. „Nikt nie chce jej poświęcać – to ostateczność" – podkreśla Lionello. Obaw związanych z takim krokiem jest wiele, choćby taka, że przy złym zarządzaniu spływające z lądu zanieczyszczenia i nawozy zmienią lagunę w cuchnące, beztlenowe bajoro, co z pewnością nie pomogłoby miastu. „Jeśli jednak poziom mórz będzie szybko rósł, za pół wieku może nie być innego wyjścia" – mówi naukowiec. Zaznacza przy tym, że byłaby to inwestycja kosztowna – wstępne szacunki mówią o 30 mld euro – i wymagająca w utrzymaniu.

Swoją drogą nasuwa się pytanie, czy za pół wieku ktoś jeszcze będzie mieszkać w Wenecji. W ostatnich dekadach liczba jej stałych mieszkańców spadła z ok. 120 tys. do mniej niż 60 tys. Każdy chciałby zobaczyć to niezwykłe miejsce, ale (prawie) nikt nie chce tu mieszkać. Miastu grozi przekształcenie w najcenniejszy na świecie skansen uratowany przed zagładą jedynie dla turystów. Dziś jednak mało kto wyobraża sobie jego porzucenie, aby woda i wiatr mogły zrobić swoje. Nie walczyć o Wenecję oznacza pozwolić jej umrzeć.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl 4c91f9e87c

Ministerstwo Zdrowia zapowiada obowiązkowe szczepienia dzieci przeciw HPV. Nie ma wątpliwości, że chronią przed rozwojem raka szyjki macicy. Tylko czy państwo sięga po właściwe narzędzie?

Zaszczepianie zaufania

PAULINA MOZOLEWSKA

Wirus brodawczaka ludzkiego odpowiada za niemal wszystkie przypadki raka szyjki macicy. W Polsce tę diagnozę słyszy co roku ok. 3 tys. kobiet. Ponad połowa pacjentek umiera. To jedne z najgorszych wyników w Unii Europejskiej. A mogłoby być znacznie lepiej. Po pierwsze, dzięki profilaktyce. Diagnozę umożliwiają proste badania: cytologia – od 2025 r. także płynna – i testy HPV. Z danych Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) wynika, że w Polsce z tych badań przesiewowych korzysta zaledwie ok. 11 proc. kobiet, podczas gdy średnia dla krajów europejskich przekracza 50 proc.

Drugim elementem chroniącym przed nowotworem szyjki macicy są szczepienia przeciw HPV. Od 1 czerwca 2023 r. są w pełni refundowane dla dzieci w wieku 9–14 lat (także chłopców – ze względu na możliwość wystąpienia raka prącia, odbytu oraz nowotworów głowy i szyi). Skorzystało z nich do tej pory zaledwie kilkanaście procent uprawnionych. Państwo uznało więc, że czas na bardziej zdecydowany krok. Od 1 stycznia 2027 r. szczepienia przeciw HPV mają stać się w Polsce obowiązkowe dla dzieci urodzonych od 2018 r., czyli dziewczynek i chłopców w wieku 9–15 lat. Program podtrzymuje dotychczasowy schemat dwudawkowy, a szczepienia mają być bezpłatne i dostępne w podstawowej opiece zdrowotnej.

Jak tłumaczy Ministerstwo Zdrowia, decyzja o wprowadzeniu obowiązku zapadła po – nieudanych – próbach zwiększenia wyszczepialności. Obowiązek – argumentuje – poprawi skuteczność programu i pozwoli realizować cele Narodowej Strategii Onkologicznej. Jednocześnie resort stwierdza, że będzie on egzekwowany analogicznie do innych szczepień. W przypadku odmowy placówka medyczna będzie powiadamiać sanepid, a następnie mogą zostać wszczęte procedury mające na celu wyegzekwowanie tego obowiązku. Ostatecznym środkiem przymusu jest grzywna nakładana na rodziców: jednorazowo do 10 tys. zł, a w przypadku „recydywistów" – do 50 tys. zł.

Skuteczność szczepionek przeciw HPV nie budzi dziś żadnych poważnych wątpliwości w środowisku naukowym. Ich profil bezpieczeństwa jest bardzo dobrze udokumentowany. Najczęstsze działania niepożądane są łagodne – to głównie ból w miejscu wkłucia czy krótkotrwałe objawy ogólne, takie jak gorączka, ból mięśni, bóle głowy, nudności, zmęczenie. W krajach, które wdrożyły szerokie programy szczepień, liczba zakażeń onkogennymi typami wirusa, zmian przednowotworowych i zachorowań zaczęła wyraźnie spadać.

– *Nie rozmawiamy więc o tym, czy szczepienia mają sens. Mają, i to jest poza dyskusją. Chodzi o to, żeby polityki publiczne były racjonalne i przejrzyste* – mówi prof. Łukasz Balwicki z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, konsultant krajowy w dziedzinie zdrowia publicznego. Za problematyczny można uznać sposób

© MELNIKOV DMITRIY/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4c91f9e87c

podejmowania decyzji i granice ingerencji państwa. To ważne zastrzeżenie. Bo spór o przymus bardzo szybko wpada w dobrze znane koleiny i ludziom przykleja się łatki: jesteś „za nauką" albo „po stronie antyszczepionkowców".

– *W zdrowiu publicznym* – tłumaczy dr Agata Janaszczyk z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, badaczka etyki zdrowia publicznego – *rzadko mamy do czynienia z wyborami, które można jednoznacznie uznać za moralnie dobre albo moralnie złe.*

W przypadku szczepień przeciw HPV na jednej szali leży interes wspólnoty, czyli ograniczenie liczby zachorowań, zmniejszenie kosztów leczenia (sięgających ok. 28 tys. zł na jedną pacjentkę) i realna szansa na niemal całkowite wyeliminowanie jednego z nowotworów. Na drugiej autonomia jednostki, która – jak podkreśla dr Janaszczyk – ma swoje prawa, wartości i przekonania. Takie podejście znajduje odzwierciedlenie m.in. w Kodeksie etyki zdrowia publicznego.

Zanim zatem państwo sięgnie po przymus, powinno zadziałać inaczej: jasno określić cel, dobrać adekwatne środki i przeanalizować nie tylko korzyści. – *W przypadku szczepień najpierw trzeba sprawdzić, czy można osiągnąć cel innymi metodami: ułatwieniami, zmianą organizacji, komunikacją, realną edukacją. Jeśli to nie działa, wtedy dopiero sięgamy po narzędzia bardziej restrykcyjne* – wyjaśnia dr Janaszczyk.

Dane z ostatnich lat pokazują, że w Polsce – wbrew alarmistycznym narracjom – nie obserwujemy gwałtownego wzrostu odmów szczepień. Z danych Głównego Inspektoratu Sanitarnego wynika, że do końca lipca 2025 r. wszystkie obowiązkowe szczepienia zostały zrealizowane na poziomie 89–95 proc. Z dobrowolnych szczepień na Covid-19 w latach 2020–23 skorzystało zaś ok. 60 proc. Polaków. System wciąż działa, ale w delikatnej równowadze. – *To nie jest tak, że mamy masowy bunt przeciw szczepieniom. Trzeba bardzo uważać, żeby tego nie zepsuć.*

Spór o obowiązkowe szczepienia przeciw HPV dotyczy więc czegoś więcej niż jednej decyzji. Także tego, jak państwo rozumie swoją rolę i relację z obywatelem. Bo zdrowie publiczne zawsze będzie poruszać się między tym, co wspólne, a tym, co indywidualne. Między ochroną a autonomią. Tego napięcia nie da się usunąć. Można nim tylko mądrze zarządzać. Eksperci sugerują, że właśnie tego etapu w polskiej debacie często brakuje. Decyzje zapadają, zanim ktoś zdąży je naprawdę przeanalizować.

Są kraje, na których można się wzorować. Najczęściej przywoływanym przykładem jest Australia, która jako jedno z pierwszych państw wprowadziła powszechne szczepienia przeciw HPV. Program ruszył w 2007 r., początkowo obejmując dziewczęta, a kilka lat później i chłopców. Szczepienia zaczęto przeprowadzać w szkołach. Były bezpłatne, łatwo dostępne i wpisane w system, który nie wymagał od młodzieży i rodziców szczególnego wysiłku. Zgody rodziców zbierano wcześniej na prostych formularzach.

Po drugie, wysyłano zaproszenia, organizowano dodatkowe sesje w przychodniach oraz mobilne punkty szczepień (np. w centrach handlowych lub specjalnych autobusach).

Efekty przyszły szybciej, niż się spodziewano. W ciągu kilkunastu lat liczba zakażeń najbardziej onkogennymi typami wirusa spadła o kilkadziesiąt procent, a częstość występowania zmian przednowotworowych i brodawek płciowych nawet o ponad 90 proc. w młodszych grupach wiekowych. Dziś Australia jest na dobrej drodze, by jako pierwszy kraj na świecie praktycznie wyeliminować raka szyjki macicy jako problem zdrowia publicznego.

Podobny schemat widać w krajach europejskich o najwyższej wyszczepialności. W Szwecji, Danii, Norwegii czy Wielkiej Brytanii odsetek zaszczepionych nastolatków przekracza 90 proc. To poziom, który pozwala mówić nie tylko o ochronie indywidualnej, ale też o realnym ograniczeniu krążenia wirusa w populacji. W tych krajach szczepienia przeciw HPV również oparto na rozwiązaniach systemowych: programach szkolnych, pełnej refundacji, aktywnej komunikacji z rodzicami i stałym monitorowaniu efektów. Decyzja o szczepieniu jest tam oczywista.

– *My skupiamy się na tym, czy ludzie chcą się szczepić, zamiast na tym, czy stworzyliśmy im realne warunki, żeby mogli to zrobić. Jeżeli coś jest trudne logistycznie, wymaga wysiłku, czasu, organizacji, to naturalne jest, że część ludzi tego nie zrobi* – zauważa prof. Balwicki. Tę tezę wspierają także inne doświadczenia. W minionym sezonie grypowym zaszczepiono ok. 2,3 mln osób – prawie jedną trzecią więcej niż rok wcześniej. Skąd taki skok? Zadziałało wprowadzenie możliwości szczepienia w aptekach, bez konieczności umawiania wizyty u lekarza. Analizy wskazują, że nawet co trzecia dawka szczepionki przeciwko grypie została podana właśnie w tych placówkach.

Jak jednak wskazuje Ministerstwo Zdrowia, „możliwość realizacji szczepień w aptekach nie obejmuje dzieci", dlatego rozwiązanie to nie mogło zostać zastosowane w tej grupie wiekowej. Na pytanie o rolę szkół resort odpowiada, że system szczepień w Polsce nadal opiera się przede wszystkim na podstawowej opiece zdrowotnej. I owszem, szczepienia mogą być realizowane także w obiektach edukacyjnych, ale odbywa się to we współpracy z POZ, który pozostaje głównym organizatorem i koordynatorem programu.

W Polsce szczepienie przeciw HPV nie jest „oczywiste" w taki sposób, jak szczepienia przeciw chorobom zakaźnym wieku dziecięcego. Dotyczy wirusa przenoszonego drogą płciową, wymaga więc edukacji seksualnej. Ona zaś wciąż jest polem konfliktu światopoglądowego, więc szkoła, która w wielu krajach jest kluczowym miejscem budowania świadomości zdrowotnej, w Polsce wciąż pełni tę funkcję w ograniczonym zakresie (POLITYKA 17).

Bez podstawowej wiedzy o zdrowiu, ryzyku i profilaktyce idea szczepienia przeciw HPV jest dla wielu rodziców i nastolatków niezrozumiała, a niekiedy wręcz budzi niepokój. Specyfika szczepień przeciwko HPV polega także na tym, że ich pozytywne skutki zdrowotne są znacząco odłożone w czasie (do zakażeń i zachorowań dochodzi w dorosłości).

Prof. Balwicki zastanawia się, dlaczego to właśnie ten obszar, czyli szczepienia przeciw HPV, stał się tak pilny dla Ministerstwa Zdrowia. Dla porównania sięga po przykład z innego kontekstu. Wskazuje, że w Polsce co roku z powodu chorób odtytoniowych umiera ok. 70 tys. osób. To wielokrotnie więcej niż liczba zgonów z powodu raka szyjki macicy. A jednak państwo nie zmusza do rzucenia palenia. – *To pokazuje, jak ostrożnie zwykle podchodzi się do ograniczania wolności jednostki, nawet wtedy, gdy stawka zdrowotna jest ogromna* – zauważa.

Eksperci zwracają szczególną uwagę na to, że nadmierny przymus może uruchomić mechanizm obronny nie tylko wobec jednego szczepienia, ale wobec całego systemu. Więc może jednak model australijski? ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Amazonki i inne niepokorne

O kobietach w greckiej mitologii – silnych, groźnych, niepoddających się kontroli – opowiada dr hab. Aleksandra Klęczar.

Ranna Amazonka, rzymska kopia z II w. n.e. rzeźby greckiej

© ALAMY/BE&W

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Mity greckie to bardziej opowieści religijne, literatura, a może sposób opisywania świata?**

ALEKSANDRA KLĘCZAR: – Wszystko naraz. Grecy stworzyli zbiór opowieści tłumaczących, skąd wzięła się otaczająca ich przyroda, np. źródło czy gaj, i jakie były początki znanych im zwyczajów. Świat był bardziej oswojony, gdy góra stawała się miejscem zamieszkania boga, który miał dzieci. W ten sposób dzięki mitowi przyroda, krajobraz i codzienność zostawały wpisane w większy porządek. Ale my te mity znamy głównie dzięki artystom, którym służyły jako tworzywo. Historia o przykutym do skały Prometeuszu w ujęciu Ajschylosa to refleksja nad ceną wiedzy, naturą władzy Dzeusa i relacją ludzi z bogami.

Mity nie były dogmatami, więc twórcy robili z nimi, co chcieli, nie bojąc się oskarżenia o świętokradztwo.

Stąd ich parodie. Arystofanes w „Żabach" mógł sobie pozwolić na przedstawienie boga Dionizosa jako tchórzliwego safanduły i pijaka, a Eurypides nudnemu mitowi genealogicznemu o patronie plemienia Jonów dodał w tragedii „Ion" dramaturgię i psychologiczną głębię, pisząc przejmującą historię Kreusy zgwałconej przez Apollona, która w tajemnicy przed rodzicami urodziła syna Iona i porzuciła go, a boski ojciec bez jej wiedzy przyszedł dziecku na ratunek. Plastyczność mitów sprawia, że wielu bogów jest niejednoznacznych. Weźmy Erosa. Według Hezjoda jest on wyłaniającą się z chaosu sił kosmicznych mocą przyciągania, inni widzieli w nim psotnego amorka z łukiem i strzałami, bawiącego się ludzkimi uczuciami. Mity doskonale radzą sobie z takimi sprzecznościami. Dlatego nie dziwią mnie i cieszą ich współczesne interpretacje, bo pokazują, że opowieści Greków nadal żyją i są potrzebne.

Feministyczne *retellingi*, jak powieści „Penelopiada" Margaret Atwood czy „Kirke" Madeline Miller, są trochę odpowiedzią na fakt, że kobiety w mitologii greckiej często pozostawały na drugim planie – jako żony, kochanki i matki bohaterów.

Kobiety działały w świecie patriarchalnym i nie mogły uciec od swojego statusu, więc przekraczanie granicy między sferą

eprasa.pl 4c91f9e87c

męską i kobiecą zdarzało się rzadko i miało swoją cenę. Bywały jednak bohaterkami jako wojowniczki, mamy Atenę, boginię strategii i taktyki wojennej, która pokonała Aresa, ucieleśnienie bezmyślnej wojennej przemocy; łuczniczkę Artemidę, a nawet śmiertelniczkę Atalantę, jedyną uczestniczkę wyprawy Argonautów po Złote Runo. Drugą grupą bohaterek były władczynie, z tym że Grecy kiepsko sobie z nimi radzili.

Drażniły ich zwłaszcza Amazonki, wojowniczki, które nie tylko walczyły, ale też rządziły się same, funkcjonując poza greckim modelem społecznym.

A to budziło jednocześnie lęk i fascynację, dlatego wielu bohaterów mitologii greckiej chciało okiełznać Amazonkę, ożenić się z nią. Marzył o tym słynący z licznych romansów Tezeusz, a według niektórych wersji Achilles zakochał się w królowej Pentezylei w momencie, gdy zabijał ją pod Troją. Triumf nad silną i niezależną Amazonką był fantazją o ujarzmieniu tego, co wymyka się kontroli.

Tylko że Grecy chyba wierzyli w to, że Amazonki faktycznie żyją?

Brali pod uwagę, że mogły mieszkać gdzieś na wschodnich obrzeżach znanego im świata, stąd opisywali spotkania z nimi niektórych postaci historycznych. Wedle legendy Aleksander Wielki napisał do królowej Amazonek z żądaniem, aby mu się podporządkowała, inaczej wypowie wojnę. Odpisała, że jeśli z nimi przegra, świat będzie się śmiał, że pokonały go kobiety, jeśli zaś wygra – że uznał walkę z kobietami za godną chwały. Później pojawił się jeszcze wątek romansu między nimi, choć już wielu antycznych autorów traktowało tę historię bardziej jako literacką fantazję niż fakt historyczny.

Poza wojowniczkami ważną grupą kobiet są matki rodów. Opowieść o nich skupia się na macierzyństwie, niechcianych lub ukrywanych ciążach, bo seksualność kobiet była w Grecji ściśle kontrolowana przez mężczyzn.

Owszem, ale są też mity, które opowiadają o boginiach i nimfach biorących sobie młodego śmiertelnego kochanka, jak Selene (utożsamiana z Artemidą) pasterza Endymiona czy Afrodyta Adonisa. Jest też romantyczny mit o Dafnisie, który przysięga wierność zakochanej w nim nimfie, ale gdy inna kobieta upija go i wykorzystuje, wściekła kochanka za zdradę karze go ślepotą, doprowadzając do samobójstwa. Fakt, że został uwiedziony podstępem, nie stanowi dla niej okoliczności łagodzącej. Gdy Kalipso zaoferowała Odyseuszowi nieśmiertelność i wieczną młodość w zamian za zostanie jej mężem, wygłosił on mowę, że nie jest bezpiecznie dla śmiertelnika związać się z boginią.

Śmiertelniczki też nie wychodziły najlepiej na kontaktach z bogami. Zresztą miłość między nimi też nie była łatwa, czego dowodem jest jej patronka – Afrodyta. Jej małżeństwo z Hefajstosem należy chyba do najmniej udanych na Olimpie?

Dzeus, aby naprawić swoje złe relacje z Hefajstosem – synem odrzuconym, kulawym, ale genialnym rzemieślnikiem i twórcą broni oraz biżuterii – dał mu za żonę Afrodytę, o której rękę starali się wszyscy bogowie. Ten zaaranżowany związek był wyjątkowo niedobrany i bezdzietny. Co ciekawe, w „Iliadzie" żoną Hefajstosa jest Charis – jedna z bogiń wdzięku i niektórzy mitografowie twierdzą, że miał z nią udany związek i potomstwo. Natomiast w „Odysei" jest słynna scena, w której zazdrosny i upokorzony Hefajstos łapie Afrodytę i Aresa in flagranti i wystawia ich na widok publiczny.

Afrodyta miała wielu kochanków, ale Ares uważany był za najważniejszego z nich i mieli kilkoro wspólnych dzieci.

Rzymianie zrobili z nich po prostu parę i bardzo często przedstawiali w sztuce, ponieważ Afrodyta jako Wenus była matką Eneasza, praprzodka Rzymian, a Ares jako Mars – ojcem Romulusa, założyciela Rzymu. W ten sposób stali się boską parą patronującą Rzymowi. To też przykład, że Rzymianie przejmowali mity greckie, ale mocno je przetwarzali, często łagodząc naturę greckich bóstw. Dlatego Kronos, ponury bóg pożerający własne dzieci, staje się Saturnem – patronem dostatku, złotego wieku i Saturnaliów, święta zabawy oraz odwrócenia ról społecznych.

Saturnalia, a w jeszcze większym stopniu greckie święta dionizyjskie były rzadkimi chwilami kontrolowanego odwrócenia porządku społecznego i płciowego.

Literatura grecka posługująca się mitem pokazuje, że pewnych rzeczy „się po prostu nie robiło", ale to dotyczyło też mężczyzn. Kiedy tebański król Penteusz przebrał się za namową Dionizosa w kobiecy strój, żeby podglądać kobiety podczas tajnych obrzędów dionizyjskich, został przez nie żywcem rozszarpany za to, że wkroczył w ich świat. Ale uwaga – w tekstach istnieje silne napięcie między tym, co dzieje się w micie, a tym, co rozgrywa się w rzeczywistości, bo bohaterkom mitycznym wolno było znacznie więcej niż Greczynkom. Jednak nawet opowieści o mitycznych królowych, wojowniczkach i innych samodzielnych kobietach ujawniają pewien niepokój – gdy przejmują one męskie kompetencje, płacą za to samotnością lub szaleństwem lub przedstawiane są jako okrutne i bezwzględne.

Jak Klitajmestra?

Chociażby. Przecież razem z kochankiem Aigistosem zabiła swojego męża Agamemnona, gdy ten wrócił spod Troi. Formalnie królem był potem Aigistos, ale Ajschylos bardzo wyraźnie sugerował, że rządziła Klitajmestra, nazywając ją „kobietą o męskim sercu", co nie było komplementem. Kobiety mogły być dzielne, silne, skuteczne, ale jeśli stawały się zbyt męskie, Grekom się to wyraźnie nie podobało. Wyjątkiem były oczywiście boginie, a zwłaszcza Atena, która nie do końca mieści się w kobiecym wzorcu. Była to ukochana córka Dzeusa, narodzona z jego głowy po połknięciu Metis, bogini rozumu. Jako syn wedle przepowiedni stałaby się jego rywalem, natomiast jako córka mogła łączyć męskie i kobiece cechy. Dlatego patronuje z jednej strony strategii wojennej i mądrości, z drugiej zaś arcykobiecemu tkactwu. Jest więc postacią paradoksalną. Podobnie Hestia – bogini domowego ogniska, a zarazem ładu, mediacji i wspólnoty politycznej. Gdybym miała wskazać kandydatkę na patronkę mądrze prowadzonej polityki, to wybrałabym Hestię.

W ikonografii Atena ukrywa biust pod zbroją, jest postawna i umięśniona. Mimo to bierze udział w konkursie piękności i zajmuje się tkactwem. W dzisiejszym języku można by powiedzieć, że ma w sobie coś transgenderowego.

Nie chcę oczywiście przypisywać Atenie współczesnej tożsamości transpłciowej, ale w moim *retellingu* mogłabym ją bez trudu uczynić postacią płynną płciowo. Swoją drogą w mitologii pojawia się wątek zmiany płci i to w bardzo starej opowieści o Kajneusie. Urodził się jako kobieta, Kainis. Gdy Posejdon ją zgwałcił, obiecał w ramach zadośćuczynienia spełnić jedno życzenie. Dziewczyna zażyczyła sobie zostać mężczyzną, aby już nigdy nikt jej nie skrzywdził. Stała się herosem o skórze, której nie przebijało żelazo. W niektórych wersjach mitu po śmierci z rąk centaurów wróciła w zaświatach do kobiecej postaci, co wydaje się znaczące.

Nie zmienia to faktu, że etyka świata greckiego była zupełnie inna od naszej. Weźmy choćby Antygonę, którą ukarano ▶

eprasa.pl 4c91f9e87c

Dr hab. **Aleksandra Klęczar** jest filolożką klasyczną z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Specjalizuje się w literaturze greckiej i rzymskiej, recepcji antyku oraz współczesnych reinterpretacjach mitów. Jest tłumaczką i autorką książek oraz artykułów poświęconych mitologii greckiej, kulturze popularnej i fantasy.

▶ za pochowanie brata, ponieważ złamała zakaz króla Kreona i przedłożyła obowiązek wobec rodziny oraz praw boskich nad prawo państwa.

Bo to, co nam wydaje się oczywistą niesprawiedliwością, dla starożytnych mogło być słuszną karą wynikającą z naruszenia porządku boskiego, rodzinnego czy społecznego, więc uzasadnioną w mentalności i moralności Greków. Dobrym przykładem jest Meduza. Najbardziej znana dziś wersja mówi, że została ona zgwałcona przez Posejdona w świątyni Ateny, za co ta ukarała ofiarę za skalanie jej siedziby, zamieniając ją w potworzycę. Choć istniały też inne warianty tego mitu, współczesne dopatrywanie się w Meduzie ofiary przemocy i patriarchatu jest jak najbardziej uprawnione. Zresztą kobiety w mitach bardzo często płacą cenę za konflikty, ambicje i wojny prowadzone przez mężczyzn. Najdobitniej pokazuje to Eurypides w „Trojankach", których bohaterki – Hekabe, Andromacha, Poliksena – dowiadują się, że po klęsce Troi czeka je niewola i śmierć dzieci. Swoją drogą to doświadczenie pozostaje aktualne w przypadku każdej wojny.

Akurat w tej trojańskiej poszło o kobietę. Czy ta mityczna Helena była tylko pięknym przedmiotem sporu?

Córka śmiertelniczki Ledy, którą Dzeus uwiódł pod postacią łabędzia, bywa ofiarą, uwodzicielką, sprawczynią katastrofy, ale i mądrą oraz gospodarną czarodziejką. U Homera rozpoznaje Odyseusza, gdy ten zakrada się do Troi, i nie wydaje go Trojanom, a po wojnie wraca do Menelaosa. Gdy w trakcie spotkania wojowników rozmowa schodzi na smutne wspomnienia wojenne, przygotowuje magiczny napój, by rozluźnić atmosferę i przywrócić spokój, co pasuje do gospodyni i stratega, a nie kobiety trofeum. Podobnie Penelopa, która przez 20 lat utrzymuje równowagę w Itace, lawiruje między zalotnikami, chroni majątek i pozycję syna. Odyseusz ma partnerkę równą sobie pod względem inteligencji, sprytu i zdolności przetrwania. Zresztą już w starożytności pojawiła się hipoteza, że „Odyseja" mogła zostać stworzona przez kobietę. Miałoby o tym świadczyć mniejsze zainteresowanie wojną niż w „Iliadzie", subtelna psychologia relacji, liczne odniesienia do życia codziennego, tkactwa i domu, ale także niezwykle bogaty świat kobiecych bohaterek, Penelopa, która tka i pruje całun, jest jedną z nich. Kobiety utrudniały Odyseuszowi powrót do domu, ale jednocześnie bez nich nigdy nie wróciłby na Itakę.

Jedną z nich była czarodziejka Kirke.

Czarodziejki to kolejna grupa kobiet, z którymi Grecy musieli się liczyć, bo wiedziały więcej, znały tajemnice natury, leków, trucizn i zaklęć. Kirke i Medea są groźne i fascynujące, ale to nie są zwykłe śmiertelniczki – mądrość i czary mają właściwie we krwi. Kirke rzeczywiście zatrzymuje Odyseusza na swojej wyspie, ale gdy bohater przypomina sobie o Itace, pozwala mu odejść, planuje mu podróż do Hadesu, ostrzega przed syrenami i tłumaczy, jak ominąć Scyllę i Charybdę. Medea z kolei, rażona strzałą Erosa, zakochuje się w Jazonie i pomaga mu zdobyć Złote Runo, zdradzając własną rodzinę. Gdy jednak zostaje porzucona dla młodszej rywalki, odpowiada zemstą straszną: zabija nową żonę Jazona i własne dzieci. Uchodzi przez to za jedną z najbardziej przerażających bohaterek antyku, choć dziś często uważa się ją za kobietę zdradzoną, wykluczoną i doprowadzoną do psychicznej katastrofy.

W mitach są różne rodzaje relacji miłosnych, ale tych romantycznych jak na lekarstwo.

Za największego romantyka uchodził oczywiście Orfeusz, który zszedł po Eurydykę do Hadesu, a po jej utracie unikał kobiet, aż odrzucone przez niego czcicielki Dionizosa rozszarpały go. We współczesnych *retellingach* najmodniejszym bohaterem romantycznym jest Hades, który doskonale wpisuje się w figurę mrocznego outsidera, całe życie kochającego tylko jedną kobietę. I rzeczywiście, jeśli porównamy go z Dzeusem, Posejdonem czy Apollonem, pan zaświatów wypada jako mąż zaskakująco stabilny. Współczesna kultura ma jednak zasadniczy problem – mit zaczyna się od porwania Persefony. Dlatego dzisiejsze wersje przerabiają to na ucieczkę zakochanych, bunt córki przeciw matce albo romans od początku oparty na zgodzie.

Potrzebujemy czułości, a nie przemocy – on, ona, pies Cerber i miseczka granatów na stole.

Mitologia grecka pozwala na wszystko, każda epoka bierze z niej to, czego akurat potrzebuje, dlatego wciąż do niej wracamy. Wystarczy spojrzeć na kino, seriale, literaturę, gry komputerowe, język. Od pięty Achillesa po syreni śpiew, od superbohaterów po *retellingi* o Hadesie i Persefonie. Grecy i ich mitologia stale zamieszkują naszą wyobraźnię. I nic nie wskazuje na to, by mieli się wyprowadzić.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© FACEBOOK

REKLAMA

Mitologia kształtująca od czasów Homera europejską kulturę znów inspiruje współczesność: literaturę, kino, seriale, gry, a nawet media społecznościowe.

Z tym wydaniem Pomocnika Historycznego zapraszamy na Olimp do świata bogów, herosów i opowieści, które od tysięcy lat nie przestają fascynować.

Kupując je w druku na stronie sklep.polityka.pl lub w ramach subskrypcji cyfrowej polityka.pl, wspierają Państwo dziennikarstwo POLITYKI.

KUP TERAZ

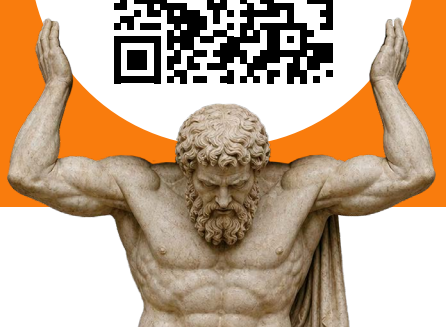

eprasa.pl 4c91f9e87c

Podróż z Marianem

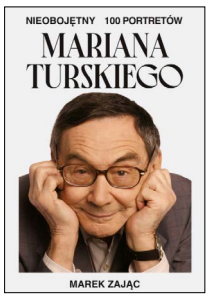

Ukazała się książka o naszym redakcyjnym koledze Marianie Turskim. Autor Marek Zając zebrał wspomnienia przyjaciół, i poważne, i zabawne, i stworzył z nich wielowymiarowy portret. Zamieszczamy fragment.

Jest grudzień 2024 roku, odwiedzam Mariana w jego mieszkaniu. Fizycznie niknie w oczach, jakby zmalał i zapadł się do środka, ale umysł ma wciąż jak brzytwa. Rozmawiamy o tym, co w Polsce i na świecie.

– To mi przypomina początek lat trzydziestych – stwierdza Marian bez patosu i histerii, ale poważnie. Nigdy nie rzucał słów na wiatr, zawsze ważył zdania. Teraz brzmi jak prorok ze Starego Testamentu, jak Eliasz albo Jeremiasz, który nie tyle przepowiada przyszłość, ile przenikliwie patrzy na teraźniejszość. Widzi więcej, głębiej, dalej.

Co na to powiedzieć? Nie mówię nic, a Marian ni to kontynuuje, ni to zmienia temat: – Mam już gotowe przemówienie do Auschwitz. Ale ci nie pokażę. Chcę, żebyś to usłyszał tam.

Czy usłyszę? Mariana wyniszcza śmiertelna choroba. Ujawniła się niedawno i niespodziewanie. Rozwija się błyskawicznie. Przez następne kilka tygodni wydaje się, że przy życiu utrzymuje go wyłącznie nadzieja, że 27 stycznia 2025 roku, podczas obchodów osiemdziesiątej rocznicy wyzwolenia Auschwitz, po raz ostatni przemówi do świata. On wie, że to naprawdę będzie ostatni raz. Na naszych oczach toczy się walka życia ze śmiercią, woli z biologią.

W przeddzień obchodów, w niedzielę 26 stycznia, drżymy, jak zniesie podróż z Warszawy do Oświęcimia. Po południu dzwonię do przyjaciela: – Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy jutro będzie w stanie przemawiać.

Wieczorem w wąskim gronie organizatorów ćwiczymy różne warianty – jak będzie potrzebny wózek; jak Marian samodzielnie nie dokończy wystąpienia; jak zasłabnie przy mównicy.

Marian Turski z prezydentem USA Barackiem Obamą w maju 2011 r.
Poniżej: **w muzeum POLIN w 2014 r.**

W końcu przychodzi osiemdziesiąta rocznica. W największym w historii Europy namiocie – obejmującym cały budynek Bramy Śmierci w Birkenau, trzy tysiące gości z całego świata, sześć koronowanych głów państw i dwudziestu prezydentów, o premierach i ministrach już nawet nie wspominając. Transmisję ogląda minimum siedemset pięćdziesiąt milionów ludzi. Ale najważniejszych jest ponad pięćdziesięcioro Ocalałych z Auschwitz. Została ich garstka. Wśród nich – Marian. Bardzo słaby, pod troskliwą opieką córki Joanny.

Co powie?

Jego wystąpienie z siedemdziesiątej piątej rocznicy odbiło się globalnym echem i weszło do kanonu najważniejszych przemówień przełomu tysiącleci. Słowa o jedenastym przykazaniu – „nie bądź obojętny" – i fraza, że „Auschwitz nie spadło z nieba", weszły do potocznego języka i kulturowego dziedzictwa.

Ale przez kolejne pięć lat trudno było się oprzeć wrażeniu, że świat nie chciał tego słuchać. Przeciwnie: świat oszalał. Zbrodnicza wojna przeciwko Ukrainie, rzeź z 7 października i krwawa wojna w Strefie Gazy, konflikty na Bliskim Wschodzie, niespotykana od dziesięcioleci fala antysemityzmu, coraz głębsze podziały w wielu krajach i społeczeństwach, sukcesy populistów grających na najniższych instynktach, rozpad powojennego ładu światowego, słabnąca demokracja...

Co nam dziś powie Marian Turski?

Jako prowadzący obchody zapowiadam jego wystąpienie i widzę, że nie może się podnieść z miejsca. Podchodzę, wspólnie z córką pomagamy Marianowi wstać.

„Będzie ciężko" – myślę. Ale z każdym krokiem w Mariana wstępuje siła. Staje przy mównicy.

Ma dziewięćdziesiąt osiem lat. Ale młodszym od siebie chce dać siłę i nadzieję.

Drodzy przyjaciele, od co najmniej dwóch tysięcy lat naszej cywilizacji towarzyszy wizja apokalipsy. Oto pojawiają się czterej jeźdźcy apokalipsy: wojna, zaraza, głód i śmierć. Ludzie są porażeni strachem, sparaliżowani tym strachem. Czują się całkowicie bezradni.

Co robić?

Chciałbym tutaj zacytować pieśń, którą na pewno wielu z was rozpoznałoby, gdybym ją zanucił. Nie ma obawy. Nie będę śpiewał. Ale chcę zwrócić uwagę na tekst, tekst niesłychanie inspirujący. Tekst, którego autorem jest Rabi Nachman z Bracławia, ale znany bardziej jako Rabi Nachman z Humania, ponieważ tam kazał się pochować między grobami Ofiar pogromu: „Cały nasz świat, świat, nasz świat, jest niczym bardzo wąski pomost. / A co najważniejsze: Nie bać się wcale!".

●

Mózg Mariana Turskiego przypominał serwer, na którym zapisywała się i magazynowała pamięć XX wieku. I to w różnych ▶

© PETE SOUZA/WHITE HOUSE/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ wymiarach, także pamięć językowa. Marian jak z rękawa sypał słownictwem, powiedzeniami i powiedzonkami, które zanikły wraz z upływającym czasem i rozpadem dawnych mikroświatów – żydowskiego, kresowego, galicyjskiego...

Ilustruje to historia związana ze słabością Mariana do słodyczy. Kiedy przychodził do swego pokoju w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, lubił zaglądać do pomieszczenia naprzeciwko, w którym pracował Michał Trębacz. Zwykle poczęstować się tam można było łakociami. Ale tym razem na talerzyku leżało jedno jedyne, ostatnie ciasteczko. Nastąpiła chwila ciszy, pełna napięcia i wahania, bo Marian wyraźnie się ze sobą zmagał. W końcu jednak zawyrokował: – *Ostatniego to nawet k...a galicyjska nie bierze!*

●

To musiał być 1985 rok. Teresa Torańska zakończyła pracę nad swoim opus magnum, czyli książką *Oni*, serią rozmów z komunistycznymi dygnitarzami.

Rękopis trafił tylko do trzech osób, tworzących wąskie grono zaufanych recenzentów. Wśród nich był Marian. Długo jednak się nie odzywał, Torańska czekała w coraz większym zniecierpliwieniu. Niepodziewanie, tuż przed Wielkanocą, dzwoni telefon.

– *Musimy się natychmiast zobaczyć* – mówi Marian tonem nieznoszącym sprzeciwu. – *Czekam na panią u siebie w mieszkaniu.*

Cóż było robić.

Torańska przyszła do mieszkania Mariana. Siedzi, a milczący Marian chodzi w tę i we w tę. Torańska myśli sobie: „Nie jest dobrze, książka się nie spodobała...". Wreszcie Marian się zatrzymuje i przeszywa Torańską wzrokiem.

– *Proszę pani, ja bym to napisał mądrzej. Ale pani to zrobiła lepiej.*

●

Tę historię usłyszałem od aktora Michała Żebrowskiego, który od czasów szkolnych przyjaźni się z Rafałem Trzaskowskim.

28 kwietnia 2025 roku, przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, odbyła się debata zorganizowana przez „Super Express", w której pytania zadawali nie dziennikarze, ale kandydaci – sobie nawzajem. W pewnym momencie naprzeciw siebie stanęli Rafał Trzaskowski i Grzegorz Braun, który zaczął wygłaszać haniebne nonsensy o „marginalizacji narodu polskiego przez proces ukrainizacji i judaizacji".

– *Parę dni temu był pan oflagowany tym żydowskim żonkilem, tym znakiem hańby i podległości* – prowokował Braun, nawiązując do symbolu pamięci o getcie warszawskim.

– *O czym pan mówi?! Jakiej hańby?!* – wybuchnął Trzaskowski. – *To było powstanie w getcie! O czym pan opowiada?! To są bohaterowie naszej historii! Coś nieprawdopodobnego, ja tego nie będę słuchał!*

Tracąc resztki panowania, prezydent Warszawy demonstracyjnie odwrócił się do Brauna plecami i gniewnym krokiem odszedł od pulpitu.

Po debacie powiedział z uśmiechem Żebrowskiemu: – *Odchodząc od Brauna, pomyślałem, że nawet jeśli przegram te wybory... to przynajmniej mam świadomość, że Marian Turski nie musiałby się mnie wstydzić.*

●

Podczas wizyty Baracka Obamy w Polsce w 2011 roku powstała słynna fotografia: Marian żywo tłumaczy coś amerykańskiemu prezydentowi z wysoko podniesionym palcem, a Obama – wyższy o głowę – celuje palcem w Mariana.

– *Jakie są pańskie losy?* – pyta grzecznościowo prezydent.

– *Jestem survivor. Byłem w łódzkim getcie. Przetrwałem dwa marsze śmierci: z Auschwitz do Buchenwaldu, z Buchenwaldu do Terezina. Ale akurat pana może zainteresować inny z moich marszów...*

– *Mianowicie?* – W oczach Obamy błyska zainteresowanie.

– *Z Selmy do Montgomery, w Alabamie, w marcu 1965 roku.*

Kto jak kto, ale pierwszy czarnoskóry prezydent w historii USA doskonale wie, o co chodzi – to legendarny marsz, a właściwie trzy marsze, wielkie pokojowe protesty, pod hasłem równouprawnienia Afroamerykanów i przewodnictwem Martina Luthera Kinga.

– *Brałeś w tym udział? Po co tam pojechałeś?* – dziwi się Obama, od razu też pęka dystans między rozmówcami.

– *Z solidarności. Znasz to słowo: solidarity. Jako biały uważałem, że po prostu powinienem tam być.*

Na to Obama ściska Mariana i mówi:

– *Dziękuję. Dzięki takim jak ty ja zostałem prezydentem.*

●

Kiedy Konrad, wnuk Mariana, miał piętnaście czy szesnaście lat, jego mama koncertowała w okolicach Pragi. Postanowiła, że zabierze syna i wyskoczą na jeden dzień do Wiednia, bo chłopak jeszcze nigdy w tym mieście nie był. Co jednak wybrać do zobaczenia, gdy ma się kilka, góra kilkanaście godzin?

Dzień przed wycieczką Marian dzwoni do córki.

– *Bierz ołówek i notuj, co Konradowi pokazać. Katedra św. Szczepana, dom Hundertwassera, a potem metrem jedziecie do Muzeum Historii Sztuki...*

– *Tatusiu! Spędzimy jeden dzień w Wiedniu, a ja mam ciągać chłopaka po muzeach?*

– *Posłuchaj: pójdziecie do Kunsthistorisches Museum i pokażesz mu trzy obrazy: Portret cesarza Maksymiliana Dürera, Zabawy dziecięce Bruegla i Alegorię malarstwa Vermeera. Te trzy obrazy i nic więcej! I wychodzicie.*

To podobno był piękny, a przede wszystkim znakomicie wykorzystany dzień w Wiedniu.

●

To zapewne trauma z wojennych czasów wytworzyła u Mariana obsesję gromadzenia rzeczy – przede wszystkim papierów, bo od dziecka pochłaniał gazety i książki. Pasja do słowa drukowanego zespoliła się z naturą zbieracza, dając w efekcie unikalną mieszankę wybuchową. Jego mieszkanie stanowiło połączenie biblioteki, hurtowni wielkiego wydawnictwa, antykwariatu i archiwum. Gość lawirował między stertami książek, gazet, listów i notatek, które już dawno przestały się mieścić na półkach, stolikach, parapetach. Jedyną wolną przestrzenią horyzontalną były nieliczne fragmenty podłogi, które stanowiły korytarze w tym papierowym labiryncie.

Piotr Wiślicki:

Gdziekolwiek byśmy nie byli, w urzędzie, instytucji, banku czy muzeum, Marian zabierał książki, foldery, ulotki, instrukcje, kalendarze...

Papierowe tsunami nie tylko przetaczało się przez mieszkanie Mariana, ale też szalało w jego miejscu pracy.

Jacek Poprzeczko:

Zmieniało się wszystko: świat, Polska. Zmieniały się siedziby „Polityki". Tylko Marian się nie zmieniał. Jego pokój w redakcji na Miedzianej był od góry do dołu zawalony książkami i papierami. Główna sterta piętrzyła się na środku, a na szczycie stały trampki Mariana, służące do licznych aktywności sportowych. Kiedy „Polityka" przeprowadziła się na Słupecką, dla Mariana przygotowano specjalny gabinet z wielką liczbą półek. Ale papierów

eprasa.pl 4c91f9e87c

szybko przybywało, aż centralny stos zawalił się pod nieobecność właściciela, blokując drzwi od środka. Tak więc Mariana nie można było zastać w jego gabinecie ani dodzwonić się na wewnętrzny numer. Jak się miało sprawę, trzeba było szukać przez komórkę.

Skutkiem katastrofy były narodziny jego mobilnego biura. Nazywany był „Marianem z wózkiem", bo partie nowych książek transportował z pomocą sklepowego, metalowego wózka. Do tego nosił czarny plecak – z kolejnymi książkami, gazetami, papierami. Plus czasami dwie, trzy torby na ramię.

Piotr Wiślicki:

Przeżyciem była podróż z Marianem jego samochodem. Resory kompletnie nie działały, bo w bagażniku woził ze dwieście kilogramów książek, nie przesadzam!

Zapewne się już domyślacie, do czego służył garaż Mariana, bo na pewno nie do parkowania auta. Chociaż jego starsi stażem przyjaciele pamiętali, że samochód tam kiedyś stał, ale Marian musiał dokonywać cudów akrobatyki, żeby – powtórzmy – między książkami, gazetami i papierami przecisnąć się do drzwi, z trudem je uchylić i wcisnąć się do środka przez niewielką szparę.

Wiesław Władyka:

Kiedyś poprosiłem, żeby podwiózł mnie do domu. Bezradnie rozłożył ręce: Nie ma szans... Zajrzałem do garażu i musiałem przyznać Marianowi rację.

●

Dziwne, ale takie pytanie Marian dostał po raz pierwszy publicznie, gdy już dawno przekroczył dziewięćdziesiątkę, na wspomnianym już spotkaniu zorganizowanym przez ówczesnego rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. Przypomniałem wtedy anegdotę o jego przyjacielu Władysławie Bartoszewskim, który tłumaczył:

W gruncie rzeczy komuniści zrobili mi przysługę, wsadzając mnie do więzienia. Byłem młodym człowiekiem i gdybym został na wolności, pewnie też chciałbym jakoś żyć. Skończyć studia, zdobyć pracę, założyć i utrzymywać rodzinę. I pewnie nieraz musiałbym się zastanawiać, czy iść na mniejsze albo większe kompromisy. A tak po aresztowaniu miałem jeden dylemat: donosić na kolegów z celi czy nie donosić. Skoro pierwszego dnia w więzieniu uznałem, że donosić nie będę – odtąd skończyły się moje dylematy moralne.

Potem zapytałem Mariana, który przecież przez pół życia związany był z partią komunistyczną, gdzie leży granica kompromisu. Nie pytałem oskarżycielsko ani agresywnie; nie pytałem w sensie politycznym. Po prostu każdy z nas, o ile stara się żyć świadomie, często zmaga się z tym dylematem. Chciałem to wiedzieć, a byłem przekonany, że właśnie Marian mi to wyjaśni.

Zapadła cisza. W końcu Marian powiedział: – *To pytanie dostaję po raz pierwszy i muszę na nie szybko przemyśleć odpowiedź.*

Pomyślał. A potem tłumaczył, że nie istnieje jedna sztywna granica kompromisu, że to zależy od okoliczności... Mówił to wszystko z przekonaniem, ale widać było, że w myślach wciąż szuka odpowiedzi.

Aż w końcu w tym labiryncie złapał nić i powiedział: – *Granicą kompromisu jest nie zdradzić przyjaciół.*

Marek Zając, **Nieobojętny. 100 portretów Mariana Turskiego**, wydawnictwo Znak Horyzont, 2026

REKLAMA

HISTORYCZNE NAGRODY POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

LAUREACI Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za rok 2025

PRACE NAUKOWE

PRACE POPULARNONAUKOWE

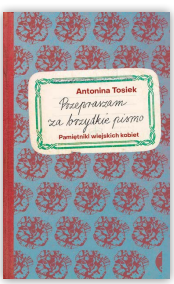

DEBIUTY

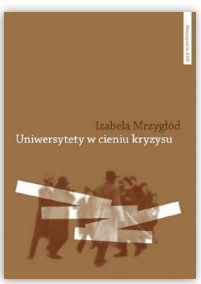

PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

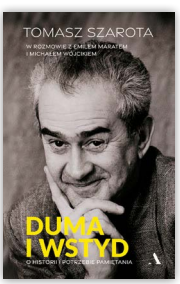

WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE

Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

zaKS sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki

eprasa.pl 4c91f9e87c

film

Jedna prawdziwa noc 4/6

Erupcja, reż. Pete Ohs, prod. USA, 71 min

Niskobudżetowa „Erupcja" w Polsce może budzić zrozumiałe zainteresowanie: w całości została nakręcona w Warszawie, a główną rolę obok Leny Góry gra popularna brytyjska wokalistka **Charli XCX**. Lecz nie warto traktować nowej produkcji Pete'a Ohsa jedynie w kategoriach ciekawostki. Ten mały skromny film kondensuje dużo emocji, a choć z pozoru opowiada klasyczną historię, to jednocześnie ucieka od sztampy. Bethany (Charli XCX) ze swoim narzeczonym utknęła w Warszawie. Gdzieś w innej części świata wybuch wulkanu wstrzymał ruch lotniczy, ale dla Bethany to znak, że musi odstawić – przynajmniej na chwilę – skonfundowanego chłopaka na bok i odnaleźć dawną przyjaciółkę Nel (Lena Góra), która prowadzi kwiaciarnię na Pradze. Kiedyś łączyło je coś więcej, teraz zdają sobie sprawę, że nie nadrobią straconego czasu. Co nie znaczy, że nie zechcą spróbować, nawet jeśli mają na to jedną noc spędzoną na imprezach i spacerach po mieście.

„Erupcji" patronują wczesne filmy Joego Swanberga, Grety Gerwig i Richarda Linklatera. Skutecznie przywołuje ducha niezależnego kina mumblecore z jego nonszalancją, narracyjnym chaosem, paradokumentalną estetyką i częściowo improwizowanymi dialogami. A jednocześnie pozornie błahe wydarzenia, luźne rozmowy, rwana narracja kryją w sobie zaskakująco dużo emocjonalnej prawdy, nieskrywanej tęsknoty za przeżyciem czegoś prawdziwego, nawet jeśli to coś miałoby trwać jedną noc. Lenę Górę i Charli XCX łączy ekranowa chemia, jakiej mogłyby im pozazdrościć gwiazdy hollywoodzkich komedii romantycznych. W ich aktorstwie nie ma przesadnych tonów i akcentów, jest za to sporo świeżości i szczerości. A ich relację akcentują wyraziste postacie z drugiego planu (warto zwrócić uwagę na świetny epizod Agaty Trzebuchowskiej). I nawet Warszawa wygląda tu inaczej niż zawsze, intrygująco, filmowana raczej z ciekawością niż zachwytem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Drzewiej i dziś 5/6

Milcząca przyjaciółka (Stille Freundin), reż. Ildikó Enyedi, prod. Francja, Niemcy, Węgry, 145 min, w kinach od 22 maja

Węgierka Ildikó Enyedi, której wspaniały debiut „Mój wiek XX" miał miejsce 35 lat temu, często zaskakiwała niekonwencjonalnymi narracjami i poetycką wrażliwością. W „Milczącej przyjaciółce" jeszcze radykalizuje spojrzenie, mieszając trzy różne epoki, postacie oraz formaty opowiadania: od czarno-białego dramatu z 1908 r., poprzez impresję kręconą na taśmie 16 mm z 1972 r., aż po cyfrowy zapis z 2020 r. Całość ukazuje świat w ciągłym ruchu i nieustannej przemianie. Początek ubiegłego stulecia to narodziny fotografii i walka o prawa kobiet. W latach 70. XX w. odbijały się echem młodzieżowe protesty i rozkwitała wolna miłość. Nasza era naznaczona jest wielokulturowością, multimedialnością i pandemią. Reżyserka skupia się jednak na tym co stałe, niezmienne – na ludzkiej ciekawości, pomysłowości, potrzebie przełamywania izolacji. Niezwykłe w tym hipnotycznym poemacie jest też to, że autorkę interesują interakcje nie tylko na poziomie międzyludzkim, ale też wszystkich żywych istot. Enyedi płynnie przechodzi od obrazów rozwoju flory i fauny, ewolucji ludzkiego mózgu do majestatycznej obecności miłorzębu japońskiego – świadka wszystkich zdarzeń, czyniąc z „Milczącej przyjaciółki" medytację nad tajemniczymi powiązaniami natury. Choć brzmi to jak jakaś abstrakcja, naprawdę trudno oderwać od tego wzrok.

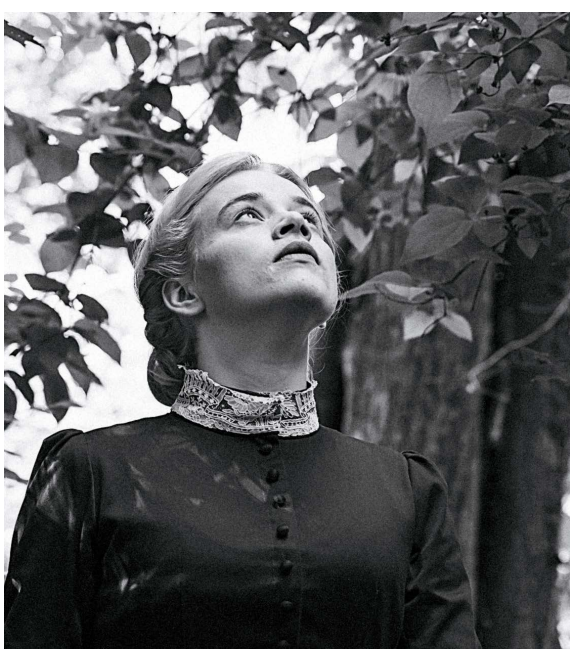

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© AMAZON MGM STUDIOS/JAX MEDIA / LEFT HANDED FILMS, GUTEK FILM, EWA KRASUCKA, WALDEMAR KOMPAŁA/PAP, ANDRZEJ CHĘĆ/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl 4c91f9e87c

Czy android może kochać 5/6

Przemysław Zych, **Androidy**,
libretto i choreografia Robert Bondara, kier. muz. Marta Kluczyńska,
Teatr Wielki – Opera Narodowa

Inspiracją była twórczość Philipa K. Dicka i Isaaca Asimova, z filmami według powieści Dicka autorstwa Ridleya Scotta i Denisa Villeneuve'a w tle. Ale choreografowi Robertowi Bondarze – bo zaczęło się od propozycji złożonej mu przez Polski Balet Narodowy – nie chodziło o kolejną adaptację „Łowcy androidów" (ani muzyki Vangelisa). Stworzył swoją opowieść, w której jednak, podobnie jak u Dicka i zgodnie z zasadami cyberpunku, ludzie żyją w dystopii, w martwocie (uderzająca scena, w której tłum wędruje po mieście ze sztucznymi zwierzętami), a androidy się buntują, eliminują ludzi, chcą przedłużyć swoje życie – ale są i takie, które wchodzą z ludźmi w relacje romantyczne. Bondara deklaruje, że oddala się od antropocentryzmu, w zamian stosując antropomorfizację. Wszystko to jest świetnym pretekstem do tańca, a Przemysław Zych, ściśle współpracujący z choreografem, stworzył muzykę zróżnicowaną: najefektowniejsza jest ta towarzysząca agresywnym androidom, maszynistyczna i dysonansowa, jak dzieła Aleksandra Mosołowa i awangardzistów lat 20. XX w. Ta ludzka zaś jest w typie muzyki repetycyjnej z oper Johna Adamsa. Polski Balet Narodowy daje efektowny popis, a towarzyszy mu również znakomicie orkiestra pod batutą Marty Kluczyńskiej.

DOROTA SZWARCMAN

Czas na przerwę 4/6

Gabriela Zapolska, **Moralność pani Dulskiej**,
reż. Agnieszka Glińska i Franciszek Przybylski,
Teatr TV, VOD TVP

Jest to, jak informuje Teatr Telewizji, szósta ekranizacja komedii Gabrieli Zapolskiej, od pierwszej z 1968 r. po spektakl Marcina Wrony z 2013 r. z Magdaleną Cielecką w tytułowej roli. Od poprzedników realizację Agnieszki Glińskiej i jej syna Franciszka Przybylskiego (znanego z dziecięcej roli w telenoweli „M jak miłość") odróżniają – poza obsadą, rzecz jasna – przede wszystkim piosenki. Napisane przez reżyserującą parę do muzyki Mariusza Obijalskiego, wykonywane przez bohaterki i bohaterów, dodają współczesny kontekst do akcji osadzonej w realiach międzywojnia (z elementami surrealizmu). Bywa dosłownie (pojawia się np. temat rynku wynajmu mieszkań), ale też metaforycznie – jak w piosence praczki Tadrachowej (**Anna Smołowik**), której niestraszne są nawet plamy na honorze (za wyższą opłatą, oczywiście). I z musicalowym numerem na finał, z refrenem „Ma wielu wielbicieli moralność Dulskiej Anieli". Złote myśli Dulskiej wyświetlają się na ekranie: „Skromność, skarb dziewczęcia", „Dla kobiety nie ma jak dom", „Na to mamy cztery ściany i sufit, aby brudy swoje prać w domu i aby nikt o nich nie wiedział". Ale najsilniej wybija się jej: „Ja nie mam czasu myśleć". Dulska w interpretacji **Kingi Preis** jest w ciągłym ruchu, bez ustanku wyrzuca z siebie komendy i oceny. Czas na przerwę.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Kto kataną wojuje... 4/6

Czas samurajów, Muzeum Narodowe w Lublinie, do 27 września

Sprowadzenie ze świata dobrej i efektownej ekspozycji poświęconej Etruskom, Aztekom, Aborygenom czy faraonom oznacza wydatek rujnujący roczny budżet naszych biednych muzeów, rzadko zdarzają się więc w Polsce monograficzne wystawy poświęcone egzotycznym zjawiskom, kulturom, cywilizacjom. Dlatego z satysfakcją przyjąć trzeba ambitną próbę opowieści o samurajach. Lubelskie Muzeum Narodowe lubi wystawiać się na bogato, z rozmachem (przypominam Łempicką, malarstwo kobiet czy monachijczyków). Tak jest i tym razem. Ponad 600 eksponatów to potężna, ale smaczna piguła do przełknięcia. Ekspozycja dzieli się na dwie części. W pierwszej figurę samuraja poznajemy poprzez sztukę, a konkretnie poprzez grafiki musha-e Utagawy Kuniyoshiego (1795–1861), który niemal całe życie poświęcił na opiewanie (pełne ekspresji, perfekcyjne technicznie i kolorowe) losów wielkich wojowników. A część druga to narracja o życiu codziennym samurajów. Oczywiście na czele z ich rynsztunkiem (zbroje, miecze, hełmy, łuki, maski), ale też z dużo przyjemniejszymi niż zabijanie rytuałami, jak parzenie herbaty, kaligrafia, teatr, ceremonie duchowe. Zważywszy, że świat samurajów trwał i rozwijał się (choć niespiesznie) przez ponad tysiąc lat, muzealna opowieść wydaje się jeno jego syntezą z syntezy. I tyle musi nam wystarczyć.

PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

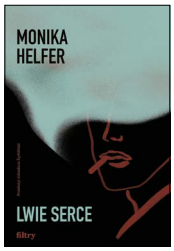

Cała ta hałastra 5/6

Monika Helfer, **Lwie serce**, przeł. Arkadiusz Żychliński, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2026, s. 204

Polska publiczność może być nieco znużona autofikcją, ale książka biograficzna książce biograficznej nierówna. Austriaczka Monika Helfer znalazła klucz do tej formuły, a przede wszystkim znalazła dla niej własny język. Trochę lapidarny, żywy, nieomal mówiony, a jednocześnie staranny, czuły i ubogacony. Jak wytrawna fotografka umie bez pudła wycelować w złoty środek. A materia wcale nie jest łatwa. „Lwie serce" to trzeci tom z cyklu, po „Hałastrze" obejmującej szeroki rodzinny plan i „Tatusiu" (tu nie trzeba wyjaśnień). Tym razem snuje opowieść o bracie. Cokolwiek by Richard robił, zawsze myślał tylko o leżeniu. Był ekscentrykiem, z zawodu zecerem, malował (też na leżąco), chadzał własnymi ścieżkami. Wydawało się, że życie niespecjalnie go interesuje.

Wcześnie się z nim rozstał. Autorka prędko nas o tym informuje, bo to książka o życiu, nie o śmierci. Richardowi przytrafiały się w nim rzeczy surrealistyczne. Wyróżniany przez ojca, który nazywał go „Lwim Sercem", ukochany przez siostry, którym jako malec „spadł ze stołu na podłogę". Książka składa się z takich wspomnień. Dorosłość nadeszła tymczasem z wyzwaniami i żądaniami. Prawie obca kobieta przekazała Richardowi dziecko na „przechowanie", nie protestował. I w pewnym sensie został tatą na dłużej. „Czemu jesteśmy tacy dziwni" – pytają Helfer jej własne dzieci. Elegia dla brata pomaga tę dziwność oswoić, zaakceptować. Nie wiemy na pewno, co tu jest zmyśleniem, a co zostało wiernie odtworzone, ale wiemy, że wszystko jest prawdziwe.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

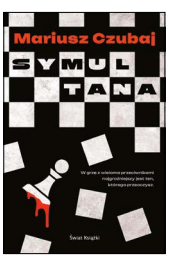

Śmiertelna rozgrywka 4/6

Mariusz Czubaj, **Symultana**, Świat Książki, Warszawa 2026, s. 286

W „Symultanie" spotykamy bohaterów znanych już z „Półmistrza" – detektywa Edwarda Abramowskiego i genialnego szachistę Mieczysława Najdorfa. Tylko realia całkiem inne. Wtedy spotkali się na pokładzie transatlantyku płynącego w 1939 r. do Argentyny, teraz los zderza ich w powojennej Warszawie, która tuż po październikowej odwilży zaczyna oddychać nieco lżej. Obaj przyjechali do Polski po latach emigracji – Najdorf na turniej, Abramowski incognito jako współpracownik brytyjskiego wywiadu – i niczym Holmes i Watson z przypadku muszą rozwiązać zagadkę brutalnego morderstwa popełnionego na jednym z uczestników szachowej rozgrywki. W tle wielka polityka, bandyckie porachunki, tętniące jazzem kluby młodzieżowe, poszukiwania archiwum Ringelbluma: sporo elementów jak na niezbyt obszerną powieść, jednak Czubaj poukładał je w bardzo udany kryminał szpiegowski retro. Bohaterowie wydają się znacznie ciekawsi niż w „Półmistrzu", a literackie nawiązania – od Conan Doyle'a po „Złego" Tyrmanda – mniej efekciarskie, za to lepiej służą budowaniu nastroju powieści. Bo ten jest ważniejszy nawet niż sensacyjna intryga, a Warszawa staje się jedną z głównych bohaterek książki. W „Symultanie" Czubaj dał barwny i przekonujący portret miasta, w którym nadzieja miesza się z nieufnością i paranoją.

JAKUB DEMIAŃCZUK

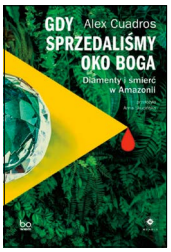

Zderzenia cywilizacji 5/6

Alex Cuadros, **Gdy sprzedaliśmy Oko Boga. Diamenty i śmierć w Amazonii**, przeł. Anna Skucińska, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2026, s. 318

Gdy w lasach deszczowych Brazylii pojawiają się potężni przybysze, głodni ziemi, drogocennych minerałów, drewna i kauczuku, dochodzi do tragedii. Niezrozumiałe, okrutne reguły prywatnej własności, praw podaży i popytu, ekonomicznej konkurencji, dążenie do materialnego bogactwa niszczą nieodwracalnie lokalną społeczność. To, co dla najeźdźców jest normą, na rdzennych mieszkańców działa jak trucizna. W przejmującej opowieści o rdzennym ludzie Cinta Larga, żyjącym na pograniczu Amazonii i Mato Grosso, amerykańsko-brazylijski reporter Alex Cuadros ukazuje nie tylko destrukcję fizyczną dawnego świata – zabójstwa, zniknięcia, śmierć od chorób; także tę duchową: eksterminację dobrego życia *Homo sapiens* współdzielonego z fauną i florą zamieszkującą Ziemię. Cuadros obserwuje różne etapy „zderzenia cywilizacji" przez kilka lat, dzięki czemu ma szansę – a my z nim – zobaczyć m.in. przemianę bohaterów. Najboleśniej wybrzmiewają fragmenty o przemianie rdzennych mieszkańców w ludzi świata kapitalizmu, takich jak my; a następnie – o pełnych hipokryzji oskarżeniach pod ich adresem: że też chciwi i nieuczciwi. Nostalgiczna elegia dla przeszłości? Manifest antykapitalistyczny? Bardziej – reporterski i literacki moralitet. Opowieść o tym, że z nami – ludźmi – bywało już lepiej; że niepohamowana żądza zysku niszczy planetę i człowieczeństwo; że stać nas (było) na więcej. Czy będzie nas stać na więcej w przyszłości, to kwestia zbiorowych decyzji, polityki – żaden reportaż na takie pytanie nie odpowie.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© PAP/DPA/SEBASTIAN GOLLNOW, LESZEK ZYCH, AWARENESS DISTRIBUTION, PRIME VIDEO, MP(6)

eprasa.pl 4c91f9e87c

Pożegnanie z taśmą 5/6

Mixtape, Beethoven & Dinosaur, Annapurna Interactive, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5, Nintendo Switch 2

Troje przyjaciół po ukończeniu szkoły średniej w pipidówce, którą na swój użytek nazywają Wielką Grzybnią (Big Suck), spędza ostatni dzień razem. Próbując zorganizować alko na wieczorną imprezę, wspominają ważne dla siebie dni. Towarzyszy im muzyka z tytułowej składanki przygotowanej przez Stacy. „Mixtape" to nostalgiczne wspomnienie magicznych lat 80., gdy muzyka znaczyła dla nastolatków coś więcej. Dla inteligentnych, wrażliwych i zbuntowanych bohaterów była deklaracją niepodległości, bramą do wolności i kręgosłupem tożsamości („– Słyszałaś, że według niej Devo mieli tylko jeden przebój? – Nic nie wie. Jej życie to pomyłka, powinna z powrotem wpełznąć do oceanu"). Co prawda oprócz kawałków z lat 80., jak „Just Like Honey" The Jesus and Mary Chain, rozbrzmiewa trochę klasyków z lat 90., np. „Roads" Portishead, ale kulturowo to ewidentnie ejtisy. Dojrzała, świetnie napisana i wyreżyserowana opowieść o pożegnaniu z młodością.

W walce z AI 5/6

Pragmata, Capcom, Cenega, PlayStation 5, Windows, Xbox Series X/S, Nintendo Switch 2

Zbuntowana sztuczna inteligencja w przemysłowej bazie na Księżycu zabiła załogę, zablokowała dostęp do ważnych sektorów, odcięła łączność z Ziemią. Ktoś żywy próbuje się jednak stąd wydostać, z pomocą myślącej maszyny niepodlegającej wrogiej AI. Wydawca anonsował „Pragmatę" obrazami blondwłosej, bosostopej dziewczynki niesionej na plecach przez stalowego androida. Przewrotnie, bo – jak się okazało – metalowa zbroja chroni astronautę, który przybył na Księżyc sprawdzić, dlaczego zamarła łączność. Dziewczynka to z kolei zaawansowana, prototypowa inteligentna maszyna, tytułowa pragmata. Potrafi hakować wrogie roboty, ułatwiając mężczyźnie samoobronę, ale ma mentalność prawdziwej kilkulatki. „Pragmata" zręcznie manipuluje odbiorcą, by nawiązywał coraz silniejszą więź z „dziewczynką". To istotne dla dramaturgii opowieści, która – jak każda emocjonująca przygoda – ma punkty kulminacyjne i niespodzianki. Akcja, eksploracja, rozwiązywanie zagadek są zręcznie wkomponowane w fabułę.

Plastik dialogów 3/6

Tides of Tomorrow, DigixArt, Plaion, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5

Na planecie Elynd zmiany klimatyczne doprowadziły do zalania lądów, niedobitki malejącej populacji wegetują w pływających osadach na oceanie, a nadmiar tworzywa sztucznego wywołuje śmiertelną chorobę zwaną plastemią, którą można leczyć jedynie dzięki rzadkiemu antidotum. Zadaniem gracza jest ocalenie planety. Najciekawsza w „Tides of Tomorrow" jest możliwość śledzenia poczynań innych graczy. Co jakiś czas trafiamy na wizje, obrazy z przeszłości pozostawione przez poprzednie iteracje protagonisty, który najwyraźniej wciąż powraca na pływach czasu w ten sam rewir czasoprzestrzeni, by w końcu osiągnąć cel. To rozwiązanie ma wpływ na rozgrywkę. Jeśli na przykład gracz, którego ścieżką podążamy, zraził do siebie miejscowych, będą do nas nastawieni nieprzychylnie. Gra daje zatem pewną swobodę, ale też narzuca różne warunki brzegowe. To spory plus. Niestety, ani scenariusz, ani dialogi w swej przygnębiającej naiwności nie pozwalają czerpać z „Tides..." większej satysfakcji.

OLAF SZEWCZYK

nie przegap

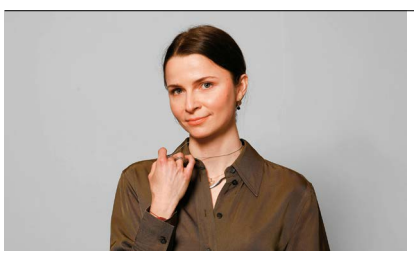

Daria ze Śląska, **Halo. Co jest grane?**, e-muzyka

Trzeci album **Darii ze Śląska** przynosi pewne przełamanie. Zapowiadały go głównie melancholijne ballady, ale dalej kryją się niegorsze, a przy tym mocniejsze, przebojowe kompozycje. Elektroniczne „JPRDL" kojarzy się z Air, „Pan ze stolicy" niesie gniewny tekst i aspiracje raczej z okolic pop-rocka, w utworze „Len" pojawia się gościnnie Fisz. To bardzo udana płyta i przykład rewolucji, która nie zrazi dotychczasowych fanów, a autorka opowiada o tym w jednym z najnowszych podkastów POLITYKI. BCH

Znaki pana Śliwki, reż. Urszula Morga, Bartosz Mikołajczyk, już w kinach

Wnikliwy, wzruszający i zabawny portret **Karola Śliwki**, ikony polskiego projektowania graficznego i człowieka, który elegancką prostotę symboli przekuł w sztukę. Wymyślone przez niego wzory i logotypy otaczają nas do dziś: nawet widzowie na co dzień nieinteresujący się designem przekonają się, jak wielką część polskiej rzeczywistości wizualnej zaprojektował Śliwka. Dokument zdobył nagrodę publiczności na ubiegłorocznym Warszawskim Festiwalu Filmowym. W pełni zasłużoną. JD

Bait, Prime Video, 6 odc.

Drugorzędny brytyjsko-pakistański aktor nagle dostaje niecodzienną szansę od losu – jest jednym z kandydatów do roli Jamesa Bonda. Gdy jednak plotki przeciekają do mediów, Shah traci kontrolę nad swoją karierą i wizerunkiem. Wymyślony przez **Riza Ahmeda** i częściowo oparty na jego życiowych doświadczeniach serial to nie tylko ironiczne spojrzenie na kulisy przemysłu filmowego i gwiazdorskie aspiracje aktorów, lecz przede wszystkim obyczajowa komedia o imigracyjnym doświadczeniu i stereotypach rasowych. JD

eprasa.pl 4c91f9e87c

Metamorfozy Kozy

Kamil Białaszek (w środku) wraz z aktorami „Hamleta" wystawianego w warszawskim Teatrze Powszechnym

Polski teatr ma rapowane musicale, a od niedawna – także rapera reżysera. Kamil Białaszek, czyli raper Koza, jest fenomenem na obu scenach.

ANETA KYZIOŁ

Zamiast „Inwokacji" okrzyk: „Pozdro dla dobrych chłopaków z Litwy!". Do tego podwarszawski Raszyn jako współczesne Soplicowo i dresiarze kultywujący zmutowane formy szlacheckich tradycji – najazdy stają się ustawkami i bójkami, hodowanie psów myśliwskich zastępuje hodowanie amstaffów i rottweilerów; jest też ksenofobiczny patriotyzm i oparty na przemocy kodeks honorowy. Ksiądz Robak (Michał Kaleta) to tu diler narkotyków (hasło reklamowe: „Tabaka od Robaka"), a scena jego spowiedzi („Ćpałem, kradłem...") odwołuje się do estetyki hiphopowych teledysków. Zamiast „dzięcielina pała" jest nowoczesna nostalgia w rapowych linijkach Młodego Tadeusza (Alan Al-Murtatha), któremu jego małą ojczyznę przywołują zapachy grilla, benzyny, podkładów kolejowych i resztek kosodrzewiny. A jego duet z Telimeną (Kornelia Trawkowska) jest inspirowany stylem Kendricka Lamara.

Całość jest zaś utrzymana w konwencji hiphopowego koncertu, przetykanego nagraniami wideo w estetyce paradokumentu i z finałem oddającym nastrój współczesnych „czasów przedwojennych". Reżyser nie szedł ścieżką zwrotu ludowego – ale nie po drodze mu też z liberalnym spojrzeniem na prowincję; szukał własnej perspektywy. Tak powstał „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy", zrealizowany półtora roku temu w poznańskim Teatrze Polskim. Urodzony w Raszynie w 2000 r. Kamil Białaszek był jeszcze wtedy studentem reżyserii warszawskiej Akademii Teatralnej.

Czy spektakl w reżyserii Białaszka trafi do Top 3 „Hamletów"?

Spektakl stał się hitem. Objechał festiwale teatralne oraz był pokazywany na Open'erze; trafił do Teatru Telewizji. Kamil Białaszek zyskał status nowej nadziei rodzimego teatru. Spektakl dyplomowy „Skowyt" Alana Ginsberga wystawił w Teatrze Żydowskim, kolejny – adaptację tysiącstronicowego „Niewyczerpanego żartu" Davida Fostera Wallace'a – w Teatrze Narodowym. A teraz dorzucił „Hamleta" w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Odpalić bit do Mickiewicza

Teatralnym weteranom te brawurowe, pełne energii i tętniące muzyką spektakle przypominają pierwsze premiery Jana Klaty. W mniej entuzjastycznej optyce ten chłopacki i socjologizujący teatr Białaszka to powrót polskiej sceny do „ustawień fabrycznych", czyli odwrót od torującego sobie drogę od kilku sezonów nurtu psychologicznego, „miękkiej" reżyserii i młodego pokolenia reżyserek – odbicie dzisiejszych tendencji backlashowych w kulturze i polityce. A jest jeszcze perspektywa ironiczna: po wielkim sukcesie hiphopowego musicalu „1989" każdy teatr chce mieć swój rapowy, „młodzieżowy" spektakl, a kto go lepiej zrobi niż reżyser, który pomiędzy kolejnymi premierami nagrywa hiphopowe płyty i gra koncerty?

– *Słowa „backlash" czy „reakcja" są nacechowane negatywnie, są ocenne. Tu chodzi bardziej o naturalną zmianę koniunktur artystycznych: po zwrocie w jedną stronę przychodzi po jakimś czasie odbicie w drugą. On idzie w innym kierunku, szuka w innych rejestrach i to wydaje mi się absolutnie naturalne, a na pewno nie reakcyjne* – tłumaczy Maciej Nowak, szef artystyczny poznańskiego Polskiego. Na Kamila Białaszka zwróciła mu uwagę Maja Kleczewska, reżyserka, dyrektorka Teatru Powszechnego i wykładowczyni na wydziale reżyserii AT. Poszedł obejrzeć jeden z jego szkolnych egzaminów i ujął go nie tylko poziom realizacji, ale też entuzjastyczne reakcje studenckiej widowni.

Kiedy potem proponował mu wystawienie „Pana Tadeusza", miał dwie obawy. Że wpycha go w jakieś dziaderskie wyobrażenie o młodym buntowniku oraz że aktorzy nie zaufają 25-latkowi w kapturze. Dziś mówi z ulgą: – *To wielka satysfakcja spotkać człowieka z kompletnie innego świata estetycznego i pokolenia, który jednocześnie jest tak komunikatywny i tak racjonalny w tworzeniu swojej wizji teatru, ma umiejętność nawiązywania dialogu z ludźmi z innych środowisk i ze starą literaturą, nie tracąc przy tym niezależności i autentyczności.*

Kamil Białaszek też miał moment zawahania. – *W pierwszym odruchu pomyślałem: żenada. Ale potem odpaliłem bit, przerapowałem sobie parę fragmentów z „Pana Tadeusza" i pomyślałem: dobra, da się i chyba nawet da się to zrobić dobrze. Został mi więc tylko spór z moim własnym ego: to oczywiste, że po dekadzie działania jako raper będę miał łatę reżysera rapera i ode mnie zależy, czy chcę z nią walczyć, czy się pogodzić* – mówi.

– *Zdecydowałem, że zamiast próbować rysować grubą kreskę pomiędzy muzyką a teatrem, mogę po prostu użyć tych środków, które mam i w których jestem dobry, na nowym terenie* – dodaje Białaszek. – *A jak nie wyjdzie, to najwyżej będzie to niszowa rzecz dla fanów rapu z Poznania. Nie stanie się krzywda ani światu, ani mnie, ani Mickiewiczowi.*

Niski próg wejścia

Raperem został, bo mógł. – *Rap ma bardzo niski próg wejścia: wystarczy mikrofon i jakiś podstawowy program do robienia bitów* – tłumaczy. – *Ja zaczynałem od etapu bitew freestyle'owych,* ▶

© PAWEŁ JAŚKIEWICZ (2)

eprasa.pl 4c91f9e87c

Spektakle w reż. Kamila Białaszka: „Niewyczerpany żart" na deskach Teatru Narodowego w Warszawie oraz „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" w Teatrze Polskim w Poznaniu

▶ *czyli pojedynków na rapowe improwizacje, do których w ogóle nic nie potrzebujesz, tylko kolegę. Bez mikrofonu też dacie sobie radę.* Z drugiej strony, tylko rap opowiadał o jego rzeczywistości, pomagał budować tożsamość, dawał oparcie, bo tu zasady są proste: – *W rapie liczy się punchline, liczy się układ rymów, to, jak one są poskładane, liczy się intelekt, od razu widać, kto jedzie na najprostszych patentach, liczy się charyzma i też historia, która stoi za człowiekiem.*

Jaka historia stoi za raperem Kozą? Nie wychowały go blokowiska, ale w jego Raszynie też były przemoc, narkotyki i alkohol. Na debiutanckiej płycie „Mystery Dungeon" z 2019 r. życiowe realia sąsiadują z cytatami z książek i filmów, Biblia – z opisami narkotykowych tripów, dominującym środkiem ekspresji jest krzyk.

Rapowy krytyk Marcin Flint pisał na gorąco: „Jest z Raszyna. Ale bardziej z horrorcore'u, zarówno z cmentarnych włóczykijów i pacjentów w kaftanach z lat 90., jak i z obecnych trap-metalowców z kolorowymi włosami i w demonicznych podkoszulkach, tnących sobie nadgarstki podczas streamingów. Trochę też z tej kutej na wieczorkach slamowych i poddaszach rodzinnych domów rap-awangardy, gotowej co rusz terroryzować cię swoim oczytaniem. Mam przed oczami postać X-mana, homo superior, nieumiejącego ogarnąć swojej mutacji, krzyczącego, trzymającego się obiema rękami za głowę. Człowieka, który otwiera ślepia i widzi pokemony malowane ręką Hieronima Boscha".

Płyta znalazła się w dwudziestce najlepszych albumów roku „Gazety Wyborczej", która wcześniej, głosami dziennikarzy i branży, umieściła Kozę w dziesiątce najciekawszych nowych twarzy krajowej sceny muzycznej (plebiscyt Sanki). Uzasadnienie brzmiało: „Koza to niezły kozak. Raper z Raszyna, który potrafi być i zabawny („Twoje włosy pachną jak beton, kiedy mnie kopali/ Chcę z tobą zjeść tysiąc kotletów w taniej jadłodajni/ Chcę z tobą zwiedzić Mokotów, a nie Abu Zabi"), i przerażający („De Profundis" to apokaliptyczna wizja, w której „wszystko wchłonie pożar"), ale zawsze jest błyskotliwy".

Odbiorców rapu podzielił. Jedni widzieli w nim „kolesia, który przeczytał repetytorium z filozofii do matury" i szpanuje. Sam nie unikał zresztą zwady: dissował gwiazdy rodzimego rapu, wyśmiewał napuszenie gatunku („Jakby mnie ktoś pytał, robię to dla mamy/ wyjebanej willi na Islandii i dobrej zabawy"), piętnował homofobię i mizoginię. Innych intrygował albo uwodził wrażeniem „kogoś, kto był gdzieś, gdzie zwykły śmiertelnik nie ma wstępu, i z naddartą psychiką wrócił, by opowiedzieć nam te historie". Wielowarstwowym tekstom odpowiadała równie interesująca warstwa muzyczna: Koza od początku stawiał na ambitnych producentów, a w 2021 r. rozpoczął rozłożoną już na trzy płyty współpracę z Kubą Więckiem, nagrodzonym Paszportem POLITYKI kompozytorem wywodzącym się ze sceny jazzowej, saksofonistą i producentem.

– *Z polskimi raperami łączyła go skłonność do przesady i przesytu, ale nie był tak dosłowny czy wręcz łopatologiczny* – podsumowuje Marcin Flint. – *Wyróżniało go za to abstrakcyjne myślenie, rozpiętość skojarzeń, pozwalał też odczuć to, co inni jedynie referowali, na przykład grozę czy dyskomfort. Na naszym gruncie to było świeże, intrygujące, odważne, a nawet brawurowe. W związku z tym, choć wymagał od odbiorców, do czego główny nurt raczej nie przyzwyczaja, zawsze miał grupę oddanych słuchaczy.*

Kult proroka Kozy

Miks biblijno-filozoficzno-horrorowo-psychodeliczny i chwytliwe frazy w stylu „Pójdę do więzienia albo na studia" wytworzyły wokół Kozy swoisty parareligijny kult. – *Mieliśmy bardzo wielu psychofanów, którzy oczekiwali ode mnie jednocześnie intelektualnych tekstów i hardkoru na scenie* – wspomina Kamil Białaszek.

Próbował przebić ten balon, drugą płytę, „Patologyę" (2020 r.), nagrywając w popularnym gatunku trapu i z autoprześmiewczymi tekstami w stylu: „Polski Lévinas na płonących linach/ nawet do mnie nie podbijaj". – *Ten żart nie przez wszystkich został zrozumiany. Znalazłem się w sytuacji, w której prześmiewając własny, wcześniejszy wizerunek, wyniosłem się na jeszcze wyższą pozycję* – relacjonuje. Nie pomogły nawet wywiady, w których zaskoczonym dziennikarzom odradzał słuchanie swoich płyt. Ten okres wspomina z bólem: – *Byłem 19-latkiem, który otrzymał wielką władzę nad ludźmi. Do tego doszły używki, z którymi leciałem grubo, bo alkoholizm mam w rodzinie, nieraz zdarzało się, że się wyczołgiwałem na scenę. Dzisiaj mam poczucie krzywdy, strasznie*

eprasa.pl 4c91f9e87c

się obnażałem i poniżałem przed ludźmi, bo czułem, że jestem im to winien. Długo mi zajęło odejście od takiego postrzegania siebie i potrzeby otrzymywania walidacji od innych.

Trzeźwienie też było bolesne. W 2020 r. była dziewczyna Kozy opublikowała post: „Chciałam was tylko poinformować, że wasz ulubiony raper feminista (którego udostępniały Dziewuchy i lubi się mądrzyć w wywiadach o feminizmie) wykorzystuje po pijaku, bo »swojej dziewczyny nie trzeba pytać o zgodę«. Zdradza i obściskuje naćpany 16-latki na koncertach. Tak jakby ktoś myślał, że to w porządku osoba. Zwłaszcza jego lewicowi fani". Nie próbował się wykręcać: „Pijany w tramwaju próbowałem ją dotykać, skończyłem w momencie, kiedy się przesiadła. Myślałem, że odmawia wtedy dla zabawy. Jestem złą i manipulatywną osobą, zamierzam zawiesić swoją działalność i pójść na terapię. Nie jestem gwałcicielem" – napisał.

Jednak po jakimś czasie wpis usunął, potem opublikował swoją wersję tego burzliwego związku, a sprawę zakończył postem z fragmentem: „Nie czuję się winny wobec nikogo poza N. »Sprawiedliwość społeczna«, która miała być dla mnie wymierną karą zmieniła się w niekończący się lincz". Dzisiaj uważa, że odpokutował. – *Przyznałem się i przeprosiłem wtedy, bo miałem wyrzuty sumienia i chciałem się ukarać. Ale to też był moment, w którym sam byłem sobą bardzo zmęczony i wiedziałem, że albo się skonfrontuję z tym, jak postępowałem, albo będę dalej brnąć w gówno. Dlatego ogólnie jestem wdzięczny za to, że dostałem ten slap na otrzeźwienie. Ktoś powinien był przyjść do mnie już dużo wcześniej i powiedzieć: małolacie, ty się w łeb pierdolnij, co ty robisz w ogóle.*

Właśnie wydana płyta „Człowiek zwany ciszą" (inspiracją był western z 1968 r.), nagrana z Kubą Więckiem, pokazuje inną perspektywę. – *Człowieka, który wie, jak to jest poczuć szczęście i który chce zadbać o pewną stabilność, żeby to szczęście od niego nie uciekło* – tłumaczy Koza. – *Zacząłem też naprawdę się przykładać do tego, co robię, inaczej niż przy moich pierwszych albumach i koncertach, gdzie głównie chciałem się wykazać.*

Ale dodaje, że może też stoi za tym albumem chęć dania rady komuś młodszemu od siebie i nadziei. – *Wiadomo, co to może być za rada od 26-letniego rapera reżysera? Ale może jednak komuś to zarezonuje, może ktoś wyciągnie z tego jakiś wniosek, w ogóle z mojej historii życiowej, że może to jest jakaś lekcja nie tylko dla mnie?* – zastanawia się raper.

Top „Hamletów"

W lutym 2020 r. w warszawskim Teatrze Powszechnym miała premierę „Boska komedia" w reż. Krzysztofa Garbaczewskiego. Spektakl – tyleż monumentalny i ambitny, co niezrozumiały i męczący – w którym mistyczny poemat Dantego sąsiadował z „Neuromancerem" Gibsona i esejami Harariego, a do tego część obsady nosiła gogle VR i odbywała swoją drogę w świecie wirtualnym. Dramaturgiem był 20-letni Koza. Twórców połączyło „poszukiwanie w sztuce metafizycznego niepokoju".

Na teatr Kamil Białaszek patrzy w oryginalny sposób, przez pryzmat doświadczeń psychodelicznych: – *Odkryłem, że wiele tych konceptów, które się pojawiają w sytuacji intensywnego przeżycia emocjonalno-psychotycznego, opisali ludzie teatru. Nie zawsze musi chodzić o narkotyki, ale pewien rodzaj wglądu i samoświadomości jest podobny. Bo teatr jest narzędziem do badania samego siebie, podczas gdy rap jest narzędziem do pokazania samego siebie.*

W teatrze określa się jako postmodernista, bo postmodernizm złapał „dobrą równowagę między groteską a patosem", ta perspektywa, uważa, jest bardzo pokoleniowa – tak świat widzi jego generacja, zetki. Na bycie drugim Krystianem Lupą – twierdzi – brakuje mu cierpliwości. Jego teatr ma energię jego rapu: linijek wystrzeliwanych w kosmos z kosmiczną prędkością; jak jego teksty jest pełen skojarzeń i odniesień, czasem błyskotliwych, czasem irytujących albo dezorientujących. O interesujących go tematach: rywalizacji i jej cenie, traumach i cierpieniu, woli opowiadać poprzez śmiech, groteskę i przerysowanie.

Teatr – w porównaniu z rapem niszowy i wciąż mniej podatny na klasyfikacje i rankingi – miał być dla Kamila Białaszka także oddechem od ścigania się z innymi i ze sobą. Tymczasem ironia losu albo bezlitosna karma – obie odpowiedzi pewnie by docenił – zdecydowała inaczej. Jako reżyser jednej z pięciu realizacji „Hamleta" tej najbardziej szekspirowskiej wiosny od lat (o czym pisaliśmy w POLITYCE 18) znów staje do walki, jak za czasów rapowych bitew. Cel: trafić do Top 3 „Hamletów".

ANETA KYZIOŁ

© KAROLINA JÓŹWIAK, MAREKLAPIS/FORUM

REKLAMA

eprasa.pl 4c91f9e87c

Poznaniowi się należy

Wszyscy jesteśmy marionetkami w rękach historii. Poruszają nami politycy, procesy społeczne i gospodarcze. Moja powieść zrodziła się z namysłu nad tym, na ile jesteśmy wolni – mówi Maciej Płaza o swojej nowej książce.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– W pana nowej, bardzo dobrej powieści „Kasperl i Margit" słyszymy gwarę poznańską. Na ile ona jest żywa?**

MACIEJ PŁAZA: – „Ty to jesteś ale łobuz, tej". Tę charakterystyczną składnię i „tej" słychać w Poznaniu na każdym kroku, młodzi ludzie też tak mówią, co mnie cieszy. Oczywiście tylko drobna część gwary poznańskiej jest żywa, reszta przeszła do archiwum, ale jest otoczona pieczołowitą opieką specjalistów: ukazują się książki, słowniki, nawet przekłady klasyków literatury: „Misiu Szpeniolek", czyli „Kubuś Puchatek", czy „Książę Szaranek", czyli „Mały książę". W Poznaniu bardzo lubiane są „Blubry Starego Marycha". Blubry, czyli humorystyczne opowiastki. Pisał je poznański dziennikarz Juliusz Kubel. To odpowiednik gawęd Wiecha czy śląskich skeczy o Masztalskim. W latach 80. „Blubry" czytane były w radiu, potem wydawano je w książkach i na płytach. Stary Marych stał się uosobieniem „echt poznanioka": prostego, uczciwego, trochę sprytnego, trochę nieudacznego, trochę sknery. Marych jest tak popularny, że parenaście lat temu doczekał się całkiem ładnego pomnika w Poznaniu. Idzie sobie w kaszkiecie, z teczką, z rowerem.

Gwary poznańskiej nie znam od dziecka, bo nie pochodzę z Poznania. Mieszkam tam od wielu lat, dlatego byłem z nią osłuchany, ale długo nie dopuszczałem jej do siebie, była mi obca. Nauczyłem się mówić po poznańsku dopiero, kiedy pisałem

eprasa.pl 4c91f9e87c

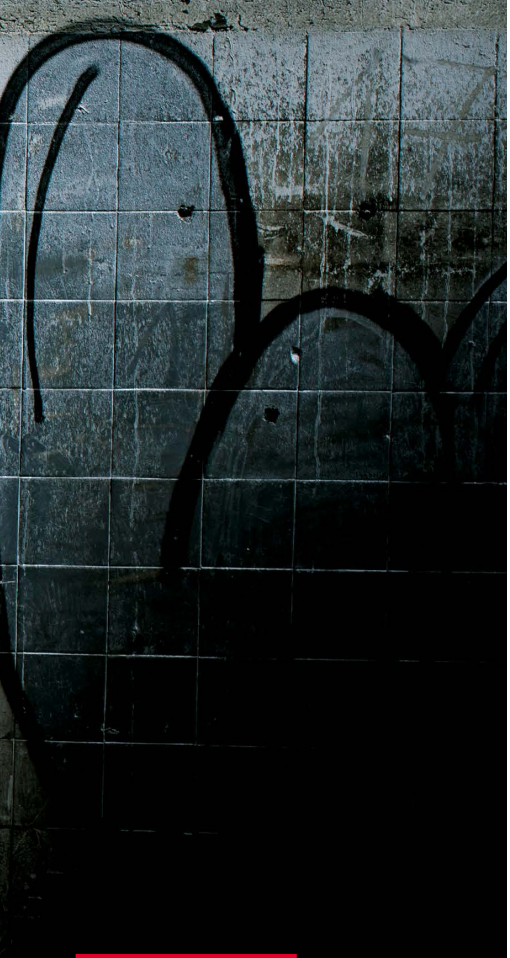

Maciej Płaza (ur. 1976 r.) – prozaik, tłumacz, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Debiutancki „Skoruń" przyniósł mu Nagrodę Literacką Gdynia i Nagrodę Kościelskich. Laureat Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za powieść „Robinson w Bolechowie" i Nagrody „Literatury na Świecie" za przekład opowiadań H.P. Lovecrafta. Powieść „Gólem" była nominowana do Literackiej Nagrody m.st. Warszawy i do Nagrody NIKE. Najnowsza, „Kasperl i Margit", ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego.

„Kasperla i Margit". Poznańska powieść musiała być przynajmniej częściowo napisana po poznańsku. Chciałem, żeby ten język zaczął sam grać w głowie czytelnika. Nawet jeśli z początku jest trudno zrozumiały, słowa w rodzaju „narychtować", „kitrać" czy „mela" tłumaczą się kontekstowo. Ale na wszelki wypadek w książce jest też słowniczek.

Skąd pomysł powieści o aktorce i wędrownym grajku osadzonej w pierwszym 30-leciu XX w.?

Z początku chciałem napisać powieść rozpiętą, jak by powiedział Michał Głowiński, na micie Orfeusza i Eurydyki. Kasperl to plebejski Orfeusz, chociaż długo o tym nie wie: muzyk, który czaruje swoim graniem i śpiewem, wyrusza na coś w rodzaju wyprawy po złote runo, a wreszcie poznaje Margit, która też nie od razu rozumie, że jest Eurydyką. Później powieść tak się rozbudowała, że ten wątek przestał być pierwszoplanowy, ale jest widoczny i ważny. Drugim ziarnem, z którego wyrosła ta książka, jest moje zamiłowanie do teatru lalkowego. To magiczna, choć niedoceniana dziedzina sztuki. Od dawna chciałem napisać powieść o lalkarzach. No i piosenka uliczna. Zawsze zazdrościłem Warszawie, że ma taką wspaniałą tradycję hultajskiej ballady.

Rzeczywiście dobrze by było, żeby powstała taka powieść oparta na języku Wiecha i Grzesiuka.

W Poznaniu nie mieliśmy takich artystów jak Grzesiuk, Stasiek Wielanek czy Orkiestra z Chmielnej. Ale muzyka uliczna jest w każdym mieście, można ją sobie wyobrazić. Od początku wiedziałem, że parą głównych bohaterów będzie muzykant i aktorka, a akcja będzie się rozgrywać w pierwszych trzech dekadach XX w. Reszta przychodziła z czasem. Powieść bardzo się rozrosła już na etapie zbierania materiałów. Gdy wysłałem Margit do Berlina, musiałem opisać to miasto tak, żeby nie było teledyskowym skrótem, ale naprawdę żyło. Życiem obojga bohaterów rządzą dwa przeciwne żywioły: tragiczny i komiczny. Historia Margit jest właściwie melodramatem, dlatego nie bałem się stosować w niej dramatycznych zwrotów akcji. Historia Kasperla jest komedią rodem z opowieści sowizdrzalskich i ludowych teatrzyków lalkowych. Kasperl idzie przez świat jako komediant, choć życiowe wypadki oraz miłość do Margit próbują przeciągnąć go na stronę tragiczną. Ostatnim słowem jego opowieści jest jednak śmiech.

Nieco komiczny jest miejscami obraz powstania wielkopolskiego, Paderewski to Pazurowski. Dlaczego to powstanie, jedyne zwycięskie, nie stało się narodowym mitem?

Pazurowskiego nie wymyśliłem, to przekręcone nazwisko pochodzi z anegdoty. Gdy w grudniu 1918 r. Paderewski przyjechał do Poznania, wśród delegacji powitalnych znaleźli się chłopi z Szamotuł, a wśród nich pewien staruszek, który ponoć po powrocie do domu powiedział: „Pazurowski jak Pazurowski, ale jak mi Pazurowska gęby dała, to mi do dzisiaj słodko". Gęby, czyli całusa.

Moment przyjazdu Paderewskiego, czyli zarzewie powstania wielkopolskiego, chciałem pokazać w tonacji nieco komicznej, żeby odjąć mu patosu. Ale gdy wybuchają walki, opisuję je z szacunkiem. Narodowe mity potrafią być niebezpieczne, ale nie mam intencji brukania ich. Zresztą powstanie wielkopolskie raczej nie miało szans, by stać się ogólnonarodowym mitem. Po pierwsze, było zwycięskie, a my wolimy czcić klęski. Po drugie, jest znacznie bardziej jednoznaczne niż powstanie warszawskie. W Poznaniu nie dyskutuje się o tym, czy powstanie powinno było wybuchnąć, bo to oczywiste. Powinno było, wybuchło i przyniosło zamierzony efekt. Poza tym w II RP Wielkopolska była antypiłsudczykowska, poznańscy oficerowie nie wsparli przewrotu majowego, pewnie więc także polityka historyczna sanacji zdecydowała o tym, że powstanie wielkopolskie nie doczekało się należytego uznania. Tak czy owak w rozdziałach powstańczych starałem się być wierny faktom: pokazałem dzielność i ofiarność powstańców, niekiedy bardzo młodych chłopaków, ale też brak dyscypliny czy chaotyczny charakter niektórych walk.

Literatura współczesna niespecjalnie interesuje się tym powstaniem.

Dlatego uznałem, że Poznaniowi się to należy. We wszystkich moich książkach silnie zgłębiam lokalność, którą sobie wybrałem za miejsce akcji. Staram się te światy dokładnie przedstawić, oddać ich złożoność i wielobarwność, opisać lokalne konflikty. Zaciekawiła mnie na przykład dawna dwunarodowość Poznania. Do końca XIX w. mieszkało tam więcej Niemców niż Polaków. Chciałem sobie wyobrazić, jak wyglądał i brzmiał ten prusko-polski Poznań. A ponieważ literacko najciekawsze są tożsamości niejednoznaczne, postanowiłem, że mój Kasperl nie będzie ani Niemcem, ani Polakiem, tylko właśnie Mischlingiem, narodowym mieszańcem: jego matka jest pół-Niemką.

To jest powieść o kundlach, ludziach o skomplikowanej tożsamości. Wszyscy jesteśmy trochę kundlami?

Mieszane tożsamości są znakomitymi generatorami ciekawych fabuł. Kasperl zresztą swoją „miszlingowatość" wykorzystuje, bo jako dziecko ulicy troszczy się głównie o przetrwanie: na niemieckich ulicach gra piosenki niemieckie, na polskich śpiewa po polsku. Margit to polska hrabianka, ale zmieszczaniała, a w dodatku poprzez małżeństwo wchodzi w świat niemiecki, co w Poznaniu było zupełnie normalne. Z kolei Anton, jej mąż, ▶

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 4c91f9e87c

▶ po matce jest Żydem. Moi bohaterowie trafiają między tryby historii, która z właściwą sobie ironią robi z nimi, co chce. Najbardziej złośliwie obchodzi się z Antonem, dumnym Prusakiem, który za młodu uważa, że właśnie Mischlingowie są siłą napędową narodu niemieckiego. Pamiętamy, jak potem naziści potraktowali takich ludzi jak on.

Berlin po pierwszej wojnie światowej bardzo często pojawia się w kulturze, nie przeszkadzało to panu?

Republika Weimarska jest już w popkulturze dobrze opisana i opatrzona. Są niezliczone książki, filmy takie jak „Kabaret", seriale w rodzaju „Babylon Berlin". Mnóstwo źródeł. Ale od czasu „Golema" nie boję się brać na warsztat tematyki, która na pozór wydaje się wyczerpana. Jeśli naprawdę porządnie pozna się jakiś świat, nie ma obawy, że opisze się go wtórnie, bo otwiera się wtedy przestrzeń dla wyobraźni. Przeczytałem wiele książek, oglądałem albumy malarstwa, obejrzałem wiele niemieckich filmów z tamtych lat: F.W. Murnaua, Fritza Langa itd. Ponieważ moja bohaterka jest aktorką, najbardziej interesował mnie teatr, głównie Maxa Reinhardta, no i teatry lalkowe. W książce musiał też pojawić się Bertolt Brecht: skoro Kasperl jest muzykantem ulicznym i po pierwszej wojnie przybywa do Berlina, wydało mi się konieczne, by trafił na Brechta, który swoją karierę zaczynał między innymi od grania piosenek w kawiarniach, knajpach i kabaretach. Songi Brechta były dla mnie jedną z głównych inspiracji, przez wiele miesięcy słuchałem ich nieprzerwanie w rozmaitych językach i wykonaniach. Dlatego narracja Kasperla tak często przejmuje ich melodię i rytm. Wielką uciechę sprawił mi pomysł, by mojemu Kasperlowi przypisać autorstwo wielu pomysłów Brechta.

Pojawia się nie tylko Bertolt Brecht, ale i Stefan Zweig, i Thomas Mann; postaci historyczne mieszają się z fikcyjnymi?

W czasie, gdy Margit trafia do Salzburga, czyli pod koniec lat 20., Stefan Zweig był tam miejscowym celebrytą. A ponieważ jego postać aż się prosi, by ją ukazać ze szczyptą komizmu, postawiłem na jego drodze nie Margit, tylko Kasperla. Thomas Mann również mógł tam być: mieszkał w Monachium, czyli bardzo niedaleko, przyjaźnił się z Zweigiem. Zresztą biografie i twórczość ich obu odbijają się w fabule mojej książki: Zweig z konieczności stał się wygnańcem, życiowym Odyseuszem, trochę jak Margit, z kolei duch Manna unosi się nad całą powieścią. Jedną z moich głównych literackich inspiracji były „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla". Ważny był też dla mnie Friedrich Wilhelm Murnau, wielki reżyser i wizjoner, który potrafił przewidzieć przyszłość kina, choćby to, że filmy staną się kolorowe, trójwymiarowe i będzie się je oglądać w domu. Chciałem też, by Murnau pojawił się jako uosobienie niespełnionych możliwości w życiu mojej bohaterki. Margit to szalenie mądra kobieta, wrażliwa osoba. Jest mi bardzo bliska.

Myślę o tej powieści jako o rodzaju Bildungsroman, czyli powieści o dojrzewaniu. U Goethego Wilhelm Meister przechodził przez wtajemniczenie w teatr, który był jakimś etapem. Margit przechodzi przez fałszywe uwiedzenia, by dojść do teatru lalek i do samopoznania?

Tak, to jest rodzaj Bildungsroman. Margit przechodzi jednak inną drogę niż Wilhelm Meister, bo teatr lalek okazuje się dla niej celem, nie etapem. Mottem jej wędrówki jest znany esej Heinricha von Kleista „O teatrze marionetek". Lalkarz Unger, który wtajemnicza Margit w sztukę lalkarską, otwiera przed nią nową drogę, gdy jej kariera aktorki scenicznej i filmowej zostaje przedwcześnie strzaskana. Unger, wyrażając pogląd Kleista, uświadamia jej, że marionetka to aktor idealny, wolny od wad i ograniczeń właściwych człowiekowi, takich jak wiek, próżność i blichtr. Margit z czasem zaczyna dostrzegać, że teatr marionetek daje jej możność dalszego samopoznania.

Pierwsze wtajemniczenie teatralne okazało się niebezpieczne. Nowa sztuka też była wyzwoleniem przemocy?

Margit dała się uwieść weimarskiemu Berlinowi, uległa jego rozpustnej i dekadenckiej atmosferze. Nie posłuchała swojego pierwszego mentora, Maxa Reinhardta, który apelował do aktorów, by skupiali się na sztuce i nie szafowali sobą. Zapewne więc nie przeszła tego wtajemniczenia tak, jak powinna. Spośród wszystkich twórców aktor jest najbardziej wystawiony na pokusy, bo gra swoim wizerunkiem i ciałem. Zrobić wielką karierę aktorską i zarazem pozostać sobą jest rzeczą trudną. Ze świata teatru i filmu wychodzą zresztą różne drogi. Margit przeżywa upadek, triumfuje natomiast Markiza Casti-Piani. Markiza to postać fikcyjna, ale jej biografia jest po trosze inspirowana życiorysem Leni Riefenstahl. Kobieta odpowiednio silna i zdecydowana, odpowiednio cyniczna i opancerzona przeciwko próbom zawłaszczenia mogła zrobić podobną karierę nawet w tamtych czasach. Markiza odkryła klucz do manipulowania zbiorową wyobraźnią i gdy władzę w Niemczech objęli naziści, poszła z tym kluczem do nich. Właśnie tak, jak zrobiła to Leni Riefenstahl, która od filmów o alpinistach przeszła do monumentalnych dokumentów w rodzaju „Triumfu woli". W twórczości obu reżyserek, autentycznej i fikcyjnej, ciekawi mnie ten moment przejścia, gdy skumulowana ludzka energia, czy to plemienno-nacjonalistyczna, czy seksualna, zostaje zgalwanizowana i znajduje ujście w przemocy.

Opowiada pan o ludziach uwikłanych w historię, pociąganych przez ideologów jak marionetki za sznurki, i dlatego jest to książka bardzo współczesna.

Wszyscy jesteśmy marionetkami w rękach historii. Poruszają nami potężni lalkarze: politycy, przywódcy, tyrani, a także procesy społeczne czy gospodarcze. W dodatku żyjemy nie tylko w świecie faktów, ale też idei. Nie możemy patrzeć na świat po swojemu, bo wzrok zasłaniają nam sztandary z hasłami: niepodległość, Polska, antysemityzm, komunizm. Nasza wolność jest bardzo ograniczona. Moja powieść zrodziła się w dużej mierze z namysłu nad tym, na ile jesteśmy wolni. To zresztą kwestia również metafizyczna, bo nie wiemy, czy naszym istnieniem ostatecznie nie kieruje ręka przeznaczenia. Pisząc powieść o marionetkach i marionetkarzach, samemu ma się całkowitą władzę nad wymyślonymi postaciami, trudno więc uciec od refleksji, że i my możemy być po prostu wymyślani, pisani. Swoją drogą już od „Golema" zastanawiam się, na ile chciałbym i umiałbym odginać historię w inną stronę niż ta, która się ziściła. Uważam, że jednostka ma w świecie niewielką sprawczość, dlatego historia w moich książkach biegnie mimo wszystko swoim torem. Ale w kolejnej powieści, którą już zacząłem pisać, opowiadającej o Sandomierzu w pierwszej połowie XX w., mam pokusę, by inaczej pokierować lokalnymi dziejami. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 4c91f9e87c

Polak w kulturze zanurzony – w pojedynkę

Polacy zanurzeni są w kulturze. Szokująca teza? Prawdziwa i wybrzmiała podczas II Forum Narodowego Obserwatorium Kultury, do którego wprowadzeniem była prezentacja raportu „Aktywni i nieobecni. Kontekstowe badania uczestnictwa w kulturze", przygotowanego pod kierunkiem prof. Marka Krajewskiego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Polacy są aktywni w sferze kultury – oglądamy telewizję, słuchamy radia, podkastów i muzyki, czytamy i przeglądamy książki i gazety. Czytanie, słuchanie i przeglądanie towarzyszą codziennym obowiązkom, zaspokajaniu potrzeb fizjologicznych, opiece nad innymi czy pracy.

– *Jednocześnie te aktywności są silnie zapośredniczone przez media, w tym z wykorzystaniem zdemonizowanego telefonu komórkowego. To dlatego też często mają rolę separującą. Większość osób jest aktywna, ale obecność w kulturze realizuje w pojedynkę, co najlepiej obrazują codziennie spotykani przez nas ludzie podążający za swoimi sprawami ze słuchawkami na uszach* – mówi Grażyna Pol, współautorka raportu, socjolożka, badaczka kultury i kierowniczka Działu Badań i Analiz w Narodowym Centrum Kultury, dodając, że ten indywidualizm może oznaczać nieobecność w instytucjach kultury, które w powszechnym przekonaniu są głównym miejscem, w którym kultury doświadczamy.

Dr Joanna Orlik, zastępczyni dyrektora Narodowego Centrum Kultury, podkreśla, że Forum to przestrzeń nie tylko do prezentacji wyników badań i wymiany doświadczeń czy budowy sieci współpracy. I wyjaśnia, że Obserwatorium działa, opierając się na czterech filarach. Pierwszy to samospis – każdy podmiot realizujący badania dotyczące kultury może wysłać do NOK swój raport (dzisiaj jest ich ponad 250).

– *Drugim filarem jest cykliczne Forum, w którym kluczowa jest implementacja wyników badań. Jego druga edycja pokazała, że dla reprezentantów instytucji to wdrożenie jest ważne, ale rozumieją je inaczej niż badacze. Ci pierwsi zadają pytanie: „To co my powinniśmy zrobić?", podczas gdy ci drudzy przedstawiają stan rzeczy, bo decyzyjność w instytucjach kultury jest poza ich kompetencjami* – mówi dr Orlik, dodając, że trzecim filarem

© ALINA METELYTSIA-KOLISNYK / NCK

Paneliści II Forum NOK, od lewej: Dominika Kawalerowicz (Wrocławski Instytut Kultury), Przemysław Smyczek (Urząd Miejski w Bielsku-Białej, Polska Stolica Kultury 2026), dr Marta Ryczkowska (Instytucja Europejska Stolica Kultury Lublin 2029), Robert Piaskowski (Narodowe Centrum Kultury), Justyna Makowska (Urząd Miasta Poznania, Koalicja Miast)

Forum jest możliwość budowania koalicji i pozyskiwania środków na projekty badawcze finansowane przez NCK w ramach programu dotacyjnego Kultura – Interwencje.

– *I wreszcie czwarty filar – dzięki temu, że projekty realizowane są z programu dotacyjnego NCK, zyskujemy dane, które po zanonimizowaniu gromadzimy w Repozytorium Danych Społecznych przy Uniwersytecie Warszawskim. Zbierane w badaniach i projektach dane budują zasób wiedzy, do którego możemy się odwoływać chociażby w kolejnych iteracjach podejmowanych działań* – mówi dr Orlik, podkreślając, że dzięki raportowi zaprezentowanemu podczas II Forum można odczarować stereotyp Polaka obojętnego na kulturę.

– *Jesteśmy zainteresowani światem. To istotna zmiana obrazu, bo zyskujemy dodatkowy wymiar, który wchodzi w niedoceniane szczeliny, a więc te codzienne czynności instrumentalne, jak nazywa je prof. Krajewski* – mówi dr Joanna Orlik i wtóruje jej Grażyna Pol, dodając, że drugą istotną informacją jest to, że samotniczy proces uczestnictwa w kulturze jest w większości oparty na słuchaniu, dźwiękowy, a nie – jak mogłoby się wydawać – wizualny.

Raport zaprezentowany podczas II Forum wskazuje też na to, że instytucje kultury muszą się redefiniować jako centra budowy relacji i więzi społecznych.

– *W dużym mieście możemy wybrać instytucję, która odpowiada nam najbardziej. W mniejszych społecznościach, gdzie często taką instytucją jest biblioteka, siłą rzeczy powinna być ona otwarta na wszystkich, którzy ten obszar zamieszkują* – dr Orlik podkreśla, że wartością w tym kontekście są domy kultury, które tak jak biblioteki dokonały ogromnego progresu, de facto pełniąc funkcje lokalnych centrów aktywności.

Konkluzje po II Forum czekają na opracowanie. Na koniec 2026 r. przygotowywana jest prezentacja badań dotyczących zawodu edukatora w muzeum i transmisji know-how oraz wyzwań w pracy w obszarze kultury. Na II Forum wybrzmiała też kwestia wykorzystania sztucznej inteligencji i to kolejny temat w orbicie zainteresowań Obserwatorium.

II Forum NOK odbyło się 16–17 kwietnia we Wrocławiu we współpracy z Wrocławskim Instytutem Kultury i Concordia Design Wrocław.

Katarzyna Kaczorowska

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Narodowym Centrum Kultury

eprasa.pl 4c91f9e87c

Paweł Pawlikowski odniósł spektakularny sukces i ma spore szanse na Złotą Palmę. Jego najnowszy film wzbudził zachwyt w Cannes.

JANUSZ WRÓBLEWSKI Z CANNES

Fantazja Pawlikowskiego

Hanns Zischler jako Tomasz Mann i Sandra Hüller w roli jego córki Eriki w filmie Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna"

Recenzje „Ojczyzny" nie pozostawiają wątpliwości: Polak nie wyjedzie z Cannes bez nagród. „To wyjątkowo elegancki i wyważony film, którego zwięzła forma i dyscyplina formalna mieszczą potężny ładunek emocjonalny" – zauważa recenzent „Guardiana". „Opowiadany z wyrafinowaną powściągliwością, a jednocześnie wielowarstwowy niczym palimpsest" – chwali branżowy „The Hollywood Reporter". „Mieszanka intymności i dystansu, przenikliwy i ambitny film, który chce obnażyć rozdartą duszę Niemiec po drugiej wojnie światowej" – to z kolei „Variety".

Nowy film Pawła Pawlikowskiego stanowi imponujące domknięcie jego czarno-białej trylogii, w której skład wchodzą „Ida" i nagrodzona za reżyserię w Cannes „Zimna wojna". Estetycznie to równie wyrafinowana konstrukcja, z dyskretnymi odniesieniami do klasyki kina, fotografii z połowy XX w., pięknie sfilmowana przez Łukasza Żala. Spowolniony, intelektualno-poetycki rytm zamyka w zaledwie 71 min wyjątkowo skondensowaną i bogatą w sensy opowieść, w której reżyser – jak w poprzednich filmach – wraca do czasów powojennych, znów drąży problem rozliczeń wywołanych okupacyjną pożogą, lecz tym razem interesują go niezabliźnione rany niemieckiej historii. Przedstawia to szerzej, w kontekście rozdartej ideologicznymi podziałami Europy, trzymanej w szachu przez dominujące mocarstwa: Sowietów i Amerykanów, co świadomie przybliża wymowę filmu do współczesnych sporów: o kierunek, w jakim podąża nasz świat, kryzys wartości, utratę wiarygodności elit, szczególne miejsce sztuki i oczywiście także o duchową pustkę po śmierci Boga.

Pawlikowski z uwagą i ogromnym dystansem obserwuje pękniętą, podzieloną rzeczywistość, w której trwa nieustanny bal maskowy, pozwalający rozmaitej maści cynikom, oportunistom i karierowiczom nadal odgrywać ważne role w zmienionych powojennych realiach. Jak inaczej zorganizować świat, czy i od czego powinno się przeprowadzać rozrachunki? „Operę w Bayreuth należałoby zburzyć, a córkę Ryszarda Wagnera postawić pod sąd" – nakłuwa balon monstrualnej niemieckiej hipokryzji Tomasz Mann, bohater filmu, zwracając się do wnuków i spadkobierców kompozytora, zabiegających o jego poparcie w sferach rządowych. To jego odpowiedź na wizję założenia dotowanej przez państwo fundacji, kultywującej wagnerowski światopogląd przesiąknięty rasizmem, autorytaryzmem i mizoginizmem.

Jeszcze ostrzej – bo publicznym wymierzeniem policzka swojemu byłemu mężowi Gustafowi Gründgensowi, jednemu z najsłynniejszych i najbardziej wpływowych niemieckich aktorów XX w., otwarcie kolaborującemu z nazistami – reaguje córka Manna Erika. Sprowokowana zostaje zarzutami, że Mann i jego rodzina wyemigrowali z III Rzeszy, żeby się grzać w kalifornijskim słońcu. Gründgens to niesławny bohater powieści „Mefisto", napisanej przez jej brata Klausa, w której lizusostwo i brak kręgosłupa aktora zostały zdemaskowane. Ten jednak, wykorzystując po wojnie swoją uprzywilejowaną pozycję, długi czas skutecznie blokował wydanie książki na Zachodzie. Znamy oczywiście takie skandale z własnego podwórka. Czesław Miłosz, posługując się metaforą Ketmana, opisywał podobne zachowania polskich elit w „Zniewolonym

© SCOTT A GARFITT/INVISION/AP/EAST NEWS, AGATA GRZYBOWSKA

eprasa.pl 4c91f9e87c

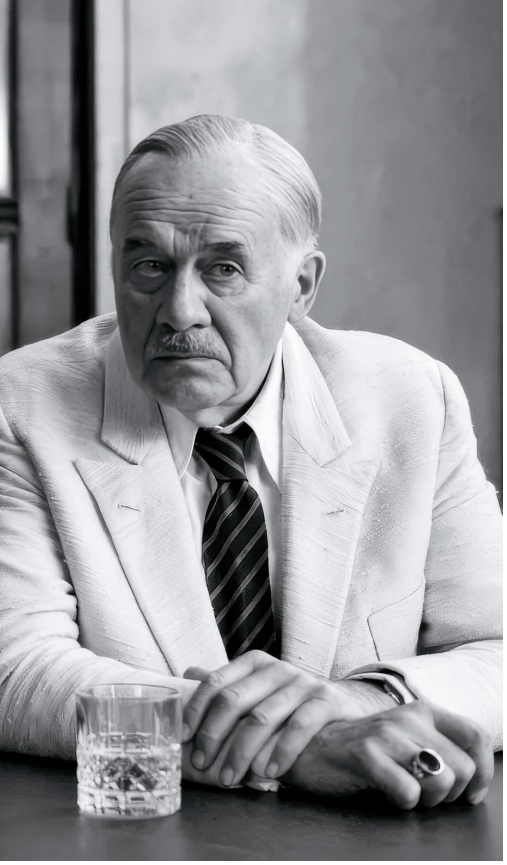

umyśle". W niemieckim kostiumie wyglądają one niemniej groteskowo i tragicznie, a może nawet ciekawiej.

W samym centrum tych mefistofelicznych zabiegów staje w „Ojczyźnie" Tomasz Mann, spadkobierca tradycji Goethego, intelektualny autorytet dwóch niemieckich plemion, rozdzielonych po wojnie sztuczną granicą. Colm Tóibín w powieści „Czarodziej", która posłużyła Pawlikowskiemu za inspirację, portretuje autora „Czarodziejskiej góry" jako oderwanego od codziennych trosk narcyza. Mann u Tóibína najbardziej na świecie pragnie stabilizacji, podczas gdy historia pisana przez duże H i jego własna natura nieustannie usuwają mu dywan spod nóg. To postać ulepiona z paradoksów: mieszczański konserwatysta, który stał się ikoną antyfaszyzmu, w swoich dziennikach (opublikowanych dopiero po śmierci pisarza w 1955 r.) z niemal kliniczną precyzją opisujący pożądanie do młodych mężczyzn. W filmie ten akurat wątek obyczajowy zostaje pominięty.

Pawlikowski odbiega znacznie od wielowątkowej powieści Tóibína, modyfikuje chronologię wydarzeń, kładzie za to akcent na rodzinne relacje patrzącego z wyżyn swojej nieomylności pisarza. Polak nie trzyma się ściśle faktów. W filmie przesunął w czasie samobójstwo Klausa Manna, a żonę Tomasza Katię – towarzyszącą mu w prawdziwej podróży do Niemiec w 1949 r. – zastąpił postacią jego córki Eriki. To ona uświadamia mu, że jego intelektualny autorytet jest wykorzystywany przez politycznych graczy.

Największym grzechem młodego i dojrzałego Manna była jego wiara w prymat kultury nad polityką. Jako autor „Rozważań człowieka apolitycznego" długo wierzył, że niemiecki duch jest zbyt głęboki i szlachetny, by mogła go skazić brutalność dosłownej, fizycznej walki o władzę. W nazizmie widział wulgarność, a nie egzystencjalne zagrożenie dla cywilizacji. Jego zwłoka w potępieniu III Rzeszy nie wynikała z sympatii do narodowego socjalizmu, lecz z lęku przed utratą niemieckiego czytelnika i bezpiecznego statusu „pierwszego pisarza narodu". Mann musiał zostać wypchnięty z ojczyzny, by zrozumieć, że w świecie totalitarnym milczenie intelektualisty jest formą kolaboracji.

16-letni pobyt w USA, przypieczętowany przyjęciem obywatelstwa amerykańskiego, a zwłaszcza luksusowe warunki na wygnaniu w Pacific Palisades, to okres, w którym Mann ostatecznie utożsamił się z rolą sumienia Niemiec. To fascynujący moment: człowiek, którego polityka nudziła lub mierziła, stał się potężnym narzędziem propagandowym w rękach Amerykanów. Pod wpływem nacisków OSS (prekursora CIA) oraz córki Eriki regularnie nagrywał przemówienia radiowe „Deutsche Hörer!", które brytyjskie bombowce zrzucały nad Rzeszą. Mann stał się twarzą demokracji, choć w głębi duszy pozostał XIX-wiecznym arystokratą ducha, który o masach i rządach ludu myślał z dużą dozą nieufności. Był aktorem grającym obcą mu rolę, a Amerykanie stworzyli mu najlepsze ku temu warunki.

Prywatne życie Manna przypominało precyzyjnie wyreżyserowany spektakl i o nim w znacznym stopniu opowiada film Pawlikowskiego. Autor „Czarodziejskiej góry" odgrywał w nim rolę gwiazdy, reszta rodziny – personelu technicznego zapewniającego mu kokon, dzięki któremu mógł swobodnie i bez przeszkód tworzyć. I „Ojczyzna" skupia się właśnie na relacji ojca i córki, pełniącej funkcję jego osobistej sekretarki, troskliwej gospodyni, lokaja, kierowcy, ale i tłumaczki, inteligentnej redaktorki oraz czułej powierniczki. Sandra Hüller stworzyła kolejną wybitną kreację, będącą emocjonalnym sercem filmu.

Klaus, najstarszy syn Tomasza – ważna, lecz epizodyczna postać w filmie – miał nieprzeciętny talent pisarski, ale żył w cieniu ojca. W wieku 43 lat popełnił samobójstwo, a jego śmierć stanowi zaczyn prawie niewidocznego w „Ojczyźnie" procesu załamania duchowego Tomasza i Eriki, prowadzącego ich do obarczenia się winą. Z drugiej strony – do zakwestionowania sensu powojennych przemian, przemyślenia na nowo mocy sprawczej sztuki, wiary w Boga.

Powojenna podróż Manna w 1949 r., kiedy to odwiedził zarówno Frankfurt (RFN), jak i Weimar (NRD), by wygłosić wykłady o Goethem, była jego ostatnim wielkim gestem politycznym. Właśnie ta wizyta w zrujnowanych, skłóconych, pogrążających się we wzajemnej nienawiści Niemczech stanowi główną oś fabularną filmu Pawlikowskiego. Pisarza, który został za tę podróż ostro skrytykowany na Zachodzie i oskarżony o sprzyjanie komunistom, gra tu z godną podziwu powściągliwością 79-letni Hanns Zischler, gwiazda europejskiego kina, znany m.in. z produkcji Wendersa, Handkego, Chabrola, Szabó. A przy okazji – wybitny znawca życia i twórczości Manna, erudyta, tłumacz i podkaster.

„Ojczyzna" nie jest typowym filmem biograficznym ani klasycznym kinem drogi. To – jak chce producentka Ewa Puszczyńska – „fantazja na temat fantazji o biografii Manna". Jej wielkość polega na tym, że z niezwykłą delikatnością i prostotą wyraża najgłębsze problemy nas wszystkich, a najbardziej tych, którzy przyjęli na siebie ciężar bycia przewodnikami narodu. Don Kichotów błądzących między potrzebą uznania a uległością czy pokusą bycia na usługach tej siły, która – jak dowcipnie zapewnia oficer KGB w filmie – wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro. Wszelako może najbardziej „Ojczyzna" sprawdza się jako poemat opisujący zniszczony biblijny ogród oraz potrzebę zakorzenioną w każdym człowieku, by istniał jakiś ponadludzki porządek, którego ślady odnajdujemy jedynie w wielkiej sztuce.

Kino Pawlikowskiego stawia pytania tam, gdzie oczekiwałoby się odpowiedzi. Zamiast wyrazistego określenia zawiesza osąd lub tylko naprowadza na jakąś myśl. Taki minimalizm w epoce gorących sporów ideologicznych wydaje się niemal prowokacją – to świadomy wybór artysty, esencjonalny język, którym potrafią się posługiwać jedynie najwięksi twórcy. ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Ofiary bangarangi

Kolejne imprezy kulturalne w cieniu bojkotów, Eurowizja z olbrzymim kryzysem wizerunkowym. Zjawisko dotyczy całych krajów prowadzących wojny, więc to już nie cancel culture, tylko cancel country.

BARTEK CHACIŃSKI

Przy okazji szczęśliwego dla siebie półfinału Alicja Szemplińska, polska reprezentantka na Eurowizji, dostała mniej szczęśliwe pytanie. Dziennikarka zapytała ją, co ma do przekazania fanom w Izraelu. Nasza artystka spojrzała na nią z mieszaniną zdziwienia i paniki, uśmiechnęła się do kamery i zawołała na pomoc swoją ekipę. Ta scena stała się memem imprezy, bo subtelnie podsumowała problem, jaki mieli artyści z atmosferą tegorocznego konkursu, naznaczonego uciszanymi przez organizatorów próbami bojkotu Izraela.

W tym samym półfinale można było usłyszeć okrzyki „Stop! Stop genocide!" (Stop ludobójstwu) podczas występu Noama Bettana, reprezentanta Izraela. Wersja przygotowana na YouTube została już wyczyszczona z krzyków, sekcja komentarzy – wymoderowana aż do poziomu jednomyślnego aplauzu. A czwórka fanów Eurowizji, którzy najmocniej upominali się o wolną Palestynę – wyprowadzona przez stanowczą austriacką ochronę. Podczas sobotniego finału okrzyków już nie było – tylko buczenie, gdy ogłaszano zawrotną liczbę punktów oddanych przez publiczność na Bettana, który był o włos od zwycięstwa (zajął drugie miejsce za Bułgarką Darą i jej piosenką „Bangaranga"). Polskie jury przyznało Izraelowi – jako jedyne – maksymalną notę 12 punktów, w czym trudno nie czytać próby skompensowania naturalnego gestu Szemplińskiej. Ta ostatnia zajęła 12. miejsce, ale w stylu, który pozostanie jednym z nielicznych pozytywów całej imprezy.

Zaskakujące rozstrzygnięcia to wynik gorącej politycznej atmosfery tegorocznego konkursu. Jeszcze w ubiegłym roku doszło do ostrego sporu na łonie organizatora imprezy – Europejskiej Unii Nadawców (EBU). Poszło o postawę Izraela. Z jednej strony kraj ma na sumieniu kilkuletnie działania wojskowe w Strefie Gazy, naloty na Liban oraz – w czerwcu ubiegłego roku – atak na Iran, a przy tym wprost oskarżany jest przez wiele organizacji międzynarodowych o ludobójstwo w Gazie („udział Izraela w Eurowizji to rażąca hipokryzja i zdrada ludzkości" – czytamy w oświadczeniu Amnesty International). Prowadząca działania wojenne Rosja jest za burtą Eurowizji od 2022 r. Z drugiej strony Izrael obwiniano też o niedozwolone zabiegi promocyjne: wpływ na głosowanie publiczności przez zorganizowaną kampanię o wartości 800 tys. dol. przy okazji poprzedniej edycji konkursu.

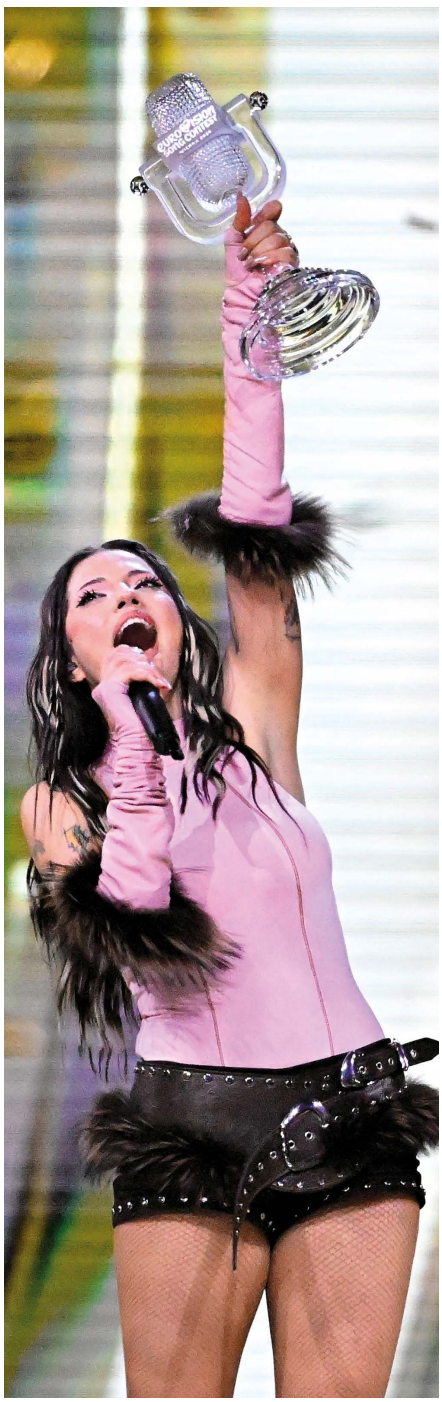

Tegoroczna zwyciężczyni Bułgarka Dara

© TOBIAS SCHWARZ/AFP/EAST NEWS

Śledztwo dziennikarzy „New York Timesa" dowiodło, że nieprawidłowości były: wsparcie finansowe na kampanię płynęło prosto z agend rządowych, co niedozwolone w tym konkursie, a wpływ tej kampanii na głosowania w poszczególnych krajach doprowadził do kuriozalnych efektów – np. w Hiszpanii oddano rok temu pięciokrotnie (!) więcej głosów na Izrael niż na drugą w rankingu Ukrainę. Nie ma wątpliwości, że Izrael używa konkursu jako instrumentu soft power.

EBU zmieniła w listopadzie 2025 r. regulamin, by powściągnąć praktyki, o które oskarżany był Izrael, ale nie wyeliminowała tego kraju z udziału w imprezie. To doprowadziło do wycofania się z tegorocznej edycji aż pięciu krajów: Hiszpanii, Holandii, Islandii, Irlandii i Słowenii. To gest dotąd niespotykany i bardzo poważny – zbojkotował konkurs współlider kategorii wszech czasów w liczbie zwycięstw (Irlandia, dzieląca to miejsce ze Szwecją), numer dwa tej kategorii (Holandia) oraz jeden z krajów z tzw. wielkiej piątki Eurowizji, mający gwarantowane miejsce w finale (Hiszpania).

Kontrowersje nie słabły. Zwracano uwagę, że głównym komercyjnym sponsorem Eurowizji – w tutejszej nomenklaturze *presenting partner* – od kilku lat jest Moroccanoil, koncern kosmetyczny założony w Tel Awiwie. Polski nadawca, czyli TVP (a to nadawcy publiczni reprezentują kraje w EBU), nie zdecydował się na bojkot, ale wyraźnie obniżył rangę konkursu: wyemitował krajowe eliminacje z odtworzenia, w dodatku po południu. Wcześniej z rywalizacji wycofały się artystki z dużym dorobkiem, potencjalne faworytki w głosowaniu: Karolina Czarnecka i Mery Spolsky. Ostateczną laureatkę – Alicję Szemplińską – ogłoszono w niedzielnym

eprasa.pl 4c91f9e87c

„Pytaniu na śniadanie", co komentowaliśmy na polityka.pl jako znak tego, że próbujemy na tegoroczną Eurowizję wejść możliwie po cichu.

Ostatecznie to ostatnie się nie udało. Prowokacyjny uśmiech stał się jednym z symboli politycznej batalii wokół tegorocznej Eurowizji. A polska wokalistka błysnęła naturalnością, dystansem („Beyoncé z Temu" – mówiła sama o sobie), zdobyła drugie miejsce w swoim półfinale (za Izraelem) i kilka jurorskich „dwunastek", a wykonawczo wypadła bez zarzutu.

Historia politycznych bojkotów na Eurowizji jest niemal tak stara jak sam konkurs. W tym telewizyjnym wyścigu zmagają się ze sobą artyści reprezentujący kraje, często też lokalne kultury i języki. Od dawna Eurowizja była areną politycznych gestów. Jednym z pierwszych była absencja Austrii, której reprezentacja nie przyjechała na konkurs do Madrytu w 1969 r. na znak sprzeciwu wobec rządów gen. Franco w Hiszpanii. W latach 70. udziału odmawiały Grecja, a później Turcja – w czasie konfliktu o Cypr.

W 2009 r. Eurowizję zbojkotowała Gruzja po rosyjskim ataku na ten kraj. Początkowo odpowiedzią miała być piosenka o przewrotnym tytule „We Don't Wanna Put In", ale dążąca uparcie do apolityczności EBU odrzuciła ją za jasne skojarzenia z Putinem, a kraj nie zaproponował innej. W 2012 r. reprezentacja Armenii nie przyjechała na konkurs w skonfliktowanym Azerbejdżanie.

Gdyby ktoś się zastanawiał, dlaczego w ogóle Izrael od lat bierze udział w europejskim konkursie, powinien sobie przypomnieć, że członkami EBU są także Algieria, Liban, Maroko i Tunezja. Odpowiedzią na pytanie, dlaczego nie oglądamy reprezentantów tych krajów, jest najczęściej to samo hasło: Izrael. Ten dołączył do konkursu dość szybko (w 1973 r.). Maroko zdecydowało się na udział tylko raz: w 1980 r., pod nieobecność Izraela (konkurs wszedł wtedy w kolizję z izraelskim świętem Jom Ha-Szoa). Z kolei Liban był blisko debiutu w konkursie w 2005 r. (edycja w Kijowie). Tamtejszy nadawca Télé Liban wytypował piosenkę „Quand tout s'enfuit" w wykonaniu Aline Lahoud. W sytuacji bez wyjścia postawiło ją jednak libańskie prawo: kanał nie mógł bowiem wyemitować utworu izraelskiego wykonawcy, a to byłoby z kolei złamanie eurowizyjnych zasad. EBU wykluczyła więc Liban jeszcze przed startem.

W 2014 r. na kopenhaskiej edycji Eurowizji wygwizdano rosyjskie siostry Tołmaczowe, ale nie tylko za aneksję Krymu, przede wszystkim za ustawy Putina wymierzone przeciwko „nietradycyjnym relacjom seksualnym". Naruszenie praw mniejszości LGBT zatrzęsło eurowizyjną publicznością. Tą samą, która wcześniej różne wojskowe działania Izraela skłonna była traktować z pobłażaniem, bo to kraj, który ma najbardziej liberalne wobec mniejszości seksualnych prawo w całym regionie.

Jeśli dziś stosunek eurowizyjnej wspólnoty do Izraela się zmienił, sprawił to przypadek Ukrainy. Weszła do konkursu dopiero w 2003 r., ale zdążyła czterokrotnie zająć drugie miejsce i trzykrotnie triumfować – z czego dwa razy po pełnoskalowej agresji rosyjskiej. Lekcja Ukrainy nauczyła EBU wykluczania krajów prowadzących działania wojenne przeciw sąsiadom – Rosja jest za burtą imprezy od 2022 r. A bez tego przykładu pomysł bojkotu Izraela, wobec którego władze EBU stosują inne standardy, nie byłby dziś tak realny.

Eurowizja jest rozpoznanym już przez wiele państw narzędziem soft power. Większym niż imprezy w rodzaju Biennale w Wenecji (gdzie w tym roku protestowano przeciwko pawilonom Rosji i Izraela), bo dającym przekaz o gigantycznej skali – transmisje poprzedniego konkursu dotarły do 166 mln widzów. Strona izraelska ma o co walczyć, podobnie zresztą jak jej przeciwnicy. O tym, jak wielka jest waga podobnych gestów, wiedzą działacze nieformalnego ruchu BDS – Boycott, Divestment, Sanctions – którzy od pierwszej dekady XXI w. starają się za pomocą wezwań do sankcji, bojkotów i nacisków kulturalnych zwrócić uwagę na sprawę Palestyny.

Działania BDS, inspirowane bojkotem kulturalnym RPA czasów apartheidu, są stałym elementem kulturalnego pejzażu. Pojawiały się i wcześniej na Biennale w Wenecji albo w czasie 31. Biennale w São Paulo (2014 r.), kiedy duża część artystów wystosowała apel o odrzucenie przez organizatorów izraelskich pieniędzy, a poparł to zespół kuratorski, pisząc, że bojkot powinien – jak cytują autorzy poświęconej zjawisku książki „Assuming Boycott" – „skłonić do refleksji nad źródłami finansowania ważnych wydarzeń kulturalnych".

Wszystko to brzmi trochę jak historia najnowsza dużych imprez sportowych. Dużo zamieszania, krytyka, bojkoty, ale przecież sponsorzy, duże nakłady, pieniądze i emocje. Na końcu zostaje więc i tak *business as usual*. W stosunku do takich wielkich wydarzeń przyjęło się uważać, że są niezatapialne, jednak efekt tegorocznych sporów to dla konkursu duże obciążenie. Znamienne wydaje się samo to, że hiszpańscy widzowie zamiast finału zobaczyli w telewizji planszę z napisem: „Konkurs Eurowizji to współzawodnictwo. Prawa człowieka – już nie. Tu nie ma miejsca na obojętność. Pokój i sprawiedliwość dla Palestyny".

Drugie miejsce Bettana w tym kontekście jest sukcesem nie tylko autorów piosenki, ale też izraelskiego rządu. Z kolei analiza zwycięskiego hitu Bułgarii „Bangaranga" szybko doprowadziła eurowizyjną społeczność do wniosku, że Dimitris Kontopoulos, autor piosenki Dary, to wieloletni współpracownik Filippa Kirkorowa, jednego z twórców sukcesów Rosji na Eurowizji. Bułgara z urodzenia, Rosjanina z wyboru, nagrodzonego za swoją pracę Orderem Honoru przez Władimira Putina. A że Kirkorow w wywiadzie telewizyjnym już zdążył przypisać sobie część zasług, wiemy o jego zaangażowaniu w ten sukces – mimo bojkotu Rosji.

Wypada odnotować, że kilkoro laureatów konkursu sprzed lat nie zgodziło się na udział w tegorocznej jubileuszowej edycji, był także list artystów do EBU w sprawie bojkotu Izraela. Nawet Noa, dawna reprezentantka tego kraju, nie widziałaby go dziś w konkursie. „Izrael nie powinien brać udziału w Eurowizji. Nie zgadzam się na jakikolwiek rodzaj kulturalnego bojkotu, ale Izrael powinien się wycofać" – komentowała dla francuskiej telewizji, zapowiadając trzydniowy festiwal izraelsko-palestyńskiego pojednania w lipcu we Florencji. Nazwała go Reimagine Peace – w nawiązaniu do Lennona – i poprowadzi wspólnie z Arabką Mirą Awad, z którą śpiewała 17 lat temu eurowizyjny song.

Były i takie czasy. Teraz żyjemy w epoce bangarangi. Bo tytułowe słowo ze zwycięskiej piosenki wydaje się prostym odpowiednikiem jamajskiego bangarang, a to oznacza nieporządek, zamieszanie i złe zamiary. ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Carla Simón (ur. 1986 r.) – jedna z najważniejszych postaci współczesnego kina hiszpańskiego, mistrzyni intymnego naturalizmu. Rozgłos przyniósł jej debiut „Lato 1993" (2017 r.), nagrodzony na Berlinale za najlepszy debiut filmowy. Jej „Alcarràs" w 2022 r. zdobyło w Berlinie Złotego Niedźwiedzia. W najnowszej produkcji „Romería" Simón domyka osobisty cykl o poszukiwaniu tożsamości.

Prawda z ekranu

Zszywałam wspomnienia ludzi kawałek po kawałku – mówi o kręceniu nowego filmu „Romería" hiszpańska reżyserka Carla Simón.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– W świetnie przyjętym debiutanckim „Lecie 1993" opowiedziała pani o swoim dzieciństwie. Minęła dekada i znów powraca pani do tamtego czasu. Dlaczego?**

CARLA SIMÓN: – Ponieważ pochodzenie określa tożsamość. Chociaż wychowałam się w kochającej rodzinie zastępczej, zawsze czułam potrzebę zgłębienia historii biologicznych rodziców, których straciłam, mając zaledwie kilka lat. „Romería" pozwoliła mi zrozumieć, że wypełnienie luk w pamięci za pomocą filmowych obrazów to nie tylko kaprys artystyczny, ale egzystencjalna konieczność. To domknięcie trylogii, którą zaczęło „Lato 1993", a kontynuowało „Alcarràs". Tym razem jednak nie patrzę oczami dziecka, lecz niemal dorosłej kobiety, która konfrontuje się z rodzinnym tabu.

Świat przedstawiony w „Romeríi" jest wiernym odzwierciedleniem losów pani bliskich?

Można tak powiedzieć, nie zapominając jednak, że film bywa też aktem poetyckiej wyobraźni. Zainspirowała mnie moja autentyczna podróż jako 18-letniej dziewczyny z Barcelony do Madrytu oraz wiele lat później do Galicii. Odbyłam ją, aby uzyskać od krewnych ojca dokumenty (akty zgonu) niezbędne do otrzymania stypendium filmowego. Ta osobista pielgrzymka do korzeni nie stanowi ścisłego zapisu faktów. Nazwałabym to sfabularyzowaną relacją, w której prawda łagodnie miesza się z fikcją. Moi rodzice faktycznie zmarli na AIDS. Ojciec, gdy miałam trzy lata, matka – gdy skończyłam sześć. Oni nie mieli kamer, nie filmowali tego, jak żyją. Podczas pobytu u krewnych odkryłam natomiast listy, które mama pisała do przyjaciół, i to one stały się podstawą „filmowego pamiętnika".

Co pani czuła, rekonstruując portret rodziców?

Ulgę. Nie mogę powiedzieć, że w pełni poznałam ich historię. Próbowałam ją utkać ze wspomnień wielu ludzi, ale w trakcie tego procesu przeżywałam niemniejszą frustrację niż filmowa protagonistka Marina. Zszywałam kawałek po kawałku. Pamięć jest bardzo subiektywna. Każdy odtwarza historię po swojemu, przytacza inne szczegóły, różnie je interpretuje. Pewnych rzeczy,

© DAVID RUANO, ELASTICA FILMS

eprasa.pl 4c91f9e87c

czasami kluczowych, po prostu brakuje, a niektóre ciągle się zmieniają. Podążałam za intuicją, zbudowałam coś, co powinno sprawić względną przyjemność nie tylko mnie, ale i całemu straconemu pokoleniu.

Hiszpania chyba do dziś zmaga się z tabu dotyczącym tamtego okresu?

Tak, kryzys heroinowy stanowił mroczne tło gwałtownych zmian społeczno-obyczajowych po zakończeniu dyktatury Franco. Był tragicznym skutkiem ubocznym eksplozji wolności po 1975 r. Młodzi ludzie, zerwawszy z konserwatywnymi wartościami, zaczęli eksperymentować z narkotykami, nie mając wiedzy o ich niszczycielskich skutkach. Ze względu na trudną do skontrolowania linię brzegową południowo-zachodniej Galicii, właśnie tędy trafiała większość przemycanych nielegalnie towarów. A ówczesny rząd mógł przymykać oko na problem, wierząc, że zajęci używkami młodzi ludzie nie będą się interesować polityką. Uzależnienie i AIDS wywoływały stygmatyzację i wstyd. Rodziny często ukrywały prawdę o chorych, skazując ich na umieranie za zamkniętymi drzwiami w całkowitej samotności. W warstwie wizualnej starałam się wyrazić upadek niewinności, pokazując ewolucję związku rodziców – od słonecznej, idyllicznej miłości po brudne i ponure zejście do narkotykowego podziemia. Ale nadrzędnym celem było oddanie godności ofiarom epidemii. Nie zastanawiałam się, jak przywrócić zbiorową pamięć. Chciałam po prostu oddać głos tym, którzy zostali wymazani z rodzinnych narracji.

W popkulturze hiszpańska La Movida lat 80. funkcjonuje jako kolorowy czas bezgranicznej wolności. Pani pokazuje jej mroczny rewers. Czy to pani próba napisania nowej, uczciwszej historii hiszpańskiej transformacji?

Zdecydowanie tak. Jako społeczeństwo mamy tendencję do idealizowania momentów przełomowych. La Movida była fascynująca pod względem artystycznym, ale dla wielu rodzin stała się przekleństwem, o którym przez dekady milczano. Moi rodzice byli częścią tego świata. Wstyd, który towarzyszył narkomanii i AIDS, zamurował usta moim dziadkom. W filmie Marina musi się przebić przez ten mur milczenia. Chciałam oddać głos sierotom Movidy, które przez lata czuły, że ich rodzinna tragedia jest czymś brudnym, co należy ukryć. Przywrócenie rodzicom godności poprzez pokazanie ich pasji, miłości i listów – a nie tylko ich upadku – jest dla mnie aktem dziejowej sprawiedliwości.

Nie miała pani oporów, by wykorzystać w filmie listy swojej matki?

Nie, są bardzo piękne, niezwykle poruszające. Przekazała mi je kuzynka. To luźne zapiski, przekształciłam je w formę dziennika, dzięki czemu mogłam niemal usłyszeć, jak mama bezpośrednio się do mnie zwraca. Zostały napisane po katalońsku, często językiem potocznym, pełnym ówczesnego slangu. Nie chciałam tego zmieniać, tłumaczyć, dlatego słyszymy je w oryginale.

W tej sekwencji aktorzy z teraźniejszości grają pani rodziców, co ma podkreślić międzypokoleniowe więzi?

Tak, zdecydowałam, aby aktorzy Llúcia Garcia (Marina) i Mitch Martín jako jej kuzyn Nuno wcielili się również w role jej młodych rodziców w przeszłości. Dzięki temu zabiegowi protagonistce łatwiej wejść w skórę matki, gdy ta przebywała w Toralli w 1983 r. Rodzice ukazani są najpierw w radosnych, zmysłowych momentach: żeglują na łodzi, bawią się nago na plaży czy kochają na posłaniu z wodorostów. Z czasem jednak okoliczności się zmieniają. Kluczowym elementem była dla mnie scena tańca do hiszpańskiej muzyki punkowej z lat 90., która symbolizuje energię i tragiczny los całego pokolenia, dotkniętego kryzysem heroinowym i AIDS. Przy tworzeniu tej części filmu czerpałam inspiracje z surrealistycznego malarstwa galisyjskiej artystki Maruji Mallo oraz z klasyki kina: „Lata z Moniką", „Zabriskie Point" czy „More".

Kluczową rolę w pani rekonstrukcji odgrywa Llúcia Garcia. Jak trudne było znalezienie aktorki, która udźwignęłaby pani osobisty bagaż?

To był tytaniczny proces, przesłuchaliśmy ok. 3 tys. dziewcząt. Llúcię spotkaliśmy przypadkiem na ulicy, gdy wracała z obozu. Ma w sobie tę rzadką mieszankę dziecięcej niewinności i dojrzałej determinacji, którą sama musiałam w sobie wypracować po stracie rodziców. Podczas prób, które trwały trzy miesiące, pracowaliśmy głównie nad improwizacjami, by aktorzy poczuli się jak prawdziwa rodzina, z własną wspólną historią. Obsadziłam profesjonalistów obok naturszczyków, choćby filmowej babci, która w rzeczywistości prowadziła sklep meblowy w Vigo. Zależało mi na autentycznym związku aktorów z Galicią i tamtym okresem – niemal każdy z nich miał w rodzinie kogoś, kogo dotknęła epidemia AIDS lub kryzys narkotykowy.

Skoro mowa o autentyczności – w „Romerií" słyszymy tygiel językowy: hiszpański, kataloński, galisyjski, a nawet francuski. To zabieg czysto realistyczny, czy ma znaczenie symboliczne?

Wierzę, że historie powinno się opowiadać w językach, w których naturalnie wybrzmiewają. Galisyjska rodzina Mariny należy do uprzywilejowanej klasy społecznej, która w tamtym regionie używa głównie hiszpańskiego. Ale listy mojej matki, które wykorzystałam w filmie, zostały napisane po katalońsku. To było dla mnie święte, nie chciałam ich tłumaczyć, bo w ich brzmieniu, w tym specyficznym slangu z lat 80., przetrwał jej głos. Wielojęzyczność filmu oddaje też fragmentację tożsamości Mariny, która musi poskładać siebie z tych różnych, czasem obcych sobie światów.

Romería to w języku hiszpańskim pielgrzymka, ale też ludowy festyn. Więc ta podróż to bardziej sacrum czy profanum?

Jest jednym i drugim. W Galicii to słowo oznacza radosne świętowanie, ale dla Mariny – i dla mnie – to przede wszystkim duchowa podróż do korzeni. Musiałam przejść przez chłód i milczenie dziadków, by dotrzeć do momentu akceptacji. Ten film to mój rytuał uzdrawiający. Pozwala zrozumieć, że choć tragedia pokolenia La Movida została w Hiszpanii wyparta z pamięci zbiorowej, my, ich dzieci, mamy prawo do własnej narracji, wolnej od wstydu i stygmatyzacji. Kino dało mi możliwość stworzenia pamięci tam, gdzie jej nie było, i to jest najpiękniejszy dar, jaki otrzymałam od tego zawodu.

Po domknięciu filmowej trylogii czuje pani, że ta odzyskana pamięć stała się już integralną częścią pani samej?

Tak. Przez lata czułam się jak ktoś, kto posiada czarny album z pustymi miejscami na zdjęcia. Praca nad filmem pozwoliła mi te miejsca zapełnić. Ale co ważniejsze, kino umożliwiło mi przejście od roli ofiary do roli kogoś, kto nadaje losowi sens. Kiedy widzę na ekranie sceny oniryczne, w których rodzice są młodzi i wolni, czuję rodzaj ukojenia, którego nie dała mi żadna inna terapia. To jest moja nowa, przeżyta emocjonalnie rzeczywistość. ■

eprasa.pl 4c91f9e87c

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

18. edycję „Tańca z gwiazdami" w Polsacie efektownie wygrał Gamou Fall, ale jeszcze efektowniej przegrał Sebastian Fabijański.

●

Zbigniew Ziobro, epicka gwiazda mediów, odnalazł się w USA. Wszyscy debatują: uciekł, emigrował czy spierdo...? Odpowiedź jest prosta. Pamiętamy Zbyszka z wcześniej. Cokolwiek nie zrobił, to spierdo...

●

W parafii pw. Wniebowstąpienia Pańskiego na Ursynowie odbędzie się odpust pod batutą abp. Adriana Galbasa, po którym wystąpi Jan Pietrzak. Zła kolejność. Odpust, czyli darowanie kary, powinien być po.

●

Od miesięcy plotkowano o romansie Mery Spolsky i Marcina Prokopa. Ostatnio wokalistka jasno wyznała: „Kocham Marcina Prokopa". Patriotyczna postawa. Ostatnia jego partnerka nie była z Polski.

●

Sławomir Mentzen, chłopiec z plakatu pokolenia Z, został zatrzymany na lotnisku w Londynie. Jak widać Brytyjczycy rozpracowali już mechanizm podrzucania imigrantów przez Niemcy.

●

Zbigniew Ziobro w USA oświadczył, że będzie korespondentem terenowym TV Republika. Dobry ruch. Zobaczyć go w akcji, to jak zobaczyć akta Jeffreya Epsteina na żywo.

„Blanka Lipińska zachwyca się swoimi nowymi ustami. Zafundowała sobie corner lip lift" – donosi Plejada. Znam to z branży moto. Zmiany wizualne pozwalające utrzymać konkurencyjność modelu na rynku.

●

Plotek w formie: „Internauci doczepili się do Zillmann: Weź, ogól te nogi". Autorką newsa jest Iwona Smyrak, absolwentka filologii polskiej na UŚ oraz kultury współczesnej na UJ. Ej, weź jeszcze postudiuj.

●

Filip Chajzer znowu szokuje. Raz jako 41-latek pojawia się z tajemniczą 19-letnią blondynką, a raz już jako 40-latek pojawia się ze szczupłą 20-latką. Brzmi jak aplikacja Ojca Pio, tylko źle zainstalowana.

„Cichopek i Kurzajewski chwalą się tanecznymi ruchami w centrum Budapesztu" – donoszą media. Równowaga na Węgrzech musi być zachowana. Dwóch korespondentów wyjechało, dwóch przyjechało.

●

Doda krytykowała markę Dior za testowanie kosmetyków na zwierzętach, jednocześnie paradując w odzieży tej marki na co dzień. Nareszcie. Dorota, pierwszą zasadą hipokryzji jest sprawna pamięć.

●

Fagata wystąpi na Częstochowskich Juwenaliach. Organizatorzy twierdzą, że jej występ będzie zgodny z wartościami edukacyjnymi. Co najlepiej ilustruje refren: „Ja jestem Fagata, sexy cipka spod Konina, dupa tak duża, że jej szkoda nie wypinać".

●

„W końcu da się oddychać" – to Pola Wiśniewska po wyprowadzeniu się od męża. Ludzie rozwodzą się w poczuciu żalu, krzywdy, w smutku. Ona się rozwodzi w „Dzień Dobry TVN".

●

Beata Kozidrak wraz z córkami Agatą i Kasią wystąpiły w reklamie serków Almette. Ich producent, Hochland, to firma niemiecka. Niemcy zawsze lubili wysyłać do pracy całe rodziny.

●

Detektyw Rutkowski ruszył w pościg do USA za zbiegłym Zbyszkiem i udało mu się nagrać, jak Tomasz Adamek kupuje alkohol. Teraz już nie mamy wątpliwości. Tego typu sensacji nie da się czytać na trzeźwo.

●

„Myślę, że był w pułapce swego wizerunku" – tak Iwona Pavlović skomentowała odpadnięcie Maćka Kurzajewskiego z „Tańca z gwiazdami". Ja mu daję 9. „Nie pożądaj żony bliźniego swego".

Krzysztof Gojdź u Żurnalisty: „Biała rasa powinna rządzić w Stanach Zjednoczonych". Oraz: „Tam, gdzie nie ma czarnych bezdomnych, tam jest bezpiecznie". Tuwim ich przewidział: „Spotkali się w święto o piątej pod kinem, miejscowa idiotka z tutejszym kretynem".

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4c91f9e87c

FELIETON

Witkowski

Bezwstydnicy i wstydziochy

Z głębokości niewyspania wołam do was, mili państwo. Po nocy bezsennej w najgorszym możliwym wydaniu, bo nie o przyczyny zawodowe, towarzyskie czy romantyczne tu szło. Ot, po prostu, trzeba czasem przeżyć te kilka godzin. Jest jednocześnie za ciepło i za zimno, kołdra a to jest zbyt szczelna, a to nazbyt watowata. Brak też jednoznacznego stanowiska co do jej rozmiarów.

Zaczyna się, nomen omen, niewinnie. Piaskowy dziadek mija już rogatki miasta, za chwilę zabierze mnie magicznym szynobusem w stronę nigdy nienapisanych piosenek Smashing Pumpkins czy nieistniejących filmów z Pacino i De Niro, utkanych w całości ze scen jak ta z „Gorączki" Manna. Duży jestem, nie panikuję, mam jeszcze siedem godzin snu.

Kiedy okazuje się, że zostało sześć godzin, ciągle nie brzmi to jeszcze najgorzej. W związku z pracą oraz zainteresowaniami myślę o teleturnieju „Gęś" Wojciecha Pijanowskiego, w którym można było wygrać wiadome ptactwo gospodarskie. Potem o telewizji w czasach Gierka. Następnie o efemerycznym pierwszym sekretarzu KC Stanisławie Kani. Wreszcie – o nazywającym się identycznie i urodzonym w tym samym roku partyzancie, którego pseudonim nie nadaje się do zacytowania. Leżę cierpliwie i zabawiam sam siebie ciekawostkami z odmętów, żyć nie umierać.

Leszek Miller opublikował wygenerowane przez sztuczną inteligencję zdjęcie, na którym towarzyszą mu Beatlesi.

Zegar tyka (pięć godzin do pobudki!) i zaczyna się pokaz samobieżnych slajdów. Rok 2005, gram postać tytułową w szkolnej adaptacji „Króla Leara". Pracownik teatru zbyt wcześnie włącza reflektor, zostaję „przyłapany" przez ponad 200 osób na planowanej zmianie kostiumu, która dokonuje się na scenie. Wstyd okrutny, sromota, dlaczego ja jeszcze chodzę po ulicy bez ciemnych okularów? Rok 2003, wigilia klasowa i „tajny Mikołaj". Kupuję koleżance, którą wylosowałem, paczkę makaronu. Koleżanka po otrzymaniu „prezentu" zamyka się w toalecie i płacze. Jestem zażenowany 14-letnim mną. Niby przeprosiłem (przepraszam jeszcze raz!), ale wstyd pozostaje wstydem, wina – winą.

Zostały cztery godziny, jeśli sen zmorzy mnie w ciągu najbliższych minut. Zmieniam taśmę i włączam coś nieco miększego. W głowie leci „Królowa przetrwania", reality show, w którym celebrytki i influencerki „walczą" na Sri Lance o tytułowe przetrwanie w otoczeniu operatorów, dźwiękowców, lekarzy i Małgorzaty Rozenek. Ilona Felicjańska i Karolina Pajączkowska – „teatry to są dwa", polecam! Za to „Love Is Blind", od niedawna dostępne również w polskiej wersji, niespecjalnie mnie zaabsorbowało, bo należę do osób, które przewijają wątki romantyczne w trakcie oglądania seriali. Tak czy siak, to wszystko jedna pulpa.

„Nie szkoda ci na to czasu?" – pytam sam siebie, po czym odpowiadam: „Trzeba zaakceptować, że jest się zrobionym z różnych części". „Ale trochę wstyd jednak" – odbijam. I kontruję: „Co to za głupia kategoria, to całe *guilty pleasure?* Życie to znój, mam czytać przed snem bełkotliwych francuskich filozofów, zamiast odpocząć?". A potem dalej ja: „Ale sam nabijasz oglądalność tym durnotom". I znów ja: „Dajmy już spokój z tą jednostkową odpowiedzialnością za media, politykę, kapitalizm". Ale trochę mi wstyd, bo może od Ilony Felicjańskiej, która odmawia walki nad basenem z kisielem, ze względu na trwającą od pięciu dni przyjaźń, się głupieje?

I tak oto, startując od Pijanowskiego, gęsi i Stanisławów Kaniów, ugrzązłem w poczuciu winy (a czas płynął, ptaszki ćwierkały, tyle w temacie spania). „To jest takie polskie" – powiedziałby być może Tomasz Hajto. „Polacy to są wstydziochy" – stwierdziła natomiast niedawno moja znajoma, przypominając o czasach, gdy nasz kraj nie był jeszcze modny, a znajomi z Zachodu chętnie nam tłumaczyli, jacy nie jesteśmy, a jacy być powinniśmy.

Niewykluczone, że coś jest na rzeczy: ciągniemy za sobą jak pług dawne winy, niepowetowane straty i wstydliwe momenty. „My", to jest prości Polacy, inaczej ma się sprawa z tytanami. Janusz Palikot z marsową miną zrównuje swój los z doświadczeniami tysięcy polskich bezdomnych, równolegle nagrywając podkast w jednym z najdroższych miejsc w Warszawie. Dawid Swakowski vel Żurnalista wymachuje bajońskimi kwotami zarabianymi na swoim podkaście, równolegle wzbraniając się przed oddaniem byłym współpracownikom kilkuset złotych.

Jest jeszcze Leszek Miller. Niedawno opublikował wygenerowane przez sztuczną inteligencję zdjęcie, na którym towarzyszą mu Beatlesi („Back in the U.S.S.R." stanowiłoby niezłą ścieżkę dźwiękową dla jego medialnej aktywności). A to tylko kilka przykładów z ostatnich dni, które przyszły mi do głowy przed siódmą rano.

Nie żeby trzeba było od razu zapisywać się do kółka bezwstydników. Jeśli wyciągnąłem jednak jakiś wniosek z zeszłonocnej maligny, to taki, że nie warto mitrężyć tych (często całkiem higienicznych) emocji. Inaczej nie starczy ich dla innych. Dobranoc.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Wojna Kołymy z Buchenwaldem

Od zakończenia drugiej wojny światowej minęło właśnie 81 lat. Wydawałoby się, że to wystarczająco długo, by kurz bitewny opadł, a kluczowe książki o wojnie zostały napisane i przeczytane. Jednak współczesne wojenki ideologiczne pustoszą mózgi skuteczniej, niż deszcze niespokojne potargały sad, i sporo osób nie dostrzega, co naprawdę wydarzyło się w maju 1945 r.

Zaślepiona jest zarówno strona, która twierdzi, że wyzwolenie było kolejnym zniewoleniem, jak i ta, wedle której Armii Czerwonej należy się dozgonna wdzięczność. Strona pierwsza 8 maja wspomina zatknięcie przez kościuszkowców polskiej flagi na Kolumnie Zwycięstwa w Berlinie (co nie przeszkadza jej nienawidzić LWP); strona druga 9 maja rusza na groby sowieckich żołnierzy, składając kwiaty i zapalając znicze (dziwnym trafem to samo robi ambasador Federacji Rosyjskiej). Dla pierwszych ci drudzy to zaprzańcy i komuniści. Dla drugich ci pierwsi to nacjonalistyczna dzicz. I choć prawda nigdy nie leży pośrodku, to obie strony mają w niej udział i obie źle słyszą na jedno ucho.

Jeśli za początek drugiej wojny światowej uznamy 1 września 1939 r., ataku Niemiec na Polskę nie powinniśmy rozpatrywać w oderwaniu od paktu Hitlera ze Stalinem. Podpisany tydzień wcześniej przez ministrów spraw zagranicznych – Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa – mówił o wzajemnej nieagresji, a w tajnym protokole również o wspólnym podboju Europy Wschodniej. Umożliwił Niemcom swobodę działania wobec Polski, co oznacza de facto, że wojnę rozpoczęły dwa państwa, a nie jedno, nawet jeśli Stalin chytrze przeszedł do fazy „kinetycznej" dopiero dwa tygodnie po Hitlerze. To ważne: drugą wojnę światową wywołały wspólnie Niemcy i Rosja. Ich współpraca trwała zresztą od dawna: wiadomo np., że Niemcy wzorowały swoje obozy koncentracyjne na radzieckich, powołanych do istnienia jeszcze za życia Lenina.

W lutym 2022 r. Kołyma wypowiedziała wojnę Zachodowi, napadając na Ukrainę. Może tym razem przegra.

Gdy na pakcie lądowały podpisy Ribbentropa i Mołotowa, zarówno Hitler, jak i Stalin nie mieli zamiaru go dotrzymać. Ostatecznie Hitler ubiegł Stalina i w czerwcu 1941 r. pierwszy uderzył na Rosję. Odtąd wojna Niemiec i Rosji przeciw Europie stała się wojną Niemiec z Rosją. Rosja zmuszona była sprzymierzyć się z Europą i Ameryką przeciw Niemcom. Europa i Ameryka również musiały współpracować ze Stalinem. Jednak mitem jest rzekomo decydujący wkład Rosji w zwycięstwo nad Niemcami. Owszem, lekką ręką swego dyktatora Matrioszka rzucała na front niekończące się eszelony żołnierzy, których do walki motywowała idea wielkiej wojny ojczyźnianej (a na wszelki wypadek również NKWD, które pilnowało tyłów). Zachód ludźmi szafował oszczędniej, ale udostępniał nowoczesny sprzęt, zresztą sprzeniewierzany przez Stalina na potrzeby przesiedleń i innych represji wewnętrznych, trwających w najlepsze w czasie świętej wojny.

Ponieważ celem Armii Czerwonej na tym etapie było pokonanie Niemiec, musiała zdobyć Berlin. A że droga do Berlina wiodła przez Polskę, wyzwolenie nas spod okupacji niemieckiej było nieuniknionym skutkiem ubocznym starcia Kołymy z Buchenwaldem. Jeśli nie liczyć polskich formacji takich jak kościuszkowcy, rosyjskie wojsko nie miało wobec nas intencji wyzwoleńczych, dlatego żądanie przez Rosję wdzięczności należy uznać za bezzasadne. Zresztą Niemcy często sami uciekali przed zbliżającą się Armią Czerwoną i wielu miejsc, np. Auschwitz, w chwili „wyzwolenia" nikt już nie bronił. Oczywiście grobom poległych należy się spokój, znicz nie zaszkodzi, ale na pomniki czerwonoarmiści nie zasługują. Zwłaszcza że zachowywali się w Polsce naprawdę źle.

Nie namawiam do przyjmowania na wiarę narracji IPN, jednak cierpiącym na wdzięczność wobec Armii Czerwonej polecam poczytać archiwa. Przeglądam ostatnio raporty sytuacyjne sporządzane przez komendę MO powiatu Wysokie Mazowieckie dla komendy wojewódzkiej w Białymstoku przez cały rok 1945. Rabunki, gwałty i mordy dokonywane na ludności cywilnej przez żołnierzy sowieckich pojedynczo i grupami powtarzają się regularnie. Jest to największy problem bosej i gołej „władzy ludowej" zaraz po zbrojnym podziemiu. Pewnego razu np. sołdaci porwali parowóz w Białymstoku i zajechali nim do Łap, żeby sobie postrzelać i porzucać granatami. Byli zabici i ranni, paliły się domy. Milicja często musiała walczyć z nimi przy użyciu ostrej broni, mimo że teoretycznie stali po tej samej stronie.

Stalin wyszedł na wojnie z Niemcami o wiele lepiej niż na pakcie z Hitlerem. Odebrał sobie z nawiązką wszystko, co poświęcił (głównie cudze życie). To nie alianci wygrali w Berlinie w maju 1945 r., to Kołyma wygrała z Buchenwaldem. Zresztą i Buchenwald, jak dziś wiemy, nie wyszedł z tego całkiem przegrany – odpowiedzialność za nazizm poniosły wyłącznie jednostki. A potem w lutym 2022 r. Kołyma wypowiedziała wojnę Zachodowi, napadając na Ukrainę. Może tym razem przegra, należy jej się: za rok 1939, 1945 i 2022.

RENATA LIS

eprasa.pl 4c91f9e87c

FELIETON

Koziołek

Porażka ludzkości

Czuje się pani trochę bardziej SAFE? – zapytałem sąsiadkę, podglądając tytuł w czytanej przez nią gazecie.

– Nie mogę znieść tych rozradowanych min polityków fotografujących się na tle czołgów, armat; pocisków karabinowych wysypujących się z maszyny do kosza, jakby to było zboże. Z czego tu się cieszyć?

– To dziwne być pacyfistką, kiedy wojna za progiem – stwierdziłem.

– Niech się pan nie wygłupia – przerwała czytanie zniecierpliwiona. – To oczywiste, że trzeba się zbroić. Ale podskakiwanie ze szczęścia, bo będzie więcej lepszych i bardzo drogich narzędzi do zabijania ludzi, świadczy o tym, jak poważnie jesteśmy chorzy.

Wojna według Napoleona wymaga jednej rzeczy, ale potrojonej. Są to pieniądze. Przekonujemy się o tym, wydając kwoty, które są poza możliwym wyobrażeniem zwykłego człowieka. No bo jak odmierzyć wielkością miesięcznego wynagrodzenia 185 mld zł, które daje nam SAFE? No to może tak. Najmniejsza wyrzutnia Patriotów PAC-2 GEM-T zawiera cztery rakiety, z których każda kosztuje ok. 5 mln zł. Za dwie takie wyrzutnie można wybudować szkołę dla mniej więcej 400 dzieci. Łącznie pewnie można by wznieść ich ze cztery tysiące, a w Afryce kilka razy więcej.

Coraz mniej dbamy, aby uczniowie czytali wielkie dzieła o zabijaniu i umieraniu. Aby każdy pomyślał, że to mógłby być on sam.

Oczywiście, jak nie będziemy mieć tych rakiet, to samoloty wroga bezkarnie rozwalą nam te szkoły, więc trzeba kupować te wyrzutnie. Jednak w osłupienie wprawia mnie stan umysłu znacznej części ludzkości, która uznała to za najlepsze rozwiązanie. I jeszcze licytujemy się między sobą, kto wyda więcej. Kosztem nakładów na zdrowie, edukację, pomoc najsłabszym, ochronę środowiska, opiekę nad zwierzętami... Rozpoczęliśmy kolejny wyścig zbrojeń i jest to porażka człowieka. Oby tylko moralna i polityczna.

Bo koszt uzbrojenia to nic wobec tego, do czego ono służy – do jak najskuteczniejszego zabijania. Nowomowa operacji wojskowych mówi o eliminacji. Nawet nie żołnierza, lecz obiektu. Taki język tłumi wyobraźnię moralną, która uruchamia się wtedy, gdy boleśnie zdajemy sobie sprawę, do czego służy to, co z takim zadowoleniem prezentują w mediach politycy.

„Lubiłeś broń przed wojną, na wojnie przestałeś" – mówi Szczepan Twardoch do swojego bohatera, czyli również do siebie („Null"). Wypisy z tej książki powinny być aneksem do każdej umowy na sprzęt wojskowy, jaką podpisują politycy. Nie żeby ich zniechęcić, ale żeby robili politykę tak, aby nie trzeba było tyle tego kupować, a jak już się kupi, to używać wyłącznie do ćwiczeń. Inaczej bowiem myślimy o broni, kiedy wypucowana emanuje groźnym spokojem albo w naszej wyobraźni skutecznie eliminuje wrogów. Trudniej jest naszemu umysłowi przyswoić jej prawdziwe działanie i potworne skutki.

Oto nagle jeden z tysięcy wypełniających skrzynie w wojskowych magazynach „mały, czterdziestomilimetrowy granacik, który koziołkując wesoło w powietrzu, spada, i uderzył pełzającego w zielonej trawie pidara w plecy i eksplodował (...) i pidar już się nie czołgał, tylko wił w tej trawie, bo twój mały granacik nie tylko zrzucił mu hełm, ale też urwał rękę" („Null"). Chcemy, bardzo potrzebujemy mieć SAN, aby ochronił nasze powietrze przed obcymi bezzałogowcami. Bo taki dron pierwszoosobowy, czyli efpiwiszka (first person view), jak się przez nią przedrze i zawiśnie nad nami niczym straszna ważka, to już po chwili człowiek „nie ma twarzy, z głowy została dymiąca czerwono-czarna skorupa, jak rozbity dzban, zwieszający się smutno nad piersią, nie ma też ramion" („Null").

Ciesząc się z pocisków kumulacyjnych, które przebijają czołgowe pancerze, miejmy świadomość, że trafiając żołnierza, zwęglają wnętrze ciała; nowoczesne kule karabinowe z ogromną energią kinetyczną przebijają skórę i dopiero wewnątrz czynią spustoszenie w miękkich tkankach. Chcemy też takiej broni, która nie trafia w pojedynczego żołnierza, ale wybucha precyzyjnie w pobliżu, raniąc wielu w kilku miejscach.

Miałem wątpliwości, czy nie przesadzamy, dając młodzieży do czytania w szkołach tyle literatury wojennej, podkreślając przy każdej okazji, że „Iliada" – wojenny arcypoemat – jest fundamentem kultury europejskiej. Ale już się nie waham; wręcz przeciwnie – myślę, że źle się dzieje, gdy coraz mniej dbamy, aby uczniowie naprawdę czytali wielką literaturę o zabijaniu i umieraniu, a nie tylko wiedzieli, o czym ona jest. Cała nadzieja tkwi bowiem w przewidującej wyobraźni, która pozwoli bezpiecznie przeżyć cierpienie i śmierć na papierowej wojnie. I nigdy nie zapomnieć o tym strachu, który powstaje wraz z identyfikacją z bohaterami prowadzącą do tego kluczowego momentu, kiedy świta myśl, że to mógłbym być ja lub mój bliski.

Nie stawiajmy jednak ludzkości zbyt wielkich wymagań. Czytanie to nie jest jej pierwsza potrzeba. Mam więc sugestię dla tych, którzy w imię naszego bezpieczeństwa słusznie dokonują zakupów broni. Nie cieszcie się z tego. To nie przynosi nam, ludziom, chwały.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 4c91f9e87c

Jak zatrzymać Romanowskiego

Jeszcze przed ucieczką Ziobry z Budapesztu Polska uprzedziła stronę amerykańską, że ewentualne udzielenie schronienia Ziobrze stanowiłoby „niedopuszczalną ingerencję polityczną w niezależny polski wymiar sprawiedliwości". Polska nie dodała, czym taka ingerencja grozi, ale moim zdaniem nie musiała; upadek premiera Orbána jasno pokazał, jak kończą reżimy ingerujące w polski wymiar sprawiedliwości poprzez udzielanie schronienia Ziobrze.

W tej sytuacji trochę dziwi, że Stany Zjednoczone się nie przestraszyły i Ziobrę wpuściły. Wprawdzie ambasador Rose i sekretarz stanu Rubio przyznali, że zdają sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogą spaść na ich kraj po wpuszczeniu Ziobry, ale prezydent Trump nie wygląda na przestraszonego ani zakłopotanego, co niestety potwierdza doniesienia o jego kurczących się zdolnościach poznawczych i kompletnym braku wyobraźni.

Gdy idzie o Romanowskiego, jedyne, co o nim na pewno wiadomo, to że nie wiadomo, gdzie jest ani jak się tam znalazł. Romanowski zmienia miejsca pobytu, ale jak deklaruje: „Jedno pozostaje niezmienne: walka o Polskę trwa". W dodatku sprawia on wrażenie niebezpiecznie rozpędzonego. „Nie cofniemy się. Nie zatrzymamy się" – ogłosił w sieci, chcąc dodać otuchy i sobie, i Polsce.

Specjaliści uspokajają, że jeśli Romanowski razem z Ziobrą wylądował w Waszyngtonie i skierował się na zachód, to i tak zatrzyma go Pacyfik. Ale niewykluczone, że jeśli nie będzie chciał się cofać, to ruszy na północ, przejdzie lasami Kanadę i dotrze do Alaski. Znając go, można oczekiwać, że – aby w dalszym ciągu się nie cofać i nie zatrzymywać – pokona Cieśninę Beringa i przedostanie się do Rosji, co moim zdaniem oznaczałoby jego niekwestionowane zwycięstwo, gdyż mimo że coraz dalej ucieka, znajdowałby się coraz bliżej Polski, o którą walczy, czym z pewnością doprowadziłby Tuska do szału.

Europoseł Tarczyński z PiS na razie nie uciekł z Polski, ale i tak przeraził władze Wielkiej Brytanii do tego stopnia, że „dla dobra publicznego" uniemożliwiły mu wjazd i wzięcie udziału w prawicowym marszu, na którym planował przemówić. Decyzję Wielkiej Brytanii trudno zrozumieć o tyle, że w przeciwieństwie do Ziobry i Romanowskiego Tarczyński posiada ważny paszport i nie jest przez nikogo ścigany, a jedyne zarzuty, jakie mu się stawia, to te o bycie prostakiem i odklejeńcem.

Prawice wszystkich krajów zareagowały na niewpuszczenie Tarczyńskiego oburzeniem, a była konserwatywna premier Liz Truss nazwała odmowę „szokującą" i zagroziła lewicowo-liberalnym elitom, że w odwecie przeprowadzi z Tarczyńskim wywiad.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit Leipa passion process technology

eprasa.pl 4c91f9e87c

Nagrody Historyczne POLITYKI: magia i rekord

Za nami gala 67. edycji Nagród Historycznych POLITYKI, które od roku noszą imię naszego przyjaciela, zmarłego 18 lutego 2025 r. Mariana Turskiego, twórcy i ducha tego przedsięwzięcia. Jego sposób myślenia o historii – jako przestrzeni odpowiedzialności, dialogu, sprzeciwu wobec obojętności – był obecny niemal w każdej laudacji.

12 maja nagrodziliśmy Karolinę Panz za książkę „Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu" (Centrum Badań nad Zagładą Żydów) w kategorii prace naukowe; Antoninę Tosiek za pracę popularnonaukową „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet" (Wydawnictwo Czarne); debiut Izabeli Mrzygłód „Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym" (Wydawnictwo Naukowe UMK); wywiad rzekę Emila Marata i Michała Wójcika z Tomaszem Szarotą „Duma i wstyd" (Wydawnictwo Agora); wreszcie zbiór „Władze RP na uchodźstwie wobec Żydów obywateli polskich w ZSRS i na Bliskim Wschodzie (1941–1945) w świetle dokumentów polskich" opracowany przez Tadeusza Pawła Rutkowskiego (Instytut Pileckiego).

Tegoroczne nagrody pokazują zwrot ku opowieściom społecznym i wydobywającym z archiwów głosy dotąd niesłyszane. – *To najbardziej czuła opowieść o Zagładzie. Nikt z historyków tak nie pisał. Ma coś z magii* – powiedział Marcin Zaremba o książce Karoliny Panz. – *Antonina Tosiek pisze poruszająco i nie zagłusza kobiecej opowieści* – mówiła Barbara Klich-Kluczewska. Tomasz Szarota odebrał Nagrodę Historyczną po raz szósty – to rekord w historii naszego wyróżnienia. Laureaci podkreślali niedoceniane nieraz zaangażowanie wydawców, redaktorów i fotoedytorów.

– *To jest takie rodzinne spotkanie. Rozmawiamy o Polsce, o tym, co nam się wspólnie przydarzyło, co pamiętamy, czego nie wiedzieliśmy, co można odnaleźć. Trochę jak przeglądanie rodzinnego albumu. Bardzo lubię ten dzień* – mówił po gali redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński.

Kapituła (Barbara Klich-Kluczewska, Jerzy Kochanowski, Dariusz Stola, Bożena Szaynok, Wiesław Władyka – przewodniczący, Marcin Zaremba) wybierała spośród 200 zgłoszonych książek. Przyznała także dwie nagrody specjalne – z okazji setnej rocznicy urodzin Mariana Turskiego. Ich laureatów poznamy w dniu obchodów 24 czerwca. Tego dnia przy Pomniku Bohaterów Warszawskiego Getta zostaną posadzone róże – nowa odmiana dedykowana Marianowi Turskiemu. Obchodom będą towarzyszyły trzy debaty historyczne, o których poinformujemy już niebawem. (JHP)

Partnerami Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego są: ENEA, Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie, Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, DANTEX oraz SABUR.

Czytanie dzieciom daje mądrość i siłę

Już 26 maja startuje jubileuszowy, XXV Ogólnopolski Tydzień Czytania Dzieciom. Najstarsza w Polsce kampania społeczna promująca głośne czytanie dzieciom. Tegorocznej edycji towarzyszy hasło: Czytanie – Mądrość – Siła. POLITYKA, jak co roku, objęła tę akcję swoim patronatem.

Ogólnopolski Tydzień Czytania Dzieciom to wielkie święto czytelnictwa organizowane od 25 lat przez fundację „Cała Polska czyta dzieciom". W całej Polsce, wraz z Fundacją, setki przedszkoli, szkół, bibliotek i Klubów Czytających Rodzin przygotują wydarzenia promujące codzienne czytanie dzieciom. Jubileuszowa edycja Tygodnia Czytania

zwraca szczególną uwagę na wyzwania współczesnego świata. Badania pokazują, że dzieci i młodzież spędzają coraz więcej czasu przed ekranem, a w efekcie mają rosnące problemy z językiem, skupieniem uwagi, komunikacją i budowaniem relacji. Coraz częściej też zmagają się z przeciążeniem emocjonalnym i kryzysem zdrowia psychicznego. Fundacja przypomina, że codzienne czytanie dzieciom jest prostym i niezwykle skutecznym sposobem wspierania ich rozwoju psychicznego, umysłowego i społecznego. Czytanie wycisza, buduje poczucie bezpieczeństwa, rozwija empatię, uczy języka i krytycznego myślenia, rozwija wyobraźnię, pamięć i koncentrację, przynosi wiedzę, pomaga dzieciom lepiej rozumieć siebie i świat. Fundacja do wspólnej lektury proponuje tytuły ze Złotej Listy książek polecanych dla poszczególnych grup wiekowych.

Więcej na stronie: **calapolskaczytadzieciom.pl**

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 4c91f9e87c

Młodzi patrzą w niebo

PODRÓŻE

Zaskakująco łatwo można uzależnić się od obserwowania ptaków. Zetki wiedzą o tym doskonale.

Na Helu, na wydmie w Kuźnicy, jest ławeczka słynna na całą Polskę, a może nawet Europę. Wiosną i jesienią, jeżeli usiądzie się na niej wczesnym rankiem i skieruje lornetkę w niebo, można zobaczyć stada ptaków – od popularnych zięb czy pliszek po drapieżne błotniaki stawowe, pustułki, krogulce czy drzemliki. Ptaki migrują z zimowisk (wiosną) i na zimowiska (jesienią), lecą wzdłuż wybrzeża, więc Hel jest idealnym miejscem obserwacji.

To oczywiście niejedyne miejsce w Polsce, gdzie można spotkać zapalonych ptasiarzy. Jadą do Puszczy Białowieskiej, by zobaczyć **dzięcioła białogrzbietego**, jeden z najrzadszych w Polsce gatunków dzięcioła; do Biebrzańskiego Parku Narodowego, by uchwycić w kadrze wodniczkę, która przycupnęła na trzcinie; albo do ujścia Warty, by podziwiać wielotysięczne stada kaczek. Jednak żeby przyglądać się ptakom, właściwie nie trzeba ruszać się z domu.

Zaczyna się niewinnie. Co to za rudo-błękitny ptak przysiada czasem na balkonie? Szybki risercz w internecie pokazuje, że to sójka, która nie odlatuje na zimę. Może jest głodna? Na balkonie ląduje więc karmnik, a w nim słonecznik, orzechy i siemię lniane (nigdy chleb!). Na ucztę zlatują sikorki, kosy, a raz pojawia się nawet dzięcioł. W końcu przylatuje jakiś ptak, którego nie potrafimy rozpoznać. Kupujemy więc atlas, z którego dowiadujemy się, że to rudzik. Kolejny krok to aplikacja do rozpoznawania ptasich głosów. A potem to już autostrada w jedną stronę: pewnego ranka o wschodzie słońca siedzimy w krzakach w Górach Izerskich, żeby wypatrzyć tokującego koguta cietrzewia.

Brzmi jak historia z życia emeryta? Nic bardziej mylnego. „Generacja Z napędza boom na oglądanie ptaków!" – ogłosił niedawno „The Guardian", informując, że nie jest to już niszowe i staromodne zajęcie, tylko ulubione hobby młodego pokolenia, zaraz po tworzeniu biżuterii. W Anglii uprawia je 750 tys. ludzi w wieku 16–29 lat.

W Polsce nie jest inaczej. OTOP – czyli Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków – na Facebooku obserwuje prawie 50 tys. osób. Towarzystwo informuje, jak etycznie je obserwować (nie zaglądać do gniazd, nie niszczyć siedlisk). Organizuje też konkursy fotograficzne, spacery ornitologiczne i rajdy ptasiarskie, czyli gry terenowe, w których drużyny mają 24 godziny, by zidentyfikować jak największą liczbę ptaków. Nie wspominając już o kultowych Mistrzostwach Polski w Naśladowaniu Ptaków (by wziąć udział, trzeba przesłać krótki filmik z prezentacją wybranego ptasiego głosu).

Ile, mimo rosnącej popularności, obserwacje w terenie to wciąż hobby wąskiej grupy, o tyle obserwacje internetowe to już zajawka mas. Trasy wędrówek bocianów są monitorowane przez nadajnik GPS, co pozwala tysiącom ludzi śledzić ich losy. W lutym Polska wstrzymała oddech, przyglądając się perypetiom bociana Krutka z Krutyni, który rozpoczął podróż powrotną z Egiptu do Polski już w styczniu. Do kraju dotarł w lutym, gdy wciąż było mroźno i leżał śnieg, więc miał trudności ze zdobyciem pokarmu. Wycieńczonego ptaka znaleziono 60 km od celu. Na szczęście trafił do Ośrodka Okresowej Rehabilitacji Bocianów w Krutyni. Teraz jest już w gnieździe i oczekuje młodych.

W maju z kolei serca Polaków podbiły wędrówki nurogęsi z małymi z Łazienek Królewskich (gniazdują tam w dziuplach starych drzew) do Wisły, przez ruchliwą ulicę Czerniakowską. A zwłaszcza tragiczny los jednej z nich – która została pożarta przez suma i osierociła dziesięcioro piskląt. Dzięki szybkiej akcji wolontariuszy nurogęsiątka trafiły do azylu i już następnego dnia udało się podrzucić je innej matce.

Dlaczego kochamy patrzeć na ptaki? Wiele osób podkreśla, że przebywanie w naturze pozwala odłożyć telefony i zwolnić, co ma dobry wpływ na zdrowie psychiczne. Jednak obcowanie z istotami tak różnymi od człowieka daje coś jeszcze: świadomość, że świat, zarówno w puszczach, jak i w miastach, nie należy tylko do ludzi, ale także do wielu innych niesamowitych istot, których życia także są pełne piękna i grozy. ■

Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© BE&W, ARCHIWUM PRYWATNE, INSTAGRAM.COM/LIDLPOLSKA, PAWEŁ KOGUT DĄBROWSKI/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl 4c91f9e87c

Daj se to

WIRAL

Zetki weszły szturmem na rynek pracy i ciągle uczą starszych kolegów nowych słów i zjawisk. Jak na przykład opisywany na naszych łamach „quiet quitting" (POLITYKA 26/23), zwyczaj porzucania zajęć, które ich nużą albo nie przynoszą im satysfakcji. Po co się męczyć? Młodzi odchodzą po angielsku, są lapidarni z natury. Dowodem najnowszy trend zestawiania fikcyjnych haseł marketingowych przygotowywanych przez nich i przez milenialsów. Ci drudzy starają się za bardzo, ci pierwsi – prawie wcale. „Gramy dla Was od 1990 roku. W RMF-ie znajdziecie najlepsze hity, od klasyków po nowości. Z nami zawsze są emocje na żywo! Koncerty, imprezy i spotkania z gwiazdami" – napisałby typowy milenials z działu kreatywnego Radia RMF. A to i tak tylko fragment. „Robimy se radio. Fajnie" – spuentowałby spec z generacji Z. O najnowszych **lodach w ofercie Lidla** powiedziałby zaś krótko: „Daj se" (czyt. „nie żałuj sobie"). A o produktach firmy Eveline Cosmetics, którą w akcji Łatwoganga przemianowano na memiczną „Ewelinę Kosmetyczną", napisałby tylko: „Fajne, polecam".

Trend jest globalny i choć ma bawić, to powinien też dawać do myślenia. Jak wyjaśnia w social mediach Martyna Pawłowska, która zgłębia tajniki marketingu, „targetowanie pokoleniowe" to klucz do sukcesu – chodzi o to, żeby jak najlepiej dopasować przekaz do odbiorcy. Mem marketing – dodaje Pawłowska – to „uproszczony, szybki format, który łatwo się udostępnia", skrojony pod zetki, które prędko tracą zainteresowanie. Mówi się o tym fachowo, że mają mały „attention span", czyli zakres uwagi. Zwięzłość przydaje też autentyczności – ma być krótko, do rzeczy, bez ściemy.

Jak widać, coraz trudniej dobrać komunikat (konsumencki, polityczny również) do różnych pokoleń jednocześnie. Memiczny trend pomógł chwilowo tę przeszkodę przeskoczyć, oczywiście interesownie, bo działom PR chodzi w gruncie rzeczy o sprzedaż i zysk. Ale jeśli to prawda, że zetki czytają tylko kilka linijek tekstu, to od nas się tego nie dowiedzą.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Larper z Temu

SŁOWO

Życie to gra. Pisał o tym już J.D. Salinger w „Buszującym w zbożu", a ostatnio opowiadał Kordian Kądziela w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy", zestawiając problemy w relacjach z grą typu *live action role-playing* (LARP). Czyli terenową zabawą w odgrywanie ról. A ponieważ łączy się ona z udawaniem kogoś, kim się na co dzień nie jest, jej nazwa zaczęła się pojawiać w innych kontekstach. „Karolas, ja cię błagam, miej ty litość, my nie jesteśmy jakąś Liberią, żeby larpować jankesów" – usłyszał na platformie X **Karol Nawrocki** jeszcze jako kandydat na prezydenta, gdy pozował w czapeczce w stylu Trumpa. A dziś w dyskusjach o nastrojach faszystowskich za oceanem ktoś inny na tej platformie rzuca z ironią: „Prawdziwy faszyzm jest tylko wtedy, jak larpujesz Mussoliniego 1:1".

MÓWIĄ RYMY
Bo moja niuńka jest śliczna jak warszawska syrenka,
To nie jest NPC-tka, lecz robię z nią bocznego questa.
Żabson, Śmigus Dyngus, 2026 r.
boczny quest – romans, flirt na boku

Naśladownictwo było karane językowo od czasów takich słów jak „kseroboj", „copycat", „klon" czy „wannabe". Przy okazji piętnowano też wygórowane ambicje, dorzucając nazwę chińskiej sieci wysyłkowej (np. „Trump z Temu"). Dziś larpowanie najczęściej pojawia się w opisach udawanego bogactwa. Przez sieć przetoczyła się jakiś czas temu fala filmików pokazujących ludzi udających bogatych „z urodzenia" (#oldmoney), którzy potrafią to okazywać dyskretnie, w przeciwieństwie do nowobogackich (#newmoney) pozerów.

Próby obnoszenia się z pieniędzmi są opisywane właśnie jako larpowanie. „Bo on larpuje takiego bogatego, a w rzeczywistości to zwykły pozer" – czytamy w przykładzie na stronie miejski.pl. A w definicji widać to wprost: „Larp to osoba, która udaje, że jest bogata, flexuje się tym, a tak naprawdę jest biedna i musi jeszcze prosić innych o tipy". „My jesteśmy prosy, a wy tylko zwykłe larpy" – rapują hackerzy.pl, uznając się za „prosów" (profesjonalistów), w przeciwieństwie do „larpów" (albo „larperów", bo w języku angielskim taka forma bardziej jednoznacznie wskazuje na osobę), którzy tylko udają. Ten wyjściowy, znany z gier LARP przeszedł więc w czasownik, żeby wrócić do bycia rzeczownikiem – ale już w innym znaczeniu, jako pozer lub naśladowca.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 4c91f9e87c

Kanapka z wczoraj

Rzeczy, które kiedyś uchodziły za gadżety dla dzieci, coraz częściej są projektowane z myślą o dorosłych. Bo nostalgia jest świetnym chwytem marketingowym.

TREND

Nadchodzącej kinowej premierze filmu „Gwiezdne wojny: Mandalorian i Grogu" (w kinach od 22 maja) towarzyszy szeroka akcja promocyjna **Burger Kinga**. W Krakowie jedna z restauracji tej sieci została przekształcona w kantynę rodem z fantastycznego uniwersum; w ofercie pojawiły się kanapki nawiązujące do postaci, a także kolekcjonerskie kubki i figurki. Nie byłoby w tym niczego zaskakującego, gdyby nie fakt, że znaczna część tej oferty jest wyraźnie skierowana do dorosłych fanów.

To kolejny sygnał głębokiej zmiany kulturowej: rzeczy, które kiedyś uchodziły za „rozrywkę dla dzieci", są projektowane z myślą o dorosłych odbiorcach, a najważniejszą przyprawą do hamburgera okazuje się nostalgia. Film jest kontynuacją serialu „Mandalorian", utrzymanego w klimatach westernowo-samurajskich, który wyraźniej jest skierowany do pokolenia wychowanego na klasycznych „Gwiezdnych wojnach" – wykorzystuje nostalgię, ale także inne dorosłe uczucia, takie jak instynkt rodzicielski. Oto tytułowy wojownik opiekuje się zielonym stworkiem Grogu (przez fanów zwanym Baby Yodą).

Co ciekawe, Burger King współpracował z marką „Gwiezdne wojny" już w czasie premiery w 1977 r., dołączając do posiłków szklanki z bohaterami filmu. Dwa lata później konkurencyjny McDonald's wprowadził w USA słynne zestawy dziecięce zwane Happy Meal. „Szczęśliwy posiłek" był odpowiedzią na pytanie o to, jak „otworzyć się na potrzeby małego klienta". Za inspirację posłużyły płatki śniadaniowe sprzedawane w kolorowych pudełkach z komiksowymi postaciami i dołączonymi gadżetami. Do pudełka zostało zapakowane danie główne (mały hamburger, cheeseburger lub kawałek kurczaka), do tego dodatek, napój i – oczywiście – zabawka. Początkowo były to drobiazgi (jak gumka, bączek czy szablon do rysowania) z logo McDonald's, ale szybko okazało się, że to doskonałe pole do popisu dla marketingowców. W ten sposób promował się pierwszy film kinowy z cyklu Star Trek.

Michał R. Wiśniewski
– pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz we współczesnych obyczajach. Autor książek „Jetlag", „Wszyscy jesteśmy cyborgami", „Zabójcze aplikacje" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

Na początku wśród zabawek dominowały małe figurki (np. astronautów) i gumowe pojazdy, potem pojawiły się np. minizestawy klocków Lego, Muppety i zabawki z filmów dla dzieci i młodzieży. Regularnie pojawiały się małe wersje laleczek Barbie i postaci z produkcji Disneya, potem dołączyły do nich japońskie marki zdobywające globalną rozpoznawalność, jak Hello Kitty czy Super Mario. Dziś klasyczne zabawki cieszą się powodzeniem wśród kolekcjonerów i są obiektem nostalgii pokolenia X i milenialsów. W 2022 r. stworzono Happy Meal w wersji dla dorosłych we współpracy z marką Cactus Plant Flea Market. Ale dorosłych kolekcjonerów bardziej interesują rzeczy dołączane do dziecięcych zestawów, np. specjalne karty do gry „Pokémon".

Rozwiązaniem okazało się stworzenie atrakcyjnych zestawów dla dorosłych. W lutym 2026 r. w McDonald's pojawiły się zestawy z kultowego serialu „Przyjaciele". Oprócz hamburgera i sosu inspirowanego serialem na kolekcjonerów czekały figurki (przypominające popularne Funko Pop) z bohaterami i zdobione kubki. To praktyka znana np. z Japonii, gdzie takie współprace z klasycznymi i nostalgicznymi markami są na porządku dziennym. W zeszłym roku swoje hamburgery otrzymały postaci z gry „Street Fighter"; obecnie można kupić kanapki inspirowane anime o wielkich robotach „Gundam" – z tej okazji przygotowano specjalną animację nawiązującą do estetyki lat 70. Trend zawitał także do Polski: w zeszłym roku w sieci KFC były dostępne kanapki i kubełki z bohaterami „Dragon Ball", anime, na którym w latach 90. wychowało się całe pokolenie.

Przemysł nostalgii ma się zatem doskonale: lata 80. przetrwały w zbiorowej wyobraźni. Można wręcz obserwować zjawisko „nostalgii za nostalgią" – pojawiły się pierwsze wspominki pierwszej fali kultury retro. Przejawem tego zjawiska są znowu hamburgery. Oto najnowszą bazą zestawów Happy Meal okazuje się nostalgia za serialem „Stranger Things" – czyli za współczesną fantazją na temat lat 80. ■

© KAMIL ROJEK. ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW, CORAVIN POLSKA — WYŁĄCZNY AUTORYZOWANY DYSTRYBUTOR MARKI CORAVIN W POLSCE

eprasa.pl 4c91f9e87c

Igłą w wino

Czy da się nalać wino bez otwierania butelki? Owszem, teraz to możliwe!

WINO

Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, które wydaje pismo o winie „Ferment".

Wszystko wydarzyło się przypadkiem. Absolwent politechniki MIT Greg Lambrecht robił karierę w branży technologii medycznych, opatentował kilkanaście wynalazków, takich jak igły do chemioterapii i implanty ortopedyczne. Wieczorami i w weekendy, jak większość jego kumpli, rozkoszował się atłasowymi supercabernetami z Kalifornii i liczył dolary na koncie. Potem jednak żona Lambrechta zaszła w ciążę i już nie towarzyszyła mu w konsumpcji tychże cabernetów, przez co Greg ze smutkiem obserwował ich powolną śmierć w ciągu trzech–czterech dni od otwarcia butelki. Utleniały się, jak każde wino, ale tych drogich proporcjonalnie bardziej szkoda.

Wykorzystując więc swoje doświadczenie z aparaturą medyczną i podawaniem płynów pod ciśnieniem, skonstruował prototyp maszyny, która miała zrewolucjonizować świat wina. Przebijając się przez korek, wprowadził do butelki cieniutką, pustą w środku igłę chirurgiczną, odlał sobie przez nią kieliszek wina, a potem tą samą drogą wtłoczył do flaszki obojętny gaz, wypychając groźne dla wina powietrze. Po wyjęciu igły korek naturalnie się rozprężył i chronił wino przed dostępem tlenu tak samo skutecznie, jak przed całą operacją.

Genialny w swojej prostocie pomysł zrodził się na początku naszego stulecia, ale przez dobrą dekadę Lambrecht swój prototyp – a właściwie jego kolejne, udoskonalone wersje – zachowywał dla siebie. Rozkoszował się winami ze swojej ogromnej kolekcji, nie otwierając ani jednej butelki! Jednak winomani goszczący w domu wynalazcy byli pod wrażeniem i prosili go o skonstruowanie dla nich podobnych maszynek. Wreszcie jeden z nich sutym czekiem namówił Lambrechta, by założył start-up; nazwał go **Coravin**.

Jeden kosztujący ok. 1 tys. zł gadżet rozwiązał problemy zarówno kolekcjonerów, którzy chcą sprawdzić kondycję swoich win, nie wypijając ich, oraz zwykłych amatorów, którzy z jakiegoś względu chcą wypić tylko kieliszek lub dwa, a nie całą flaszkę, szkoda im jednak marnować zwłaszcza drogie trunki. Ale przede wszystkim – restauracji, które jęły oferować bardzo kosztowne wina na kieliszki, nie ryzykując, że sprzedadzą tylko jeden, a reszta butelki w oczekiwaniu na kolejnego klienta się utleni.

Coravin znalazł też wiele zaskakujących zastosowań. Poza gwiazdkowymi lokalami Lambrecht użył go np. w czeskim zamku, dokonując inspekcji zabytkowych XIX-wiecznych butelek. (Sam miałem podobną przyjemność w Muzeum Zamoyskich w Kozłówce, gdzie odciągnęliśmy przez igłę całkiem zacnego białego burgunda sprzed pierwszej wojny światowej). Do takich antycznych flasz, z ich przesiąkniętymi, rozpadającymi korkami, służą osobne, jeszcze cieńsze igły. Firma Coravin nie zaprzestaje bowiem innowacji. Udało jej się też pomysłowo rozwiązać problem butelek zamkniętych metalowymi zakrętkami (nie da się ich przebić igłą, więc zakrętkę zdejmuje się i zastępuje coravinową, pokrytą od góry medycznym silikonem) oraz win musujących – tu korka nie można przebić igłą, bo wysokie, sięgające sześciu atmosfer ciśnienie rozsadziłoby flaszkę. Otwiera się ją więc normalnie, ale potem zamyka ponownie specjalną nasadką, poprzez którą wtłacza się do butelki CO_2 do wysokości oryginalnego ciśnienia. Efekt? Szampan równie dobry i mocno musujący po miesiącu od otwarcia.

Z tym modelem Coravinu musieli się zmierzyć finaliści zeszłotygodniowych Mistrzostw Polski Sommelierów. Jurorzy tegorocznej edycji największego konkursu winiarskiego – Decanter World Wine Awards – w ramach nagrody za ciężką pracę mogli zaś sobie spróbować któregokolwiek z 732 win, które w poprzednim roku zdobyły złoty medal. Oczywiście bez otwierania butelek. ■

Złoci medaliści konkursu Decanter:

El Masroig Montsant Solá Fred Negre 2022, 39,99 zł (elcatador.pl)
Elena Casadei Cannonau di Sardegna Le Anfore 2022, 30 euro (internety zagraniczne)
Brokenwood Beechworth Indigo Vineyard Chardonnay 2023, 50 euro (internety zagraniczne)
Domaine Prieur-Brunet Santenay Blanc 1er Cru La Maladière 2022, 55 euro (internety zagraniczne)
Sandeman 30 Years Old Tawny Port, 349,99 zł (Leclerc Ursynów)

eprasa.pl 4c91f9e87c

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Razem rośnie

Kryzys na rubieżach koalicji, czyli spór Donalda Tuska z liderką Polski 2050 Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, odwraca uwagę od ciekawszego procesu, który zachodzi w elektoracie lewicowym: **Razem rośnie w sondażach i uderza rząd w miękkie podbrzusze (zdrowie, mieszkalnictwo). Co to oznacza w perspektywie wyborów 2027? Pisze Wojciech Szacki w tekście z serii „Notatnik polityczny”.** Nowe analizy co poniedziałek.

Żegnaj, Timmy

Los młodego humbaka, który przez blisko dwa miesiące przyciągał uwagę opinii publicznej, znalazł swój finał u wybrzeży duńskiej wyspy Anholt. Eksperci od początku podkreślali, że szanse wycieńczonego wieloryba na przeżycie w głębokich wodach były bliskie zeru. **Świat nazywał go Timmym albo Hope. Nadzieje się nie spełniły. Na polityka.pl zamieszczamy kronikę walki o życie humbaka, która tak wiele osób poruszyła.**

Test wytrzymałości

Nauka do egzaminu ósmoklasisty, potem walka o oceny na świadectwie, za chwilę pilnowanie rekrutacji do szkół średnich. A tam od razu testy diagnostyczne. **Absolwent podstawówki nieźle się zmęczy, a odpocząć nie zdąży – pisze na polityka.pl Dariusz Chętkowski, publicysta i polonista. Testy pisemne się skończyły, ale rozpoczyna się sprawdzian wytrzymałości psychicznej.** „Będzie bolało”, ostrzega nasz autor.

Jak przetrwać lincz

Pamiętacie tę sprawę? W 2021 r. aktorka Barbara Kurdej-Szatan skrytykowała działania Straży Granicznej na białoruskiej granicy, w efekcie straciła angaż w serialu, zajęła się nią prokuratura, a w sieci wylał się hejt. **O publicznym linczu i stawianiu mu czoła Barbara Kurdej-Szatan opowiada w naszym „Podkaście psychologicznym”. To początek cyklu rozmów o hejcie i groźnych internetowych manipulacjach.** Zaprasza Joanna Cieśla.

Aktorzy i książki

W nowym odcinku wideokastu „Polityka o książkach” Justyna Sobolewska rozmawia z Adamem Ferencym, znakomitym aktorem i lektorem, o książkach, które kiedyś czytał, teraz czyta i ma nadzieję kiedyś przeczytać. A jak czytają aktorzy? Okazuje się, że powierzchownie, „na łapu-capu”. „Aktor to jest typowy ćwierćinteligent”, stwierdza ostro nasz gość. Opowiada też o swoich nowo odkrytych węgierskich korzeniach.

© GRZEGORZ SKOWRONEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, JAKUB KACZMARCZYK/PAP, MARCUS GOLEJEWSKI/DPA/PAP, LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI

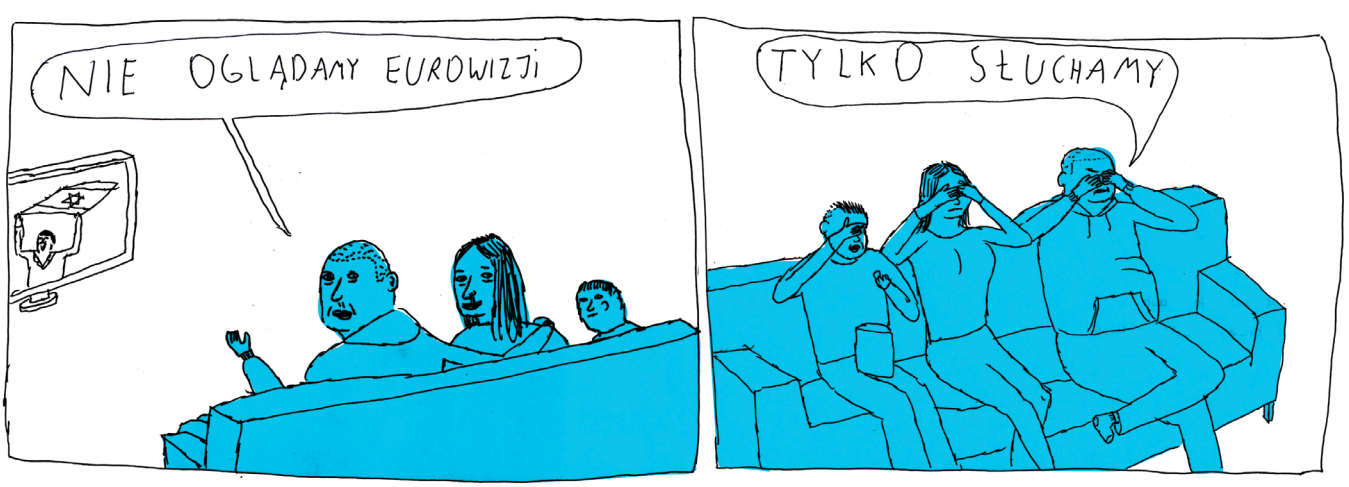

JAN KOZA

eprasa.pl 4c91f9e87c

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!

Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 4c91f9e87c

ZAPRASZAMY NA OLIMP

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 4c91f9e87c